MALI ZBIERACZE
Kto z naszych dzieci robi nałogowców

PiS I NIEMCY
Polski rząd jest zapatrzony w Berlin

ROZUM, FURIA I WIARA
Klęska chrześcijaństwa w Białymstoku

INŻYNIER Z KOSMOSU
Elon Musk: żywot obsesyjnego rewolucjonisty

Kraków 4 sierpnia 2019 nr 31 (3656) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

EWA LIPSKA
Miłość jest jak klimat

DODATEK SPECJALNY
POWSTAŃCY '44

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / GRAFIKA NA OKŁADCE: MIECZYSŁAW WASILEWSKI

Tylko w sklepach z dobrą prasą oraz na powszech.net/zwierzenia

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

KS. ADAM

Boniecki: *Zastanawia mnie brak wiary*

Powiem szczerze, nie jestem entuzjastą Marszów Równości. Jeden marsz kiedyś widziałem bezpośrednio, inne w telewizji. Rażą mnie ich estetyka i agresywne antykościelne hasła. To powiedziawszy, należałoby wspomnieć o skandalu fizycznej agresji wobec uczestników marszu w Białymstoku (i w innych miastach). Ponieważ już wszyscy: świeccy i duchowni, prawicowi, lewicowi i centrowi, komentatorzy oświadczyli, że są przeciw, powiem tylko, że oczywiście i ja jestem przeciw.

Wciąż jednak mnie zastanawiają pełne oburzenia, często agresywne wypowiedzi o LGBT ludzi odwołujących się do chrześcijaństwa. Nawet duchowni potępiający akty przemocy w Białymstoku opatrywali swoje wypowiedzi w bardziej lub mniej zawoalowane odżegnywanie się od LGBT. Takie odżegnywanie się można wyrazić przez – nie całkiem na temat – pochwałę monogamicznej rodziny hetero. Można też wyrazić jasno, przez odwołanie się do biblijnych cytatów, np. św. Pawła. Jakby za każdym razem, mówiąc na ten temat, trzeba było przypominać stanowisko Kościoła wobec osób homoseksualnych. Stanowisko dobrze znane i opisane w Katechizmie Kościoła Katolickiego (KKK 2357–2359).

Zastanawiają mnie też reakcje wierzących katolików na obecność osób LGBT i publiczną działalność na rzecz ich praw. Widoczna jest w tych reakcjach irytacja czy nawet obronna agresywność. Dostrzegam w nich oczekiwanie od państwa ustaw chroniących naród przed „ideologią LGBT i jej wpływami".

Katolicy lubią się tu powoływać na proroctwo starca Symeona, że Syn Maryi „przeznaczony jest na upadek i na powstanie wielu w Izraelu, i na znak, któremu sprzeciwiać się będą" (Łk 2, 34). Niektórzy katolicy chętnie przypisują sobie misję „znaku sprzeciwu". Może biorą do tego asumpt z tytułu watykańskich rekolekcji kardynała Karola Wojtyły wygłoszonych w 1976 r. i wydanych właśnie pod tytułem „Znak sprzeciwu". Sam kardynał powiedział wtedy: „Ów sprzeciw w ostatnich latach wyraźnie przybiera na sile. Zarówno ten zorganizowany wedle wyraźnego programu anty-Ewangelii, jak i ze środowisk związanych z tradycjami chrześcijaństwa".

Zwracam uwagę, że ani u Symeona w Ewangelii, ani w cytowanych słowach kardynała Wojtyły nie ma mowy o „znaku sprzeciwu". Znak, o którym mowa, to znak, który budzi sprzeciw. My wolimy „znak sprzeciwu", bo zawsze wolimy być przeciw. Wolimy zwalczać fałszywe, w naszym przekonaniu, poglądy, bo trudno nam się pogodzić z tym, że – jak głosił II Sobór Watykański w deklaracji o wolności religijnej „Dignitatis humanae" – „prawda nie inaczej się narzuca jak tylko siłą całej prawdy, która wnika w umysły jednocześnie łagodnie i silnie".

Ktoś patrzący na naszą walkę o to, żeby za wszelką cenę światu przyswoić wartości i zasady chrześcijańskie, miałby wrażenie, że nie za bardzo wierzymy w dobro Dobrej Nowiny, w piękno chrześcijańskich ideałów, w siłę przykładu i świadectwa katolickich rodzin, w formacyjną moc katechezy Kościoła, w samego wreszcie Pana Boga, i drżymy z lęku, że LGBT wszystko nam zniszczy, a sekularyzacja i seksualizacja młodego pokolenia doprowadzą do unicestwienia naszej tysiącletniej katolickiej wiary.

Tak więc powodowani niepokojem o los Kościoła i o przyszłość ich dzieci uczniowie i obrońcy Chrystusa stają do walki uzbrojeni w słowa, które ranią jak kamienie – albo po prostu w kamienie. To prawda, nasz Mistrz mówił o kamienowaniu grzeszników, a nawet wskazał kolejność ciosów: „Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci w nią kamieniem" (J 8, 7). Wtedy nikt nie rzucił.

SPROSTOWANIE

W poprzednim numerze, w tekście „Mrugać jednak nie należy" bmw pędzące przez teren zabudowany porusza się z szybkością co najmniej 160 (sto sześćdziesiąt) km/h, a nie, jak zostało wydrukowane, marne 60 km/h.

PODZIĘKOWANIE

Za wzruszające i piękne listy, maile, SMS-y i telefony z okazji moich 85. urodzin serdecznie dziękuję i przepraszam, że nie zdołam podziękować tak, jak bym pragnął, każdemu z osobna. Dziękuję tym, którzy się przyczynili do uświetnienia obchodów mojej rocznicy, Koleżankom i Kolegom z Redakcji za przygotowanie wspaniałego numeru specjalnego, organizatorom i benefaktorom niezapomnianego wieczoru w Niepołomicach. Także wszystkim, którzy zechcieli w nim uczestniczyć – dziękuję. Wszystkim dziękuję za nieocenione i niezasłużone dary życzliwości i przyjaźni.

©℗ KS. ADAM BONIECKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

TEMAT TYGODNIKA

12 Co zbierają nasze dzieciaki
MARCIN NAPIÓRKOWSKI
Pasję kolekcjonowania łatwo rozbudzić. Wyrafinowana wiedza o mózgu i psychice pracuje tu w służbie biznesu.

17 Rodzice z planety niedoboru
ROZMOWA Z AGNIESZKĄ GARWOLIŃSKĄ, STRATEGIEM MARKETINGU:
Gdy w rachubę wchodzi bezpieczeństwo dziecka lub jego zdrowie, umiemy wyznaczyć granice. Ale gdy w grę wchodzą tylko zakupy, miękniemy i ulegamy.

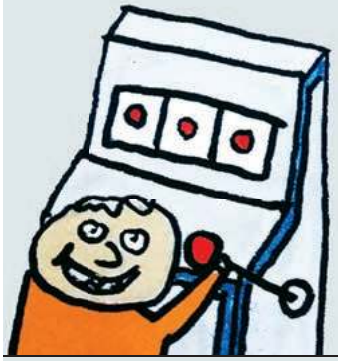

70 Inżynier marzeń
WOJCIECH BRZEZIŃSKI
Elon Musk – dla jednych geniusz, dla innych szarlatan. Kto jest jego największym wrogiem?

74 Daję radę
Z EWĄ LIPSKĄ, POETKĄ, ROZMAWIA KATARZYNA KUBISIOWSKA:
Miłość kojarzy mi się z meteorologią. To słowo znaczy po grecku „unoszący się w powietrzu”.

PO BIAŁYMSTOKU

26 Wymarzona wojna Prezesa
ANDRZEJ STANKIEWICZ
Jedną ręką można dać zbójom po gębie, pokazując siłę. A drugą – pogrozić mniejszościom, bo to spodoba się wielu wyborcom.

34 Rozum, furia i wiara TADEUSZ SŁAWEK
Będziemy mieć erozję wartości chrześcijańskich nie za sprawą genderystów, lecz z walnym udziałem Kościoła.

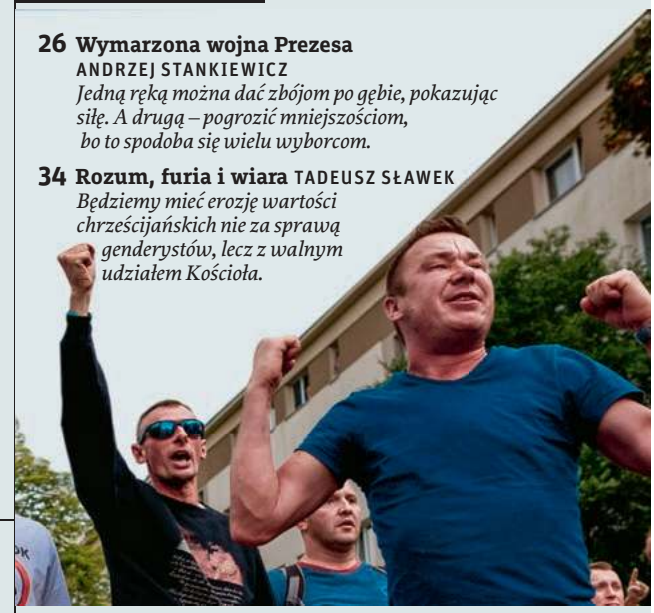

22 PiS zapatrzony w Niemcy
KLAUS BACHMANN
Antyniemieckie kampanie rządu służą tylko dwóm celom: stawianiu pod pręgierzem przeciwników w Polsce i zwróceniu na siebie uwagi Berlina.

88 Przy kałuży
RYSZARD KOZIOŁEK
Czy można prawdziwie tęsknić do kałuży znanej z dzieciństwa, mając do dyspozycji całe bogactwo świata?

PATRYK SROCZYŃSKI // MARTYNA NIEĆKO / AGENCJA GAZETA // ADAM CHELSTOWSKI / FORUM // GMINA JAWORZE // DANUTA WĘGIEL // BOB DAEMMRICH / ALAMY STOCK PHOTO / BEW

6 W strefie stanów alarmowych
MAREK RABIJ

7-11 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

22 PiS zapatrzony w Niemcy
KLAUS BACHMANN

26 Wymarzona wojna Prezesa
ANDRZEJ STANKIEWICZ

27 Ministerstwo głupich słów
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: *Wypowiedź nowego szefa MEN na temat zajść w Białymstoku to esencja jego wizji polskiej edukacji*

REPORTAŻ

30 Adres: Polska
KRZYSZTOF STORY: *Bohaterów tego tekstu dzieli wszystko. Łączy ich tylko adres: Cicha 3*

WIARA

34 Rozum, furia i wiara
TADEUSZ SŁAWEK

38 Jeden dzień z życia
DOROTA BIDZIŃSKA: *Niewielu ma pojęcie, z czym zmagają się osoby doświadczające bezdomności*

41 Chrześcijanie na ekranie
MARCELINA SZUMER-BRYSZ: *Jedyny chrześcijański kanał telewizyjny na Bliskim Wschodzie*

ŚWIAT

44 Boris u bram
PATRYCJA BUKALSKA: *Wielka Brytania ma nowego premiera i wciąż stare problemy*

WACŁAW ZDZARSKI / ARCHIWUM SZCZECIŃSKICH / EAST

POWSTAŃCY '44

Dodatek specjalny na 75. rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego.

A W NIM:

REPORTAŻ PATRYCJI BUKALSKIEJ O WETERANACH – zwykle już ponad 90-letnich – którzy zmagają się z codziennością

ROZMOWA Z WACŁAWEM GLUTH-NOWOWIEJSKIM, żołnierzem Zgrupowania AK „Żmija" na Żoliborzu. Niedawno ukazało się wznowienie jego książki o „Robinsonach": ludziach, którzy po upadku Powstania tak jak on ukrywali się w ruinach.

FELIETONY

29 ANNA DZIEWIT-MELLER **43** SZYMON HOŁOWNIA **69** WOJCIECH BONOWICZ **86** JAN KLATA **87** PAWEŁ BRAVO **98** STANISŁAW MANCEWICZ **98** BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: EWA LIPSKA
Fotografia: DANUTA WĘGIEL
Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

47 Życie odradza się w Rakce
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z SYRII

50 Kiedy oni pójdą stąd
ROMAN HUSARSKI: *Rohingowie – uciekinierzy z Birmy – coraz silniej wpływają na nastroje w Bangladeszu*

NAUKA

64 Władcy umysłów
MARIUSZ GOGÓL: *Pasożyty kontra gospodarze*

67 Starożytna marihuana
ROZMOWA Z ROBERTEM SPENGLEREM, PALEOBOTANIKIEM

Z ODDECHEM

70 Inżynier marzeń
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

KULTURA

74 Daję radę ROZMOWA Z EWĄ LIPSKĄ, POETKĄ

78 Pieśni tułacza WOJCIECH JAGIELSKI: *Johnny Clegg, afrykański Dylan*

81 Daleko od szlaku
MICHAŁ SOWIŃSKI: *Krzysztof Środa i jego książka „Srebro ryb"*

84 Inny koniec świata
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Truposze nie umierają"*

86 Pomnik Plant LEKTOR *o książce „Planty krakowskie"*

WAKACJE

88 Przy kałuży
RYSZARD KOZIOŁEK

85. BONIECKI

94 Idźcie za Adamem!
MONIKA OCHĘDOWSKA: *Relacja z obchodów 85. urodzin Redaktora Seniora „Tygodnika"*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

STRONA ŚWIATA: Kaszmir
Donald Trump chciał zostać mediatorem w konflikcie o Kaszmir. Ale zamiast tego zraził do siebie Indie, na które liczył w sporach z Chinami – *o politycznych niezręcznościach pisze* **WOJCIECH JAGIELSKI**
tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

85. BONIECKI [Podkast Powszechny]
O najlepszych prezentach i spotkaniach z ludźmi, o patrzeniu na Kościół i media z perspektywy 85 lat i o dystansie – *rozmawiają jubilat* **KS. ADAM BONIECKI I ANNA GOC**, *autorka wywiadu rzeki z ks. Bonieckim* **powszech.net/85boniecki**

/TygodnikPowszechny ▪ /Tygodnik ▪ /Tygodnik ▪ YouTube /TygodnikPowszechny

OBRAZ TYGODNIA

ŁUKASZ SZCZEPAŃSKI / REPORTER

W STREFIE STANÓW ALARMOWYCH

Komunikaty o nieurodzaju z powodu suszy czy rekordowo niskich stanach rzek przestają już robić wrażenie. Może to i dobrze – czas nauczyć się żyć w klimacie, który nie ma wiele wspólnego z umiarkowaniem.

MAREK RABIJ

Wisła w Warszawie w okolicy mostu Gdańskiego, 24 lipca 2019 r.

Jak podaje Instytut Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa (IUNiG), od 21 maja do 20 lipca w 15 z 16 województw utrzymywała się tzw. susza rolnicza, czyli brak warunków do prawidłowej wegetacji roślin. Nie zaobserwowano jej tylko w Małopolsce, gdzie o tej porze roku zazwyczaj mocno pada na terenach górskich. W innych rejonach Polski wielkość opadów zaczyna jednak zrównywać się nierzadko z notowanymi na obszarach stepowych. Efekty? W kwietniu – jak wynika z danych Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej – miesięczna suma opadów w całym kraju spadła poniżej 60 mm, czyli do niespełna 60 proc. miesięcznej normy oszacowanej na bazie pomiarów z wcześniejszych lat. W pierwszych pięciu miesiącach tego roku jedynie styczeń i marzec przyniosły opady ponad normę. A jeśli dodać do tego suchą jesień i zimę (jeszcze w listopadzie ubiegłego roku mieliśmy niskie stany wód większości rzek) oraz wiosenno-letnie upały, przepis na suszę po polsku jest gotowy.

Kraj pustynnieje – piszą czasem z emfazą publicyści, irytując takim przerysowaniem krytyków hipotezy o antropogenezie obserwowanego ocieplenia klimatu. Jeszcze w latach 1951-81 susze występowały w Polsce średnio co pięć lat. Od połowy lat 90. ubiegłego wieku przytrafiają się statystycznie już co dwa lata.

Mieliśmy suszę w zeszłym roku. W tym – jak wynika z cytowanego raportu IUNiG – zagraża uprawom zbóż jarych i ozimych, krzewów owocowych, roślin strączkowych, kukurydzy, drzew owocowych, warzyw gruntowych, tytoniu, buraka cukrowego, ziemniaka oraz chmielu. Słowem – całemu rolnictwu.

A przecież brak opadów w połączeniu z upałami stanowi wyzwanie także dla energetyki, która wody potrzebuje do chłodzenia. W Polsce, jak zauważa ekspert Politechniki Łódzkiej prof. Władysław Mielczarski, w szczególnie trudnej sytuacji znajdują się elektrownie Kozienice oraz Połaniec, obie wykorzystujące wodę z Wisły, której stan w niektórych miejscach środkowego biegu spadł poniżej 50 cm. Oba zakłady będą pewnie musiały ograniczyć produkcję.

Nie mniej upały obciążają ludzi – a stąd już blisko do konkluzji, że gorące i suche wiosny oraz lata będą także znacznym obciążeniem dla niedofinansowanego polskiego systemu opieki zdrowotnej. EASAC, rada doradztwa naukowego tworzona przez akademie nauk z krajów Unii Europejskiej, w czerwcowym raporcie wskazuje nie tylko na rosnące ryzyko chorób układu krążenia, ale także na prawdopodobne rozszerzenie strefy występowania tropikalnych chorób zakaźnych oraz schorzeń układu pokarmowego. „Promowanie zdrowszej, bardziej zrównoważonej diety przy zwiększonym spożyciu owoców, warzyw i roślin strączkowych oraz zmniejszeniu spożycia czerwonego mięsa zmniejszy obciążenie chorobami niezakaźnymi" – konkludują badacze, wskazując przy okazji kierunek zmian, przed którymi nie uciekną również polscy producenci żywności.

Wnioski wydają się oczywiste – tak już będzie i trzeba nauczyć się z tym żyć. Rzecz jasna, nikomu nie można zabronić trwania w przekonaniu, że tzw. katastrofa klimatyczna to narzędzie lobbystów w cynicznej grze gospodarczych i politycznych interesów. Nawet zajadli krytycy tezy o wpływie człowieka na ocieplenie klimatu powinni jednak zadać sobie pytanie, czy dla własnego bezpieczeństwa nie lepiej przystać na klimatyczną wersję zakładu Pascala.

Jeszcze nie jest za późno. ©℗

Rzeczpospolita gotówką płynąca

MAREK RABIJ

Mimo starań bankowców, którzy od lat kuszą kolejnymi kartami czy e-portmonetkami, Polacy nadal wierzą w gotówkę – tak można odczytać wyniki raportu NBP, który podał, że w polskich portfelach, kieszeniach, sejfach, kasach i skarpetach leży 214,9 mld zł. Tylko od stycznia br. wartość gotówki w obiegu wzrosła o 11,7 mld zł; tym samym staliśmy się trzecim krajem Europy pod względem wartości gotówki w relacji do PKB.

Polską wiarę w banknoty i monety można oczywiście tłumaczyć ograniczonym zaufaniem do banków, które nie raz udowadniały, że podejściem do klienta nie różnią się od właścicieli komisów samochodowych. Ekonomiści wskazują też na wciąż dużą szarą strefę gospodarki, która woli trzymać się z daleka od kont i lokat. I wreszcie – ceny. Około 68 euro rocznie, które za usługi żądają banki w Polsce, nie jest kwotą wygórowaną (raport firmy AT Kearney plasuje nas pod tym względem pośrodku europejskiej stawki), ale już w relacji do zarobków może się wydać zbędnym wydatkiem. W projekcie prawa bankowego mowa wprawdzie o obowiązku utrzymania w ofercie jednego darmowego konta, z kuluarowych wypowiedzi bankowców wynika jednak, że postarają się, by korzystanie z takiego rachunku bolało bardziej niż kilkanaście złotych opłaty.

©℗ MAREK RABIJ

PIOTR SZUKALSKI, DEMOGRAF:

Co czwarty z nas jest seniorem

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Pod koniec 2018 r. odsetek osób 60 plus osiągnął 24,8 proc.

PIOTR SZUKALSKI, DEMOGRAF I GERONTOLOG Z UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO: A w okolicach maja, czerwca tego roku przekroczyliśmy barierę symboliczną: do tej grupy należy już co czwarty z nas. Co prawda ten wiek coraz rzadziej kojarzy nam się ze starością, ale mamy też coraz więcej 70-, 80-, 90- i 100-latków. Przyzwyczailiśmy się traktować ludzi starszych jako grupę jednorodną. Tymczasem starzeje się wewnętrznie także grupa samych seniorów. Według prognozy GUS w 2050 r. niemal co dziewiąty z nas będzie mieć 80 lub więcej lat!

MARCIN STĘPIEŃ / AG

I będą to głównie – żyjące dłużej od mężczyzn – kobiety, co może mieć konsekwencje ekonomiczne. Polska bieda będzie miała twarz kobiety 60 plus?

To niestety bardzo prawdopodobne. Kobiet w tym wieku jest więcej niż mężczyzn, w dodatku wcześniej odchodzą na emeryturę, co wpływa na wysokość świadczeń. Co więcej, wiele osób pozostaje po owdowieniu w tym samym mieszkaniu, płacąc podobne rachunki i musząc zadbać o to samo duże lokum.

Głosi Pan tezę, że w polskiej polityce senioralnej mamy od kilku lat przełom.

Od 2012 r. bez wątpienia coś się dzieje. Np. zaczęły działać programy, choćby ASOS, dotyczący aktywizacji osób starszych, czy Senior Wigor, zamieniony później na Senior Plus. Jest też program Dostępność Plus, w ramach którego finansuje się np. przekształcenia architektoniczne. Choć wiele zmian jest przed nami. Np. w geriatrii czy systemie usług opiekuńczych.

Dziś jest anachroniczny i zerojedynkowy: albo dom, albo – w razie konieczności – całodobowa placówka.

I to nie zawsze dom pomocy społecznej: bardzo często – przy gorszym stanie zdrowia – szpitalny oddział, pękający zwykle w szwach. Potrzebujemy dziennych domów pobytu, w których będzie możliwość wykonywania podstawowych badań, rehabilitacji i które będą równocześnie miejscami spotkania. Potrzebujemy systemu, który nie tylko będzie wydajny, ale też lepiej dostosowany do potrzeb starzejącego się społeczeństwa.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Rozszerzona wersja wywiadu na powszech.net/starzejemysie

KRAJ W SKRÓCIE

PRZYGOTOWANY SCENARIUSZ. W Białymstoku, tydzień po tym, jak skrajnie prawicowe bojówki zaatakowały tam uczestników Marszu Równości, odbyła się manifestacja „Polska przeciw przemocy", zorganizowana przez ugrupowania lewicowe. Politycy Koalicji Obywatelskiej nie wzięli w niej udziału, bo – jak to ujął Grzegorz Schetyna – nie zamierzają „wpisywać się w grę i scenariusz przygotowany na Nowogrodzkiej".

WYREŻYSEROWANA OPERACJA. Co ciekawe, o „wyreżyserowanej »operacji Białystok«" pisze również „Gazeta Polska Codziennie", twierdząc, że ubiegłotygodniowe akty przemocy były „zaplanowaną prowokacją" organizatorów Marszu. Wiarygodność pisma osłabia nieco umieszczenie na okładce zdjęcia wiceprezydenta Rzeszowa i przedstawienie go jako prezydenta Białegostoku.

NABIERAJĄ KOLORU. To w ogóle nie jest najlepszy czas dla wiceprezedentów: pełniący ten urząd samorządowiec z Gdyni zamieścił na portalu społecznościowym zdjęcie mętnego akwenu, opatrując je podpisem „Murzyńskie dzieci rodzą się białe. Potem dopiero nabierają koloru, kąpiąc się codziennie w takiej wodzie".

TANIE LOTY. Niedobrze mają też marszałkowie. Media dotarły do dokumentów potwierdzających 23 loty, podczas których na pokładzie rządowego samolotu poza marszałkiem Sejmu Markiem Kuchcińskim znajdowali się także jego krewni i oficer Służby Ochrony Państwa. Polityk twierdzi, że za każdym razem podróżował służbowo, ale aby rozwiać wątpliwości dotyczące „korzyści finansowych" rodziny, deklaruje dokonanie wpłaty na cele charytatywne.

DAWID LINKOWSKI DLA „440KM PO ZMIANĘ"

KILOMETRY PO PIASKU, NITECZKA PO NITECZCE – tak nazywali odcinki swojej trasy idący wzdłuż Bałtyku sympatycy kolejnej edycji projektu „440 km po zmianę". Wszystko po to, by dokonać społecznego audytu dostępności polskich plaż. Chcieli sprawdzić, czy wejścia na plaże, które samorządy lokalne uznają za dostępne dla osób o ograniczonej sprawności, rzeczywiście takie są. Czy polskie plaże są dla wszystkich, pokaże raport Fundacji Machina Zmian. Zaczęło się osiem lat temu, kiedy w pierwszą samotną podróż wybrała się Sylwia „Nikko" Biernacka, pomysłodawczyni projektu. Zakończyło się świętowaniem podpisania listu intencyjnego pomiędzy Miastem Gdańsk a Fundacją Machina Zmian, z którego wynika, że w 2020 r. plaża w Brzeźnie będzie w pełni dostępna i spełni wymagania osób z różnego rodzaju potrzebami. Na zdjęciu Anna Rutz, ambasadorka projektu.

©℗ MAG

MAREK KLIŃSKI / PAP

Zmarł „bezdomny maratończyk"

PODOBNO DO MIEJSCOWOŚCI, w których odbywały się biegi, docierał pociągami. Na gapę, często z problemami. „Przed startem sypiał na ławkach w parkach, dworcach, czasami w halach sportowych, jeśli pozwolili na to organizatorzy. Cały dobytek miał w jednej torbie, a zdarzyło się, że i tę mu ukradziono" – tak na portalu festiwalbiegowy.pl zmarłego w wieku 64 lat „bezdomnego maratończyka", Piotra Żukowskiego, wspominała biegaczka i dziennikarka Katarzyna Marondel.

Podobno (tak wspomina z kolei Wojciech Szota, redaktor naczelny portalu maratończyk.pl) zażartował kiedyś podczas biegowej prelekcji z profesora sportowej uczelni. „Czy bezdomny mógłby przebiec maraton?" – zapytał, by w odpowiedzi usłyszeć, że byłoby to możliwe, ale pod warunkiem znalezienia stałego lokum i odpowiedniego odżywania. „A ja przebiegłem już czternaście maratonów. W tym roku czternaście!" – miał odpowiedzieć Żukowski, wprawiając profesora w konsternację.

Wystartował w ponad 300 maratonach. Osiągał czasy „amatorskie" – około czterech, pięciu godzin – ale był znany w środowisku zawodowych biegaczy. – Zawsze uśmiechnięty, życzliwy – wspomina w rozmowie z „Tygodnikiem" Paweł Żyła, maratończyk i organizator małopolskich biegów z Krakowskiego Klubu Biegacza „Dystans". – Gdy chciał wziąć udział w którejś z naszych imprez, zwracał się o zwolnienie z opłaty startowej, choć nigdy nie był roszczeniowy. Cieszył się, gdy wymienialiśmy go z imienia i nazwiska, dodając, że przyjechał z Dworca Centralnego w Warszawie. Bieganie bywa odskocznią od życia codziennego. Wyobrażam sobie, że tak też było w jego przypadku. Na pewno maratony wiele dla niego znaczyły.

Piotr Żukowski zmarł 12 lipca. Pochowany został 29 lipca na cmentarzu Bródnowskim w Warszawie.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Bił, ale nie molestował

EDWARD AUGUSTYN

Dwa raporty o nadużyciach w chłopięcym chórze katedralnym (istniejącym od X w.) przedstawił biskup Ratyzbony. W prowadzonych przez diecezję szkołach, z których rekrutowali się młodzi chórzyści, przemocy fizycznej i psychicznej doznało 540 dzieci (12,6 proc. uczniów), potwierdzono też 67 przypadków wykorzystania seksualnego.

To dane z 50 lat (1945-95). Przez znaczną część tego okresu (1964-94) chórem kierował ks. Georg Ratzinger, brat papieża emeryta. Raport potwierdza, że był „bardzo surowy, miał porywczy temperament i nie unikał przemocy, m.in. ciężkich kar cielesnych i upokarzania psychicznego (...). Nie podejmował też zdecydowanych interwencji wobec nieproporcjonalnej surowości innych nauczycieli". Autorzy dodają jednak, że postępowanie ks. Ratzingera nie było „tak sadystyczne jak o. Meiera" – dyrektora jednej ze szkół chóralnych, zwyrodnialca, stosującego wymyślne formy znęcania się nad dziećmi. Działania ks. Ratzingera miały charakter „wybuchowy i reaktywny", on sam był przez uczniów lubiany i nie ma dowodów, że wiedział o seksualnym wykorzystywaniu dzieci.

Wielu komentatorów przyjęło tę informację z ulgą. Trudno postawić zarzuty papieskiemu bratu, skoro nie ma mowy o okrucieństwie, a stosowanie kar cielesnych i „pruski dryl" były dozwolone i akceptowane. Do dziś wiele osób za nimi tęskni.

Co innego nadużycia seksualne. Molestowanie dzieci uważano za gorszący grzech i złamanie ślubu czystości przez osobę duchowną. Dlatego ze wstydem je ukrywano. O krzywdzie dziecka nie mówił nikt, bo ileż może trwać jego trauma? Najwyżej tyle, co ludzkie gadanie. Do dziś wiele osób myśli podobnie.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

FRANCISZKANIE Z KAKOOGE

POLSCY FRANCISZKANIE W KAKOOGE (UGANDA) założyli ekologiczną farmę przy misyjnej szkole zawodowej. Jej produkty trafiają do uczniowskiej stołówki, a powstały przy hodowli zwierząt biogaz zasila kuchnię. Planowane jest powiększenie gospodarstwa, tak by zapewniło 140 uczniom całoroczne, bezpłatne utrzymanie – mówi „Tygodnikowi" o. Bogusław Dąbrowski, pomysłodawca farmy. ©℗ EA

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

MNISZKI Z ZESPOŁEM DOWNA. „Ich dusze nie są niepełnosprawne! Wręcz przeciwnie, są bliżej Pana, łatwiej komunikują się z Nim. Inne siostry wspólnoty podziwiają ich zdolność przebaczania i wspierania innych" – uważa przełożona Wspólnoty Małych Sióstr Uczennic Baranka, matka Line. Jest to jedyna na świecie wspólnota monastyczna, w której żyją siostry pełnosprawne i siostry z zespołem Downa. Początki wspólnoty sięgają lat 80., ale jej statuty zatwierdzono dopiero w 2011 r. – prawo kościelne niepełnosprawność umysłową traktuje jako przeszkodę w życiu zakonnym. Obecnie w klasztorze w Le Blanc w środkowej Francji żyje dziesięć sióstr (w tym osiem z zespołem Downa). Reportaż o wspólnocie ukazał się w Vatican News.

DYSKUSJE WOKÓŁ SYNODU. Peruwiańczyk kard. Pedro Barreto Jimeno wystąpił w obronie zawartych w dokumencie roboczym Synodu Biskupów dla Amazonii postulatów wyświęcania żonatych mężczyzn i wprowadzenia oficjalnych posług kościelnych dla kobiet. „Synod może być ważnym znakiem wspierania sprawiedliwości i obrony godności najbardziej pokrzywdzonych ludów" – zaznaczył purpurat. Dokument przedsynodalny skrytykowali niedawno dwaj niemieccy emerytowani kardynałowie: Gerhard Müller i Walter Brandmüller.

WYJĄTKOWA CHORĄGIEW. W krakowskim klasztorze Dominikanów odrestaurowano prawdopodobnie jedyną zachowaną na świecie chorągiew kanonizacyjną z XVI wieku. Wykonane z adamaszku, obustronnie malowane płótno o wymiarach 2,80 m na 3,20 m przedstawia św. Jacka i zostało użyte podczas jego kanonizacji w 1594 r. Przez lata chorągiew uważano za zaginioną.

Abp Ryś zdjął ekskomunikę z ks. Misiaka

JEDNĄ Z BARDZIEJ BARWNYCH postaci łódzkiego Kościoła jest ks. Michał Misiak. Organizował nietypowe akcje duszpasterskie, zapraszał młodzież na chrześcijańskie dyskoteki. Podczas kolędy odwiedził agencję towarzyską znajdującą się na terenie parafii. Chodził też nocami po ulicach Łodzi i spowiadał. W czerwcu wielu zszokowała więc informacja, że ks. Misiak przyjął w Jordanie chrzest z rąk protestanta i tym samym ściągnął na siebie – na mocy samego prawa – ekskomunikę. Została ona potwierdzona przez łódzką kurię.

Ks. Misiak opublikował w internecie wyjaśnienia, z których wynikało, że nie miał zamiaru porzucać Kościoła katolickiego, ale także, że od wielu lat ma poważne problemy z zachowaniem celibatu i że chciałby jednocześnie ożenić się i pozostać katolickim księdzem.

Ostatnio na stronach archidiecezji łódzkiej ukazał się komunikat informujący, że abp Grzegorz Ryś przeprowadził z ekskomunikowanym księdzem serię rozmów, ks. Misiak podjął zaś pokutę i złożył wyznanie wiary, co pozwoliło arcybiskupowi zdjąć z niego ekskomunikę.

Nie wiadomo jeszcze, jak będzie dalej wyglądać duszpasterska działalność ks. Misiaka. Jego ostatnie działania i publikowane w internecie wyjaśnienia stawiają pod znakiem zapytania jego autorytet jako duchownego. Warto jednak zwrócić uwagę na gotowość do dialogu – tak ze strony ks. Michała, jak i jego biskupa. Na razie dialog ten przyniósł owoce.

©℗ PIOTR SIKORA

RDC POLSKIE RADIO

MICHAŁ OKOŃSKI opowie o „Zwierzeniach zwierząt" – nowym numerze magazynu „Tygodnik Powszechny. Wydanie Specjalne" w środę 31 lipca o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie
– www.rdc.pl

Prokurator Mueller waży słowa

MARTA ZDZIEBORSKA Z SAN DIEGO (USA)

Przez niemal dwa lata śledztwa Robertowi Muellerowi, specjalnemu prokuratorowi ds. Russiagate, udało się pozostać w cieniu. Zmieniło to przesłuchanie w amerykańskim Kongresie, które za sprawą polityków przerodziło się w polityczny spektakl.

„Tak", „nie", „zgadza się", „dokładnie" – w ten sposób, zdawkowo, Mueller odpowiadał podczas prawie siedmiogodzinnego przesłuchania przed komisjami ds. sądownictwa oraz wywiadu w Izbie Reprezentantów. Prokurator specjalny często prosił o powtórzenie pytania, ważył każde słowo i wertował ponad 400-stronicowy raport w sprawie Russiagate. Robił wszystko, by jego wypowiedzi nie posłużyły do walki politycznej. Demokraci liczyli na przełomowe stwierdzenia pod adresem Trumpa i jego otoczenia. Republikanie czyhali na potknięcie, które podważy profesjonalizm prokuratora i jego raportu dotyczącego ingerencji Rosji w wybory prezydenckie i kontaktów sztabowców Trumpa z osobami związanymi z Kremlem.

Mueller odmówił odpowiedzi na pytania Demokratów dotyczące procedury impeachmentu. Podkreślił jednak, że nie jest prawdą, jak utrzymuje Trump, iż raport „całkowicie oczyścił go z zarzutów utrudniania śledztwa". Prezydent, który tę sprawę określa „polowaniem na czarownice", już po półtorej godziny przesłuchania nazwał je na Twitterze „porażką dla Demokratów i Roberta Muellera". Przesłuchanie najbardziej zawiodło szykujących się do wyborczej walki Demokratów. Aby wygrać z Trumpem wyścig o Biały Dom w 2020 r., powinni zastanowić się nad nową strategią. ©

Moskwa: silny protest bez liderów

W MINIONĄ SOBOTĘ kilka tysięcy ludzi wyszło na ulice Moskwy, aby zamanifestować sprzeciw wobec manipulacji władz przy organizacji planowanych na wrzesień wyborów do miejskiej Dumy. Kilka dni wcześniej, pod naciąganym pretekstem nieważnych podpisów na listach poparcia, komisja wyborcza unieważniła 57 opozycyjnych kandydatur. Zgromadzenie odbyło się mimo braku zezwolenia władz. W poprzedzającą je noc doszło do rewizji w domach kandydatów, zastraszano potencjalnych uczestników. Jednego z liderów opozycji Aleksieja Nawalnego skazano na 30 dni aresztu za wzywanie do nielegalnych demonstracji (w niedzielę trafił do szpitala z objawami „dziwnej alergii").

PAVEL GOLOVKIN / AP / EAST NEWS

Siły prewencji miały nie dopuścić do odbycia się wiecu – protestujących rozbito na kilka mniejszych grup. Zatrzymano, w wielu przypadkach przy użyciu przemocy, ponad 1300 osób. Demonstrację transmitowała niezależna telewizja TV Rain. Uczestnicy, przeważnie młodzi, mówili, że protestują, bo mają dość samowoli władz.

To nowy typ protestu: rozproszony, bez przywódców (liderów zatrzymano wcześniej). Jest świadectwem rosnącego niezadowolenia aktywnej części społeczeństwa i niezgody na niedemokratyczne praktyki władz. Natomiast władze skreślając opozycjonistów z list wyborczych, zasygnalizowały rezygnację z fasadowych rytuałów, jakimi są wybory z – choćby symbolicznym – udziałem opozycji. Następna demonstracja została zapowiedziana na 3 sierpnia.

W czasie gdy na ulicach stolicy rozganiano demonstracje, prezydent Putin zszedł w batyskafie na dno Zatoki Fińskiej, aby z bliska przyjrzeć się zatopionemu okrętowi podwodnemu z czasów wojny. W telewizyjnych programach informacyjnych była to wiadomość najważniejsza.

©℗ ANNA ŁABUSZEWSKA

PHAM LE HUONG SON / GETTY IMAGES

Gdzie się podział Mekong?

O TEJ PORZE ROKU, podczas monsunu, Mekong, największa rzeka Półwyspu Indochińskiego, na odcinku wyznaczającym granicę Tajlandii i Laosu powinien nieść mnóstwo wody. A wraz z nią – dużo ryb zapewniających utrzymanie okolicznym mieszkańcom. Rzeka słynie tu m.in. z gigantycznych, dorastających do trzech metrów sumów zwanych pangazami oraz karpi syjamskich ważących nawet 50 kg. W tym roku rzeka ma jednak zaskakująco niski stan, a dużych ryb – jak na lekarstwo. Władze obu krajów podejrzewają, że przyczyną mogą być chińskie inwestycje w tamy i elektrownie wodne w górnym biegu tej rzeki.

W rejonie Nakhon Phanom na północnym wschodzie Tajlandii głębokość Mekongu nie przekracza półtora metra. Zaledwie rok temu w wielu miejscach rzeka sięgała ośmiu metrów! „Widzę coś takiego po raz pierwszy w życiu, a mam już 60 lat – mówił Agencji Reutera Sun Prompakdee, rybak ze wsi Ban Nong Chan. – Od tygodni nie widziałem ani jednej dużej ryby".

Chiny przecięły dotąd bieg Mekongu 11 zbiornikami zaporowymi z elektrowniami wodnymi. W planach jest budowa ośmiu kolejnych siłowni. Ministerstwo Spraw Zagranicznych Tajlandii wezwało już chińskiego ambasadora na konsultacje w sprawie rozwiązania „wodnego kryzysu". Władze Laosu zapowiedziały z kolei, że zwiększą zrzut wody ze swoich zbiorników zaporowych na Mekongu i jego dopływach. ©℗ MR

Prehistoryczni łowcy z Tatr Bielskich

KAMIENNE OSTRZA Z BRONI DRZEWCOWEJ, kościana igła i inne narzędzia datowane na 13-12 tys. lat p.n.e. (epoka górnego paleolitu) odkryła polsko-słowacka ekipa archeologów w Jaskini nad Huczawą na zboczu Kobylego Wierchu w Tatrach Bielskich. Badania laboratoryjne próbek pobranych z kości zwierzęcych znalezionych przy dawnym palenisku pozwolą na dokładniejszą datację. Kierujący grupą Polaków prof. Paweł Valde-Nowak z UJ uważa, że w jaskini u schyłku okresu lodowcowego mieściło się obozowisko lub miejsce obrzędowe; liczba artefaktów (ponad 300) wyklucza możliwość tylko tymczasowego zasiedlenia. Odkrycie jest przełomowe: po raz pierwszy udało się odnaleźć ślady osadnictwa prehistorycznego na terenach Tatr; kolejne wyprawy bezskutecznie poszukiwały podobnych pozostałości od końca XIX w.

Myśliwi użytkujący jaskinię należeli do przedstawicieli późnej fazy kultury magdaleńskiej, zasiedlających szeroki pas Europy Zachodniej i Środkowej. Prof. Marian Sojak, szef ekipy słowackiej, nie wyklucza, że ściany Jaskini nad Huczawą mogły zdobić malowidła podobne do tych znanych z Lascaux (powstałych we wczesnym okresie kultury magdaleńskiej, 17-15 tys. lat p.n.e.) – niestety, nie miały szans się zachować, ponieważ jest to jaskinia otwarta. Łowcy z Tatr utrzymywali kontakty z ludnością innych terenów, o czym świadczą surowce użyte do sporządzenia narzędzi (np. krzemień z okolic Krakowa, minerały z Moraw).

Jaskinia służyła za kryjówkę także w znacznie późniejszych czasach: badacze odkopali skorupy glinianych naczyń z XV/XVI w. oraz monety z okresu II wojny światowej. ©℗ MAM

MAREK PODMOKŁY / AGENCJA GAZETA

KULTURA W SKRÓCIE

NA DWORCU. Wojewódzki konserwator zabytków prof. Jakub Lewicki wpisał do rejestru zabytków Dworzec Warszawa Centralna im. Stanisława Moniuszki. Budynek powstał w pierwszej połowie lat 70. Jego głównym projektantem był Arseniusz Romanowicz. Gdy oddawano go do użytku, był synonimem nowoczesności i luksusu – białe marmury do jego wykończenia sprowadzono z Kazachstanu, czarne granity ze Szwecji. Zainstalowano tutaj także pierwsze schody ruchome wyprodukowane nie w ZSRR, ale we Francji.

W METRZE. Na stacjach II linii metra zamiast reklam oglądać możemy najlepsze prace absolwentek i absolwentów stołecznej Akademii Sztuk Pięknych z ostatnich dziesięciu lat. W wystawie wzięło udział ponad 40 artystek i artystów. To pierwsza ekspozycja zrealizowana w całości w przestrzeni warszawskiego metra. Można ją oglądać do 25 sierpnia.

W KINIE. Najnowszy film Romana Polańskiego „Oficer i szpieg" znalazł się w konkursie 76. Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Wenecji. Polityczny thriller według powieści Roberta Harrisa (i na podstawie jego scenariusza) opowiada historię pułkownika Marie-Georges'a Picquarta, który doprowadził do uwolnienia kapitana Alfreda Dreyfusa. Do sekcji „Venice Days" zakwalifikował się natomiast film „Boże Ciało" Jana Komasy, autora „Sali samobójców" i „Miasta 44".

NA PŁYCIE. Pomysłodawczyni młodzieżowych strajków klimatycznych 16-letnia Greta Thunberg nagrała poświęcony ochronie środowiska esej, który znajdzie się na najnowszej płycie rockowego zespołu The 1975 „Notes on a Conditional Form".

Jesper Korczak

BEW

PO DŁUGIEJ CHOROBIE ZMARŁ JESPER JUUL, duński pedagog, terapeuta rodzinny, autor wielu poradników dla rodziców, wyznawca radykalnie humanistycznych poglądów na wychowanie, zrównujących dzieci i dorosłych w prawie do szacunku, wyrażania emocji i realizacji swoich potrzeb. Korczak naszych czasów.

Napisał m.in. „Zamiast wychowania", „Kryzys szkoły" i „Agresję – nowe tabu". Współzałożyciel i wieloletni dyrektor Instytutu Kemplera, kształcącego pedagogów, nauczycieli i terapeutów rodzin, twórca sieci poradni wychowawczych Family-Lab – był liderem zmiany zachodzącej współcześnie w pedagogice i psychologii dziecięcej. Postulował porzucenie koncepcji wychowawczych, które chcą kształtować dzieci na wzór jakiegoś ideału: radził, by dostrzec w nich w pełni ukształtowanych ludzi, którzy różnią się od dorosłych jedynie brakiem doświadczenia. Rodziców uczył, jak być autorytetem i brać za relację z dzieckiem odpowiedzialność, nie uciekając się ani do przemocy, ani do manipulacji.

Patrzył szeroko. „Los nas wszystkich zależy od sposobu, w jaki funkcjonują kobiety – mówił w wywiadzie dla »TP«. – To dobrze, jeśli dziecko frustruje się z powodu odmowy, jaką otrzymuje od matki. Dzieci muszą się nauczyć, że kobieta potrafi wyznaczać granice własnej integralności". ©℗ AGATA OKOŃSKA

Klimat: takiej zmiany jeszcze nie było

UPADA ARGUMENT klimatycznych sceptyków: potwierdzono, że w ciągu ostatnich dwóch tysięcy lat ani razu nie doszło na Ziemi do tak gwałtownej zmiany średniej temperatury jak w ostatnich dekadach. Wyniki trzech badań opublikowanych w „Nature" i „Nature Geoscience" wskazują, że nawet zasięg tzw. średniowiecznego optimum klimatycznego (ocieplenia między X i XIII w.) i „małej epoki lodowcowej" (ochłodzenia z kulminacją w zachodniej Europie w XVII w.) był zmienny i ograniczony – i że zjawisk tych nie można porównywać do czasów współczesnych, gdy rekordy ciepła są bite rok po roku na całej planecie. Rekonstrukcja klimatu planety – opierająca się na analizie 700 próbek pobranych m.in. z drzew, lodu i osadów – podważa tezę, że globalne ocieplenie jest elementem naturalnego cyklu klimatycznego.

Według prof. Johna Cooka, autora bloga „Skeptical Science" analizującego jakość argumentów w dyskusji o klimacie, zgoda, że wzrost temperatury to efekt działalności człowieka, waha się wśród naukowców od 91 do 100 proc. ©℗ ŻYM

TEMAT TYGODNIKA

CO ZBIERAJĄ NASZE DZIECIAKI

Pasję kolekcjonowania łatwo rozbudzić. Wyrafinowana wiedza o mózgu i psychice pracuje tu w służbie biznesu. Rodzice przecież kupią dowolny kawałek plastiku, byle uszczęśliwić swoje dziecko.

TEKST MARCIN NAPIÓRKOWSKI
ILUSTRACJE PATRYK SROCZYŃSKI

Mój syn jest fanatykiem Rzeczaków. Cały dom mam tym zawalony. Jak nie Rzeczaki, to katalogi przedstawiające kolejne serie, kryjówki dla Rzeczaków, pojazdy, gazetki i komiksy z Rzeczakami. Kredki są mu potrzebne głównie po to, żeby rysować Rzeczaki. Z kolegami w przedszkolu bawi się w Rzeczaki albo o Rzeczakach dyskutuje. Urodziny ma dopiero za miesiąc, ale sporządził już szczegółową listę wymarzonych prezentów. Zmieściły się na niej wyłącznie Rzeczaki.

Rzeczaki to małe figurki przedstawiające zwyczajne przedmioty – zmiotkę, hamburgera czy piłkę do nogi – przemienione w superbohaterów lub superzłoczyńców. Tak naprawdę nie nazywają się Rzeczaki, ale nie chcę im w tym miejscu robić ani reklamy, ani antyreklamy. Kto ma dzieci w przedszkolu lub wczesnych klasach podstawówki, pewnie słyszał albo o Rzeczakach, albo o którymś z bliźniaczych produktów. Kto nie ma i mieć nie planuje, także powinien poznać Rzeczaki. W języku angielskim ten rodzaj zabawek określa się mianem *blind bag toys*. Po polsku można by to oddać jako „ślepaki". Bo cała zabawa polega na tym, że kupuje się je na ślepo, w zamkniętych saszetkach, nigdy nie wiedząc, na co trafi się w środku. A potem kolekcjonuje, porządkuje, wymienia z przyjaciółmi. Brzmi niewinnie, prawda?

A gdybym powiedział, że twórcy Rzeczaków wykorzystują najpotężniejsze narzędzia psychologii społecznej, żeby uzależniać nasze dzieci? Czynią to równie sprawnie jak projektanci niesławnych jednorękich bandytów albo eksperci dbający o to, byśmy odpowiednio dużo czasu spędzali na Facebooku. Rzeczaki kupuje się w ciemno, bo losowe nagrody działają najsilniej. Łączą się w pary, serie i drużyny, by maksymalnie eksploatować nasz instynkt domykania całości. Do tego dodajmy jeszcze presję grupy rówieśniczej, wymuszanie współpracy rodziców i otrzymujemy mieszankę idealna.

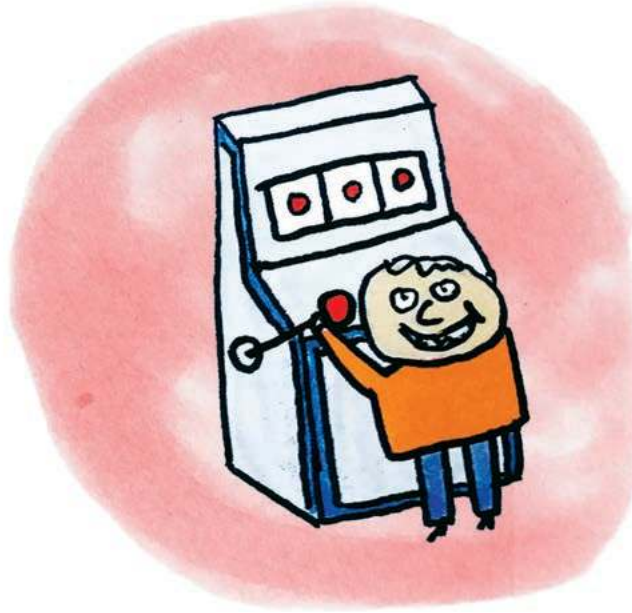

Mózg hazardzisty

„U nas historyjka dokładnie jest taka, / Że Rzeczaki pochłonęły bez reszty chłopaka. / Synek wpadł w nie

tak, / Jak śliwka w kompot wpada, / Bawi się nimi wciąż / I polskie imiona składa. / Jego ulubione poniżej opiszemy / – A może za to nagrodę zgarniemy?". To nie moje dzieło. To pani Ania, mama małego kolekcjonera, pod konkursowym postem na facebookowej stronie Rzeczaków. Zadaniem było wymyślenie polskich imion dla wybranych postaci, ale – jak widać na załączonym przykładzie – kreatywność rodziców i dzieci przerosła oczekiwania jurorów. Proponuję, by ten uroczy wierszyk potraktować poważnie. Nie jak kolejny przykład internetowej twórczości fanowskiej, ale jak rozpaczliwy apel o pomoc. Nawet jeżeli autorzy wcale nie zdają sobie sprawy, że mogą jej potrzebować...

■■■

W mózgu hazardzisty dzieją się dziwne rzeczy. Pobudzony ośrodek nagrody uwalnia dopaminę, ale zarazem domaga się wciąż nowych, coraz mocniejszych bodźców. Zupełnie tak, jak gdyby stymulowała go silnie uzależniająca substancja. Wytresowany mózg jest w stanie wytworzyć dojmujące poczucie braku, a nawet skojarzyć z przyjemnością odległe na pozór bodźce. Hazardzista może odczuwać przyjemne podniecenie nie tylko przechodząc obok kasyna, ale nawet mijając na ulicy autobus, którego trasa przebiega obok ulubionego salonu gier. Z czasem wszystko w jego świecie zostaje przemeblowane i ustawione na nowo wokół centrum, którym staje się nałóg. Jak do tego dochodzi? Uzależnienie od hazardu ma wiele wymiarów, ale psychologowie społeczni jako jeden z najistotniejszych wskazują samą strukturę gier.

Choć jednoręki bandyta technicznie jest prostą maszyną, co jakiś czas wypłacającą graczowi drobniaki, każdy automat jest produktem zaawansowanej nauki nazywanej „wzornictwem perswazyjnym", captologią lub krytycznie „projektowaniem nadużywającym zaufania użytkownika" (ang. *abusive design*). Eksperci z tej dziedziny całymi latami badają reakcje użytkowników na kolory, kształty czy dobór słownictwa, by tworzyć interfejsy gwarantujące najsilniejsze uzależnienie gracza, a w konsekwencji spędzenie przy maszynie maksymalnego czasu i rychły powrót z kolejnymi żetonami.

Podstawą uzależniającej magii automatów hazardowych jest jednak zawsze ten sam mechanizm. Hazardzista wielokrotnie wykonuje daną czynność (np. wrzuca żeton i pociąga wajchę), ale tylko niektóre powtórzenia są nagradzane. Gracz nigdy nie może przewidzieć, kiedy i jaką nagrodę otrzyma. Może nie wygrać nic, może dostać kilka złotych, ale wciąż żyje też nadzieją na ogromne pieniądze. Wie tylko, że jeżeli będzie grał dostatecznie długo – w końcu otrzyma upragnioną nagrodę. Wszystkie pozostałe elementy designu maszyny służą jedynie wzmocnieniu tego oddziaływania – kolorowe światełka, dźwięki, nawet metalowa taca, o którą brzęczą wypadające przy wygranej monety. Ta jedna dziwna sztuczka naprawdę robi z naszym mózgiem niesamowite rzeczy!

Z tej samej zasady nieregularnych wzmocnień czerpią swą moc Rzeczaki. Sięgając po nowy zestaw klocków, możemy się spodziewać, że w środku znajdziemy to, co zapowiedziano na opakowaniu. Naprawdę rzadko się zdarza, byśmy rozpakowując małą koparkę lego, odkryli nagle w środku super- zestaw kosmiczny za 800 zł. Tymczasem sięgając po saszetkę Rzeczaków dziecko nigdy nie wie, czy trafi na zwykłego szeregowca, któregoś z rzadkich srebrnych dowódców, a może samego Profesora?

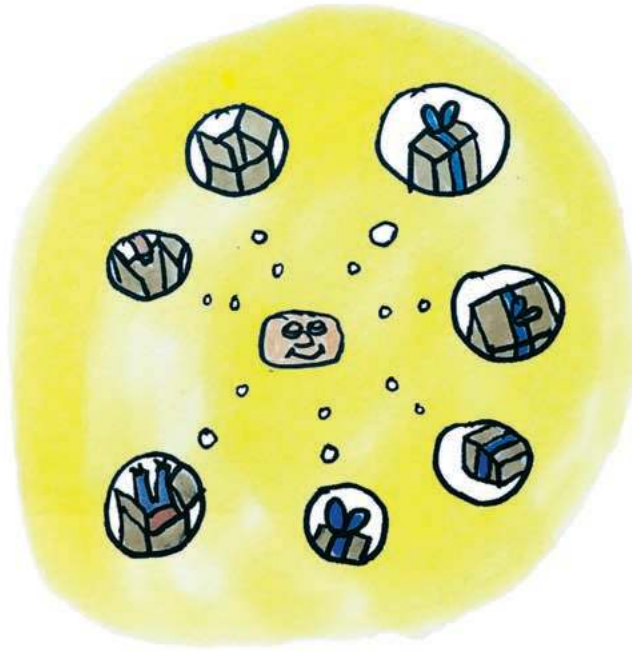

Rozkosz i ból kolekcjonera

„Rzeczaki, nowe kryształowe Rzeczaki – rozentuzjazmowany głos lektora przerywa blok filmów dla dzieci na jednym z popularnych kanałów. – Nowe drużyny, nowe postacie, nowe tajemnicze kryjówki. Rywale ścierają się z niesamowitymi pojazdami. Odgadniesz sekret Profesora? Ponad osiemdziesiąt nowych Rzeczaków do kolekcjonowania!". W tle dwójka dzieci, dziesiątki figurek, pojazdów, kryjówek, a także on – legendarny Profesor. W towarzyszących Rzeczakom broszurkach opisują go jako „ultrarzadkiego". Włączenie go do swoich zbiorów to marzenie każdego małego kolekcjonera.

■■■

Pan Paszczak, jeden z bohaterów Tove Jansson, był zrozpaczony, gdy udało mu się zgromadzić wszystkie znaczki pocztowe świata. „Nie jesteś już zbieraczem. Jesteś tylko posiadaczem, a to wcale nie jest równie przyjemne" – podsumował jego smutek empatyczny Muminek. Pragnienie zbudowania kolekcji doskonałej, które przez lata napędzało życie Paszczaka, w momencie spełnienia zmieniło się w rozczarowanie. Bo rozkosz kolekcjonera to skomplikowana sprawa.

Paradoksy kolekcjonowania doskonale uchwycili Mary M. Long i Leon G. Schiffman, ponad dwie dekady temu badający społeczność pasjonatów zegarków. Z zebranych przez naukowców wypowiedzi wynikało, że kolekcjonerzy działają w sposób spontaniczny, ale zarazem nieustannie ↦

planują; traktują swoje zajęcie jak zabawę, ale podchodzą do niego ze śmiertelną powagą; szukają poszczególnych obiektów, ale na uwadze mają całość zbioru. Ich pasja łączyła w sobie rozkosz i ból. „Kolekcjoner jest jak maszyna sterowana napięciem – podsumowywali Long i Schiffman – poszukuje zarówno środków budowania napięcia (pożądanie brakujących obiektów), jak i sposobów zredukowania go (dodawanie obiektów do kolekcji)".

Ale znaczki pocztowe, rośliny (na które później przerzucił się pan Paszczak) czy zegarki nie powstały po to, by je zbierać. Kolekcjonerska pasja jest tu tylko dodatkiem, więc równowaga między wielkością zbioru a dostępnością obiektów wcale nie musi być optymalna. Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa w przypadku przedmiotów od początku zaprojektowanych do zbierania. Tu napięcie sterujące mózgiem kolekcjonera nie jest już wynikiem jego własnych działań i pasji, lecz przedmiotem starannego planowania ze strony ekspertów.

Psychologowie społeczni rozwijający teorię „maszyn sterowanych napięciem" pokazali niedawno, że istnieją sposoby optymalizacji tego popędu, tak by kolekcjoner maksymalnie angażował się w swą pasję. Współczesne badania nad podsycaniem gorączki zbieraczy łączą klasyczną ekonomię (obliczanie optymalnej dostępności), ekonomię informacji (zarządzanie tym, jak kolekcjoner wytwarza sobie obraz całości zbioru i powiązań między nim), ale też psychologię motywacji (np. zasada „pierwszej działki gratis"). Wyzwanie musi być zarazem nie za łatwe i nie nazbyt trudne. Cały zbiór lub jego wyraźnie wyodrębnione części muszą znajdować się w zasięgu zbieracza, tak by poszczególne brakujące przedmioty wywoływały maksymalne uczucie wyłomu czy dziury w całości. Bo wszyscy – mali i duzi – uwielbiamy domykać kształty. Irytują nas braki, ubytki, puste miejsca.

Nowoczesny marketing, nie tylko kierowany do dzieci, doskonale rozumie ten mechanizm. Pomyślmy tylko o tych wszystkich seriach książek, które jakiś czas temu można było kupić w kioskach samopas albo dołączone do czasopism. (Wydaje mi się, że boom na nie trochę minął, ale może to tylko ja nieco uodporniłem się na książkową gorączkę?) Wielkie Dzieła Starych Mistrzów, Biblioteka Działkowicza, Cudowne Obrazy... Kupowało się jedną (często pierwsza była w promocji) – chciało się mieć całą serię. Żeby jeszcze zwiększyć napięcie kolekcjonera, na grzbietach pojawiły się najpierw wielgachne numery kolejnych tomów (jakoś głupio mieć na półce 1,3,4,6,7 a potem 14...). Wkrótce ich miejsce zajęły zdjęcia, obrazy czy skomplikowane ornamenty wymalowane tak, by każde brakujące ogniwo maksymalnie rzucało się w oczy, psując rozkosz podziwiania półki...

Przy Rzeczakach to wszystko amatorszczyzna! Każdy Rzeczak ma swojego antagonistę. Pasta walczy ze szczoteczką, pralka – ze skarpetą, ogień – z gaśnicą i tak dalej. Najłatwiej instynkt kolekcjonera zaspokoić kompletując pary. Rzeczaki łączą się także w drużyny liczące sobie po kilku zawodników i lidera. Można je więc kupować i wymieniać, by zgromadzić całą ekipę. Ale to dopiero początek. Figurki występują z różną rzadkością. Kryształowe i srebrne są rzadsze i cenniejsze od tych zwykłych, jeszcze trudniej trafić na któregoś ze złotych superliderów. Profesor zaś stanowi obiekt niemal legendarny. Fantazja o jego znalezieniu rozpala małe umysły przy otwieraniu każdej saszetki, będąc odpowiednikiem wielkiej wygranej w kasynie. Optymalizacja doświadczenia kolekcjonerów została tu przeprowadzona z imponującą precyzją.

O świecie Rzeczaków opowiadają komiksy. Dorosły, który podejmie wyzwanie ich lektury, zderza się z czymś, czego nie sposób nazwać inaczej, jak tylko murem dziwności. Opisywane w nich przygody nie mają sensu. I to nie w znaczeniu, w jakim dziwaczne, naciągane, nieprawdopodobne czy wydumane bywają przygody wielu bohaterów dziecięcej wyobraźni. Przygody Rzeczaków nie układają się w żadną fabularną całość, a zarazem rządzi nimi wyraźny porządek. Dzieje się tak dlatego, że wszystko, co przydarza się Rzeczakom, jest całkowicie podporządkowane sprzedaży. Komiksy zorganizowane są w powtarzalne struktury, ale polegają one na tym, by w jednym odcinku upchnąć jak najwięcej produktów – postaci, pojazdów, kryjówek, budynków – a także wskazać organizujące je relacje. Są to więc niekończące się opowieści o walkach, pościgach, łączeniu się w pary, drużyny, szeregach dowodzenia, ale też o sekretnych drzwiach (kluczowa cecha plastikowych tajnych laboratoriów i skrytek). Dla fabuły ważne jest więc to, że jakaś część zabawki się obraca, albo że cukierek dowodzi gitarą, a gitara – pizzą. Nieistotne natomiast i niewypowiedziane pozostają charaktery bohaterów, kierujące nimi motywacje i reguły obowiązujące w świecie przedstawionym.

Rzeczaki wywołują poczucie dziwnej, kosmicznej wręcz obcości, bo opowieści o nich są tak naprawdę wyłącznie opowieściami o kolekcjonowaniu – czystym rozbudzaniem pożądania. Kreśleniem schematów i figur, które umysł będzie chciał potem domknąć, posiąść, skompletować.

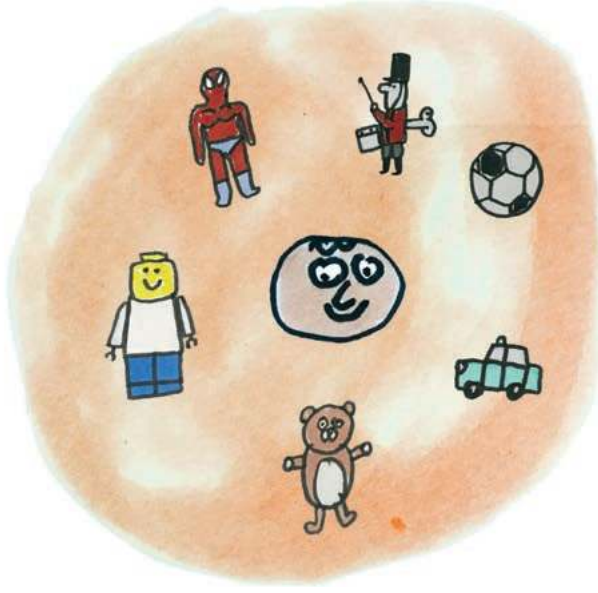

Rówieśnicy w realu i wirtualu

„Tato, a ja też będę w tym artykule o Rzeczakach?" „Jeżeli chcesz." „Pewnie!" „To co mam napisać?" „Napisz koniecznie, że jako jedyny w całej grupie mam srebrną rolkę z trzeciej serii. Nawet K. takiej nie ma."

To poważna sprawa, bo K. to prawdziwy ekspert od Rzeczaków. Ma ich najwięcej – podobno nawet Profesora. Prawie wszystko, co mój syn wie o Rzeczakach, pochodzi od K. albo innych kolegów. Swoją wiedzę uzupełnia czytając specjalne rzeczakowe czasopismo i dołączane do saszetek listy, ale ostatecznie to K. zawsze ma rację.

Pewnego dnia mój syn stwierdził, że „ci ludzie w gazetkach kłamią". Trochę się zmartwiłem, a trochę poczułem ulgę. W sumie może to dobrze, że ta świadomość przyszła raczej wcześniej niż później. Ale okazało się, że nie chodzi o zatroskanie kondycją mediów, tylko – jak zwykle – o Rzeczaki. Bo w gazetce piszą, że cukierek służy Profesorowi, a K. mówi, że wcale tak nie jest. A to przecież jasne, że rację ma ostatecznie kolega, który o Rzeczakach wie wszystko.

■■■

A jeżeli akurat nie ma w pobliżu wkręconego w Rzeczaki kolegi? Animatorzy figurkowego szału i na to mają sposób. Producent Rzeczaków wyjątkowo sprawnie współpracuje z youtuberami. W jednej z gazetek przeczytać można np. historię kilkuletniego imiennika mojego syna, który prowadzi autorski kanał na popularnym portalu (młodej gwieździe internetu pomaga sporo starszy brat, który akurat przypadkiem zarządza małą firmą marketingową.) Trzydziestominutowy film, w którym chłopiec rozpakowuje dziesiątki saszetek, obejrzano ponad pół miliona razy. Podobnych kanałów są w polskim i światowym internecie setki, na każdym – dziesiątki lub setki filmów. „To jak metamfetamina dla kilkulatków" – przestrzega na jednym z anglojęzycznych blogów zaniepokojona matka, której syn nie tylko zwariował na punkcie zabawek-niespodzianek, ale całymi dniami chciałby oglądać komputerowych rozpakowywaczy. Dlaczego to właściwie działa?

Badania nad wpływem grupy rówieśniczej mają długą tradycję. Choć duża ich część za przedmiot obiera zachowania kryminalne i spożycie substancji niedozwolonych, to nie brak także studiów z zakresu marketingu. Z punktu widzenia psychologii społecznej kluczowe wydają się tu dwa mechanizmy: konformizm i heurystyka dostępności. Pierwsza zasada mówi po prostu o tym, że w wielu sytuacjach chętnie przyjmujemy za własne poglądy i zainteresowania ludzi, którymi jesteśmy otoczeni. Druga – w pewnym uproszczeniu – że bardziej prawdopodobne wydaje nam się zdarzenie, które akurat mamy w pamięci.

Doskonały przykład działania tego mechanizmu znajdziemy w książce „Impuls" noblisty Richarda Thalera i Cassa Sunsteina. Jednym z istotnych czynników wpływających na spożycie alkoholu przez studentów jest ich przekonanie o tym, że wszyscy studenci piją. To coś więcej niż błędne koło! Ponieważ pijani zwracają na siebie uwagę bardziej niż trzeźwi, badani mieli tendencję do znacznego przeceniania liczby rówieśników spożywających alkohol i „typowej" częstotliwości upijania się. Następnie własne zachowania, przynajmniej do pewnego stopnia, odnosili do tego, co uznawali za studencką normę. Podobna presja oddziałuje na przedszkolaka otoczonego rzeczywistymi i wirtualnymi rówieśnikami zbierającymi Rzeczaki. Każdy nowy kolekcjoner zmienia się w bezcennego ambasadora marki, godzinami opowiadającego kolegom o zawiłościach figurkowego hobby. Wystarczy kilku maniaków zarażonych rzeczakowym bakcylem, by wyrobić w dzieciach poczucie, że wszyscy rozmawiają tylko o poszukiwaniu Profesora.

Pomaga w tym fakt, że Rzeczaki są tak chłopakowe, jak to tylko możliwe. Zajmują się wyłącznie walczeniem, mają supermoce, są wśród nich takie postaci jak Zgniła Skarpeta czy Pan Sedesik, przywołujące nutkę obrzydliwości tak cenioną przez młodych ludzi w tym wieku. Wśród popularnych konkurentów Rzeczaków znajdziemy na sklepowych półkach przeróżne Śmieciaki, Potworzaki czy Zombiaki. Oczywiście są i warianty dziewczyńskie – słodkie laleczki, zwierzaczki i futrzaste stworki. Obowiązkowo przybrane w barwy złoto-różowo-lukrowe. Umacnianie stereotypów jest potężnym narzędziem zwiększania presji rówieśniczej. Zwłaszcza wśród przedszkolaków, dla których kategorie „dla chłopaków" i „dla dziewczyn" są bardziej klarowne i rozłączne niż dla jakiejkolwiek innej grupy wiekowej.

Rzeczakowy nałóg nie przecina więzi społecznych, lecz je podtrzymuje, umożliwia, a w skrajnym przypadku – wręcz monopolizuje. Zafascynowane dzieciaki rozmawiają tylko o Rzeczakach, wcielają się w nie, rysują je, jeżdżą pojazdami i chronią się w kryjówkach. Szczególnie ciekawa wydaje mi się w tym kontekście rola rodziców.

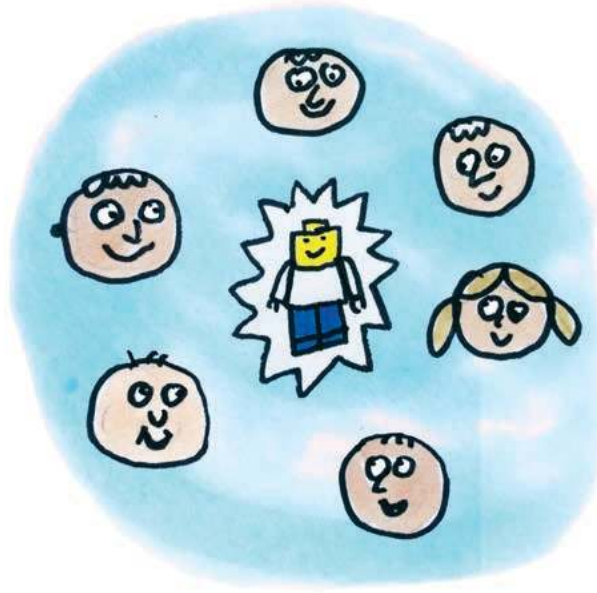

Współuzależnieni rodzice

Z obłędem w oczach wpadamy do trzeciego z kolei sklepu. Pytanie o Rzeczaki rzucamy już od wejścia. Pani za kasą doskonale wie, o co chodzi. Zbliża się Dzień Dziecka. Rzeczaków nie ma już od tygodnia. I nie ma szans, że przed 1 czerwca się pojawią. Można zamówić w internecie, ale nie dojdą na czas.

Wreszcie wydaje się, że szczęście się do nas uśmiechnęło. Plakat z Rzeczakami dostrzegam kątem oka na drzwiach uniwersyteckiego kiosku, do którego poza studentami i wykładowcami nikt raczej ↦

nie zagląda. Czy to możliwe, że właśnie odnalazłem rzeczakowe Eldorado? Źródło nieograniczonych zapasów figurek o dowolnej porze roku? Niestety... Nie ma. Wykupione. Ale w piątek będzie duża dostawa.

Wracam na kampus w połowie kolejnego tygodnia. Rzeczaków już nie ma. Zeszły wszystkie pierwszego dnia. Ludzie brali po kilkanaście sztuk. Łapię się na tym, że chciałbym zaprotestować. Że to nie fair, żeby sobie ktoś brał kilkanaście Rzeczaków, skoro dla innych nie starcza. Powinno być sprawiedliwie. Jeden klient – jedna saszetka. Gdy wtem na ladzie widzę samotną saszetkę. „Tego nie mogłam sprzedać – mówi pani z kiosku. – Kod nie przechodzi na kasie". Kiedy wreszcie udało mi się wybłagać tego jednego, smętnego Rzeczaka za 3,99 zł, czułem się jak zwycięzca. Do domu wracałem jak bohater, fantazjując o tym, jak bardzo synek będzie ze mnie dumny.

■■■

To, co sprawia radość moim dzieciom, jest ważne i dla mnie. Próbuję więc zrozumieć i polubić Rzeczaki, mimo wątpliwości co do granicy między świetną zabawką a cynicznym wykorzystywaniem dziecięcej psychiki. Wygląda na to, że w swoich staraniach wcale nie jestem osamotniony.

Wielogodzinne lektury internetowych komentarzy, lamentów, pochwał i złorzeczeń utwierdziły mnie w przekonaniu, że rodzice rzeczakowych dzieci to także ciekawa społeczność. Tworzymy coś w rodzaju grupy wsparcia dla współuzależnionych. Chcielibyśmy po prostu sprawić naszym pociechom przyjemność, ale zarazem wielu z nas czuje, że w tej grze szanse są nierówne. Rysujemy z maluchami ożywione pizze walczące z hot-dogami, dyskutujemy o wyższości złotego cukierka nad dynią, a nawet przebieramy się za superzłoczyńców. Ale nasza kreatywność nie może wyczarować jedynej rzeczy, na której dzieciakom naprawdę zależy – upragnionej figurki Profesora. Ten głód zaspokoić można tylko kupując kolejne saszetki. Wywoływane przez speców od marketingu spontaniczność i współuczestnictwo kończą się tam, gdzie zaczyna się zarabianie pieniędzy.

Skalę kolekcjonerskiej gorączki i desperacji rodziców można sobie w pełni uświadomić na innej facebookowej grupie – „Wymiana figurek Rzeczaków PL". Pełno tam ogłoszeń, w których rodzice poszukują dla dzieci ostatnich brakujących do kolekcji figurek albo próbują odzyskać część zainwestowanego kapitału, spieniężając powtarzające się postaci. Ceny za Profesora K oscylują na Allegro wokół 150 zł. Niby nie tak dużo, ale pojedyncza saszetka to – jak wspominałem – niecałe 4 zł. Podejrzewam, że przy systematycznym podejściu obrót Rzeczakami mógłby się okazać całkiem niezłym interesem... Chyba że kolekcjonerski balon pęknie nagle, ustępując miejsca jakiejś nowej manii.

Zamiast panikować – uczmy się języka

Gdybyśmy pewnego dnia dowiedzieli się, że jedna z popularnych zabawek nasączana jest substancją wywołującą silną reakcję uzależniającą, pewnie nie mielibyśmy wątpliwości: dzieci nie mogą się tym bawić, producenci muszą ponieść surową karę, trzeba przeprowadzić szeroko zakrojone śledztwo i wdrożyć mechanizmy, które zapobiegną podobnym sytuacjom w przyszłości. Ale Rzeczaki – choć ich fikcyjny świat roi się od sekretnych laboratoriów i szalonych naukowców – nie są pokryte żadną tajemniczą substancją. Więc sprawa nie jest prosta.

W dodatku, żeby jeszcze bardziej skomplikować obraz całości, warto zwrócić uwagę na dwie istotne kwestie. Po pierwsze, istnieją produkty dla dzieci naprawdę nasączone substancjami wywołującymi silną reakcję organizmu. Tak właśnie działają powyżej pewnej dawki cukier, sól czy tłuszcze. Ale obecność chipsów i słodkich napojów w dziecięcym menu uznajemy za zupełnie normalną i dozwoloną. Po drugie, Rzeczaki to produkt szczególnie umiejętnie zaplanowany, ale w żadnym razie nie wyjątkowy. Wokół nas pełno przecież jajek z niespodzianką, kart kolekcjonerskich, naklejek schowanych w gumach do żucia i gier komputerowych z randomizowanymi wzmocnieniami... Gorzej! Facebook i YouTube opierają się na mistrzowskim wykorzystaniu bardzo podobnych mechanizmów psychologicznych.

Nic zatem dziwnego, że w przestrzeni publicznej coraz częściej daje się słyszeć wołanie na trwogę. „Z egoistycznej perspektywy korporacji dzieci to niewiele więcej niż okazje do wykorzystania lub koszty, których należy uniknąć – możemy przeczytać w książce „Dzieciństwo w oblężeniu" Joela Bakana, jednego z najsurowszych krytyków współczesnego kapitalizmu. – W miarę, jak korporacje stają się dominującą (albo główną) siłą w życiu dzieci i rodziców, ta moralnie krótkowzroczna perspektywa oraz wynikające z niej praktyki w coraz większym stopniu określają nasze, jako społeczeństwa, myślenie o dzieciństwie i podejmowane przez nas działania. (...) Jest to zjawisko dość nowe. Warto powtarzać, że przez większą część XX wieku, stulecia dziecka, stosunek do dzieciństwa był życzliwszy. Panowało powszechne przekonanie, że społeczeństwa mają obowiązek chronić dzieci przed ekonomicznym wyzyskiem i krzywdą, stwarzać im możliwości rozwoju, realizacji ich potencjału, pozwolić, by wyrosły na zaangażowanych i produktywnych obywateli demokracji, a realizacją tych zadań zajmują się rządy i instytucje publiczne".

Przed narzędziami nowoczesnego marketingu nie ma ucieczki. Nie zamkniemy nas i naszych dzieci w rezerwatach, w których internet będzie się przynosić wiadrami ze studni.

Tym bardziej warto dyskutować o psychologicznym i kulturowym wpływie, jaki wywierają na nas projektanci dóbr i usług. Rozmawiajmy więc między sobą – w gronie rodziców, publicystów, stowarzyszeń branżowych, badaczy i legislatorów – ale także z dziećmi. Zamiast panikować, lepiej poznawać opisane tu mechanizmy (i wiele innych), świadomie ustalać zasady, uczyć czujności i wyznaczać granice.

Język kapitalizmu jest potężny i wszechobecny. Nic nie wskazuje na to, by w najbliższym czasie miał ustąpić pola jakiemuś innemu dialektowi. Dlatego warto uważnie przestudiować jego słownik. Żebyśmy to my posługiwali się tym językiem, a nie on – nami.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Rodzice z planety niedoboru

AGNIESZKA GARWOLIŃSKA, STRATEG MARKETINGU:

Odmowa zakupu wywołuje płacz, tupanie nogami, ale za kwadrans jest po kryzysie – bo uwaga dziecka koncentruje się na czymś innym. Tylko nam się wydaje, że mówiąc „nie" łamiemy mu serce.

MAREK RABIJ: Ma Pani troje dzieci.
AGNIESZKA GARWOLIŃSKA: Ignacego, Tymka i Zoję.

I zawodowo zajmuje się Pani tworzeniem strategii marketingowych dla produktów dziecięcych.
Między innymi dla produktów dziecięcych. Uważa pan, że nie można tego pogodzić z macierzyństwem?

O to chcę spytać Panią. Co myśli Pani – jako matka – słysząc zapewnienia kolegów z branży, że marketing i reklama produktów dziecięcych opiera się na komunikacji z rodzicami. Według mnie jest dokładnie na odwrót: mówicie cały czas do dzieci, a jedynie udajecie, że to przekaz do rodziców.
Ma pan rację.
Na dzieci działają zupełnie inne bodźce niż na dorosłych. Dlatego nie można trafić w reklamie do dzieci, nie mówiąc do dzieci.

To zapytam inaczej, jak rodzic: a nie moglibyście ograniczyć tej komunikacji wyłącznie do dorosłych? Dziecko nie rozumie przecież konwencji reklamy.
A ja odpowiem jako matka: bardzo bym tego chciała. Ale jako człowiek z branży dodam od razu, że to niemożliwe.

Zbyt wysoka stawka? Rynek produktów dziecięcych w Polsce to dziś ponad 10 mld zł rocznie i około 5 tysięcy firm, które dają zatrudnienie setkom tysięcy osób.
Nie o to chodzi. Dziecko nie rozumie komunikatów ze sfery, nazwijmy to, racjonalnej. Nie nakłoni go pan do wypicia musu owocowego, tłumacząc mu na przykład, że to dobre dla jego zdrowia, bo zdrowie dla pięciolatka jest pojęciem abstrakcyjnym. Dziecko chce się natomiast bawić. Odbiera świat przede wszystkim poprzez zabawę.
Z punktu widzenia strategii marketingowej oznacza to, że musimy budować komunikację dwuwarstwowo, żeby przekaz był czytelny dla rodzica i jednocześnie atrakcyjny dla dziecka. Bez dotarcia do dzieci nie ma sensu przekonywać rodziców, bo komunikacja z dorosłymi potrzebna jest nam tylko do tego, żeby zracjonalizować i zoperacjonalizować wcześniejszy wybór dziecka. Rodzic bardzo rzadko sam wybiera zabawkę, zwykle sięga po to, czym interesuje się dziecko. Oczywiście, czasem kupujemy produkty, które arbitralnie uważamy za „dobre dla dziecka", lecz nawet wtedy kluczowym wyznacznikiem oceny trafności wyboru pozostaje reakcja obdarowanego: czy dziecko się tym bawi, czy mu smakuje, czy chętnie zakłada na siebie.

Zgoda co do ubrań lub żywności, ale nie zatrzymujmy się na dole piramidy Maslowa. Bo co z zabawkami? Kupując paczkę figurek do kolekcjonowania lub kolejne autko, nie zaspokajam przecież naturalnej potrzeby syna. Nie ma mowy o synergii między tym, co przyjemne, i tym, co pożyteczne. Reaguję jedynie na zapotrzebowanie, które u dziecka wykreowali specjaliści od marketingu.
I zakłada pan, że niesie to potencjalne zagrożenia dla synka?

Nie chodzi o zagrożenia. Po prostu nie widzę korzyści, które uzasadniałyby taki wydatek. Pokój ma zagracony klockami, autkami, maskotkami i grami, z których wiele leży nietkniętych od dnia zakupu.
My, dorośli, mamy paskudną tendencję do racjonalizowania i wartościowania zachowań dzieci. Wydaje nam się, że każda zabawa i każda zabawka musi dzieci czegoś uczyć, inaczej nazywamy ją miałką, uznajemy za stratę czasu albo nawet coś szkodliwego. W tym założeniu tkwi jednak błąd, bo każda zabawa rozwija dziecko.
Weźmy jako przykład figurki do kolekcjonowania. Oczywiście nie twierdzę, że to produkt wymyślony po to, żeby stymulować rozwój intelektualny ↦

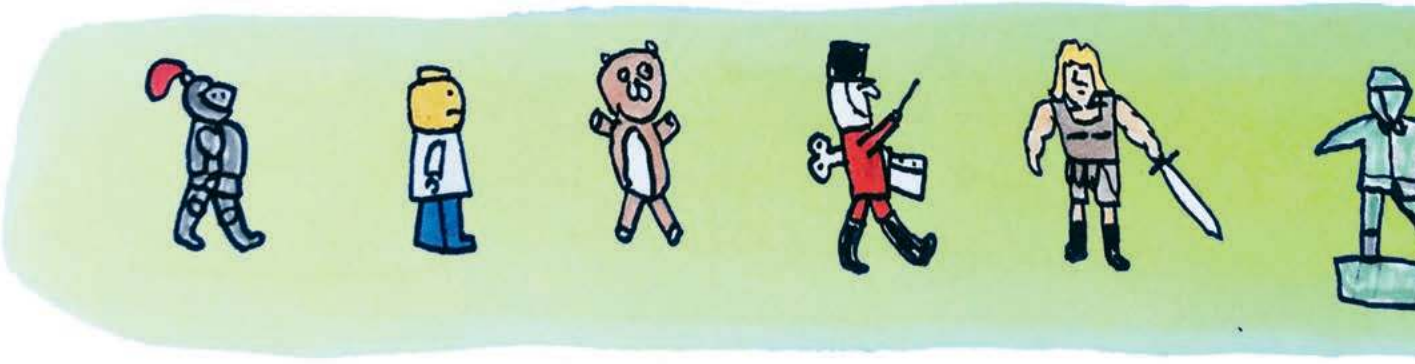

↦ dzieci. Intencją producenta był przede wszystkim zysk, a dobro małych konsumentów być może nie obchodziło go w ogóle. Tylko że dzieci i tak kolekcjonują te figurki po swojemu. Zaczynają się nimi wymieniać, handlować, a w ten sposób przy okazji uczą się relacji interpersonalnych i doskonalą umiejętności negocjacyjne. Zabawki wymyślają i projektują oczywiście dorośli. Na pewnym etapie produkcji zwykle bierze się też pod uwagę opinie dzieci-testerów, ale to wciąż nie oznacza, że producent ma pełną kontrolę nad tym, w jaki sposób dziecko będzie korzystać z jego produktów.

Dla producenta liczy się zachowanie wpływu na decyzje zakupowe, a nie na to, jak dzieci będą z kupionych zabawek korzystać.

Tylko że traci go z chwilą, kiedy dziecko przestanie mieć przyjemność z zabawy jego produktem – a jak powiedzieliśmy, sposobu użycia produktu nie da się całkowicie zaprogramować.

Czyżby? Zabawki coraz częściej podsuwa się dzieciom wraz z gotową instrukcją użycia. Jedne nawiązują do znanych filmów i seriali. Innym towarzyszą gazetki czy aplikacje mobilne, za pomocą których producent wychodzi poza rolę dostawcy figurek lub kart. Staje się coraz częściej moderatorem zabawy.

Zgoda. Producenci próbują. Ale nawet za pomocą tak wyrafinowanych narzędzi mogą utrzymać zainteresowanie małych klientów najwyżej przez kilka miesięcy. Proszę zwrócić uwagę, jak szybko zmieniają się dziecięce mody. Dziś figurki z serialu A, jutro gra oparta na filmie B, pojutrze karty firmy C. To, co rodzicom jawi się czasem jako niemal makiaweliczna manipulacja, z perspektywy producentów jest desperacką walką o podtrzymanie zainteresowania. Bo dzieci szybko się nudzą. Wiele produktów okazuje się niewypałem, ale my zauważamy tylko te, które odnoszą sukces, i analizujemy go potem wstecz, łatwo dochodząc do wniosku, że marketing posiadł klucz do ludzkiej duszy. W rzeczywistości to ciężka robota obarczona wysokim marginesem błędu.

Nadal Pani nie współczuję jako rodzic. Jedna paczuszka z figurkami Rzeczaków, o których pisze w tym numerze Marcin Napiórkowski, kosztuje ok. 4 zł. Niewiele, ale dziecko, które się wkręci w tę zabawę, codziennie oczekuje nowej dostawy. Po dziesięciu dniach koszty zrównają się więc z ceną dobrze wydanej książki. Jeśli stać mnie na jedno i drugie, nie ma problemu. Dla mniej zamożnych rodziców zabawa w Rzeczaki może stać się pułapką.

Moim zdaniem rodzic zawsze ma wybór.

Między rezygnacją z własnych potrzeb i pragnień a skazaniem dziecka na grupowy ostracyzm?

Efektu „Gry o tron", jak to nazywam, rzeczywiście nie powinniśmy lekceważyć. Kiedy grupa rówieśnicza żyje jakimś tematem, całkowite odcięcie dziecka od niego będzie dużym błędem. Ale można też powiedzieć: stop. Na razie nie kupujemy nowych figurek, możesz bawić się tymi, które już masz. Albo kupować mniej. Dziecko będzie oczywiście niezadowolone. Ale to my trzymamy kasę.

Dziecko będzie, jak pisze specjalista marketingu dziecięcego James McNeal, wywierać na rodzica presję, używając siedmiu stopni marudzenia: od kwękania aż po „nienawidzę cię".

Nie nadawałabym temu aż takiego znaczenia. „Nienawidzę cię" w ustach kilkulatka nie jest wyrazem jego prawdziwych uczuć; to bardziej objaw erystycznej bezsilności.

Wiem, przerabiałem.

Miał więc pan również okazję, by zaobserwować, że reakcje dzieci są gwałtowne, ale krótkotrwałe. Odmowa zakupu wywołuje płacz, tupanie nogami, ale za kwadrans jest po kryzysie – bo uwaga dziecka koncentruje się na czymś innym. Tylko nam się wydaje, że mówiąc „nie" łamiemy mu serce, rujnujemy zaufanie, słowem – stajemy się złymi rodzicami. Kiedy w rachubę wchodzi bezpieczeństwo dziecka lub jego zdrowie, jakoś umiemy być bezkompromisowi, wyznaczyć nieprzekraczalne granice. Ale gdy w grę wchodzą tylko zakupy, miękniemy i ulegamy.

Czasem tak jest po prostu łatwiej.

Albo realizujemy w ten sposób własne, niespełnione marzenia o pokoju pełnym zabawek. Dzieciństwo pokolenia 40-letnich rodziców było przecież wypełnione brakiem.

Kuszące założenie. Zwłaszcza dla producentów, bo całą odpowiedzialność przerzuca na rodziców. Ale to producenci, nie rodzice, wydają miliony na poszukiwania nowych sposobów manipulowania emocjami dzieci.

Owszem. Dlatego powinniśmy umieć chronić dzieci przed tym wpływem i uczyć je żyć w jego zasięgu. Kiedy dorosną, będą nadal poddawane presji, tylko już za pomocą innych narzędzi marketingowych.

Pani łatwiej, bo pracuje Pani w branży i zna jej sztuczki.

Myśli pan, że to mi daje przewagę? Ile razy na zakupach mówiłam sobie: „Aga, co ty wyprawiasz, nie kupuj tego. Przecież wiesz, jak cię teraz rozgrywają, więc dlaczego ulegasz?". Ale ulegam i tak.

Znikąd nadziei?

Wręcz przeciwnie. Pan i ja jesteśmy wciąż z planety niedoboru. Po prostu lubimy ulegać wpływowi marketerów, bo lubimy kupować. Pokolenie dzisiejszych nastolatków i młodych, którzy właśnie wchodzą na rynek pracy i zakładają rodziny, myśli już inaczej – do tego stopnia, że dla producentów stanowi wielką niewiadomą. Nie wiadomo, jak ci ludzie będą się zachowywać jako rodzice, bo jako konsumenci są wyraźnie odrębną generacją. Zakupy nie są już dla nich fetyszem, lecz transakcją, w której od drugiej strony wymagają uczciwości. A wysoka jakość produktu nie jest dla nich atutem. Przeciwnie, traktują ją jak coś naturalnego, niemal warunek brzegowy.

Kiedyś wystarczyło powiedzieć w reklamie, że nowy jogurt ma jeszcze większe kawałki owoców i dla części odbior-

ców stanowiło to ważną wskazówkę podczas zakupów. Dla współczesnych młodych konsumentów każdy jogurt musi mieć „jeszcze większe kawałki owoców". Sprawdzają jakość składników i zgodność opisu na forach internetowych. Nie ufają reklamie. Domagają się, żeby firmy, którym dają zarobić, w zamian zmieniały świat na lepsze. Producent nie może już zrobić kampanii, w której będzie jedynie załamywać ręce nad losem małp zagrożonych wyginięciem. Klienci żądają, żeby elementem tej kampanii były konkretne działania na rzecz poprawy losu zagrożonych gatunków.

Tylko jak to się ma do figurek, od których zaczęliśmy?

Otóż ma – i to dużo. Bo diametralnie zmienił się społeczny kontekst działań marketingowych. Firmy nie działają już w Polsce na rynku spragnionym nowych produktów. Gra toczy się w warunkach gospodarki nadmiaru, w której trzeba stale walczyć o uwagę konsumenta. A jednocześnie klienci zaczynają dostrzegać, że znaleźli się w konsumpcyjnym ślepym zaułku. Kiedyś taki dyskurs był specjalnością grupki przywiązanych do drzew radykałów. Dziś upowszechnił się do tego stopnia, że dzieci nawet w przedszkolu słyszą o konieczności ratowania planety. Myślę, że dla pańskiego syna, podobnie jak dla moich dzieci, segregowanie odpadów i rezygnacja z plastiku jest już naturalnym odruchem.

Pięciolatek uwierzy, że „mniej znaczy więcej"?

Kiedy w rachubę wchodzi bezpieczeństwo dziecka lub jego zdrowie, umiemy być bezkompromisowi, wyznaczyć nieprzekraczalne granice. Ale gdy w grę wchodzą tylko zakupy, **miękniemy i ulegamy**.

ARCHIWUM PRYWATNE

AGNIESZKA GARWOLIŃSKA od 25 lat zajmuje się strategią marki i komunikacji. Doradzała największym polskim producentom, w tym właścicielom wielu znanych marek dziecięcych. Wykłada w Collegium Civitas.

Nam, rodzicom, stwarza to doskonałą okazję, żeby nasze „nie" podczas zakupów powiązać z czymś, z czym dzieci będą mogły się utożsamić. Możemy ich „chcę", skupione na posiadaniu nowego produktu, skierować na pragnienie czegoś innego.

Ja swoim dzieciom powiedziałam: żadnych plastikowych drobiażdżków, kulek z gumami, piłeczek. Wytłumaczyłam, że pobawią się tym pięć minut i wyrzucą do kosza. Czyli wyprodukują kolejne plastikowe śmieci, a przecież nie chcą zaśmiecać planety.

Podziałało?

Nie od razu. Były oczywiście protesty, ale szybko nauczyły się przechodzić w centrach handlowych obok automatów z tym plastikiem bez emocji. I nawet zaczęły przekonywać kolegów, żeby nie kupowali czegoś, czego nie potrzebują.

Tylko że plastikowych kulek z automatu nikt nie reklamuje w telewizji, ani nie wysyła do odpakowania ludziom prowadzącym internetowe kanały o zabawkach.

Ale nawet emocje rozkręcone przez producenta mogą być sojusznikiem rodziców. Kupując dziecku rzadziej wymarzoną rzecz, sprawimy mu także większą radość. Wyczekany prezent smakuje przecież lepiej od otrzymanego na poczekaniu. Zapomnieliśmy o tym gdzieś w trakcie nadrabiania zaległości po pustych półkach. Teraz mamy okazję, żeby to sobie przypomnieć.

©℗ Rozmawiał MAREK RABIJ

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia**: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak:
Noe i Jonasz

Te dwie opowieści łączy woda. Woda pełna niebezpieczeństw, ukrytych stworzeń, niezwykłych głębin. Jest to żywioł obojętny na los ludzi. Uspokaja, wprowadza w mistyczny nastrój (Tomasza Manna i nie tylko), ale też niepokoi. Potrafi pokonać najgroźniejszego przeciwnika. W przypadku Noego woda niesie zniszczenie. Wody potopu gromadzą się i rozlewają przez 40 dni. Tyle samo trwa nawrócenie Niniwy. W drugim przypadku – Jonasza – z wody przychodzi ocalenie.

Noe w swoim pływającym zoologu zgromadził tysiące zwierząt. Na obrazie ludowego artysty ponad arkę wystaje szyja żyrafy i cielsko słonia. W oknie siedzi Noe i spokojnie wędkuje. W opowieści o Jonaszu czytamy, że płynie swoją podwodną łodzią i może z niej oglądać zatopione miasta, które pozostały gdzieś na dnie oceanu po wielkim potopie.

Obie opowieści ukazują podobny stosunek Boga do ludzi. Ukazują Boga powszechnego. Boga całej ludzkości. Partykularyzm i plemienność wprowadzone zostają dopiero opowieścią o Abrahamie. To z jego nasienia ma przyjść ocalenie.

Zwierzęta przed Noem dopuściły się grzechu. Zepsucie, jak czytamy w Księdze Rodzaju, dotknęło wszystkiego: ziemi, ludzi, roślin i zwierząt. Ludzie przestają być wtedy wegetarianami, pojawiają się pory roku. W opowieści o Jonaszu widzimy zwierzęta inaczej. Wielka ryba, którą sobie wyobrażano na podobieństwo strasznego lewiatana, połknęła proroka i bezpiecznie przewiozła do miejsca przeznaczenia. Nie uczyniła niczego złego. Cały i zdrowy Jonasz wylądował u brzegu zepsutego miasta. Zwierzęta w Niniwie założyły worki pokutne. Łby pokryto im popiołem. Pościły. One też brały udział w ceremonii pokuty. Miał się do niej przyłożyć nawet mały robak, który odsłonił słabość myślenia proroka.

Obaj mężowie mieli ten sam cel. Ocalić i naprawić świat – *olam tikkun*. Pierwszy uczynił to rewolucyjnie. Budował na nowo ludzkość z nadzieją, że będzie lepsza niż wtedy, gdy giganci krzyżowali się z ludzkimi kobietami. W drugim wypadku naprawa nie wymagała takich ofiar. Wymagała przemiany wewnętrznej ludzi grzesznych.

Wspólne obu opowieściom jest słowo *hamas* – zepsucie. Zawiera się w nim nie tylko opis moralnej katastrofy: korupcja jest katalizatorem obu opowieści. W każdej pojawia się zapowiedź zniszczenia. W historii Noego zniszczenie jest celem samym dla siebie. W historii Jonasza celem Boga jest przemiana Niniwy. Zło w Niniwie nie wywołuje u Boga wstrętu. Nie rodzi gniewu. Bóg nie nakazuje Jonaszowi budować arki. Nie odwraca się od ludzi i zwierząt. Tym razem oczekuje skruchy, a nie kolejnego potopu. Chce ocalenia miasta inaczej niż sam Jonasz, wściekły na łaskawość swego Pana.

On chciał zniszczenia Niniwy. Bóg pragnął pokoju. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Bogacze

Pamiętamy przypowieść o człowieku, który odniósł wielki sukces. Ma wszystko, czego dusza zapragnie, i to dzięki własnej genialnej przedsiębiorczości. Uznał więc siebie za najszczęśliwszego na świecie.

W tym, że człowiekowi zdarza się stracić rozum, nie ma nic dziwnego. Na szczęście istnieje Ktoś, kto głowy nigdy nie traci ani z nadmiaru szczęścia, ani nieszczęścia. I nie tyle włącza się, ile nieustannie jest we wszystkim, co się gdziekolwiek na świecie dzieje, i ten świat nieustannie tworzy. Dlatego usiłuje człowieka, który własnymi rękami siebie i innych wykańcza, ratować. Bywa, że reaguje ostro. Najczęściej przez kogoś lub przez coś. Na przykład przez przyjaciela, który ma odwagę powiedzieć prawdę w oczy. Właśnie w takiej przyjacielskiej naganie można usłyszeć głos Boga: „»Głupcze, tej nocy życie ci będzie odebrane. Komu więc przypadnie to, co przygotowałeś?«. Tak dzieje się z każdym, kto skarby gromadzi dla siebie, a nie jest bogaty przed Bogiem”.

Ale co to znaczy: być bogatym przed Bogiem? Odpowiedź, jaką najczęściej słyszymy, to zachęta do ubóstwa pojmowanego jako ograniczenie swoich potrzeb do minimum, albo wyzbycie się wszystkiego, łącznie z życiem. Ale my znamy ludzi, którzy tak właśnie postępowali i nic dobrego z tego nie wynikło. Świadczy o tym, jakby z konieczności, tragiczny los wielkich i małych dyktatorów. Kradzieże, zabójstwa, oszczerstwa itd. z wojnami włącznie. Te wszystkie nieszczęścia mają wspólny korzeń: to uzurpacja. Przyznanie sobie prawa do decydowania, kto na tym świecie może łaskawie istnieć, a dla kogo miejsca tutaj nie ma i być nie może. Dlatego można przyjąć, że ubóstwo w znaczeniu ewangelicznym to nie kwestia posiadania lub nieposiadania, ale, jak mówi papież Franciszek, kwestia gościnności. To znaczy przekonanie, że nikt z ludzi nie jest zbędnym przypadkiem, ale darem.

Philip Sheldrake mówi, że we wszystkich bliskich relacjach z innymi ludźmi najważniejsza jest intymność. Wbrew pozorom nie charakteryzuje ona jedynie relacji osób „aktywnych seksualnie”, ale również „więzi z innymi ludźmi”. „Bez doświadczenia intymności w relacjach z innymi ludźmi, niezależnie od tego, czy obejmuje ona sferę genitalną, czy też nie, nigdy nie damy z siebie wszystkiego – ani sobie, ani innym, a nasze życie emocjonalne będzie powierzchowne i będziemy zawsze oddaleni od innych ludzi. To właśnie ryzyko intymności, a nie pozorne bezpieczeństwo emocjonalnej obojętności, objawia prawdę o nas samych, uczy, co znaczy być dostępnym dla drugiego człowieka i pokazywać mu, jacy jesteśmy naprawdę. Ze wszystkich ludzkich doświadczeń właśnie intymność może w nas zainicjować rzeczywistą przemianę”.

A zatem bogatym w oczach Boga jest ten, który potrafi „płakać z płaczącymi i śmiać się ze śmiejącymi”. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Dla czystego wszystko czyste

Nauczanie w Kościele to ważny temat Listu do Tytusa. Najpierw kerygmat („pierwsze jest pierwsze"); a za nim otwiera się przestrzeń pouczenia – przekazu doktryny. Jest niesłychanie ważne, by była to zdrowa doktryna. To pojęcie pojawia się w Liście kilkakrotnie: kandydat na prezbitera ma być zdolny do przekazu „zdrowej nauki" (1, 9), a może to czynić, posługując się „zdrową mową"; sam Tytus ma „głosić to, co jest zgodne ze zdrową nauką" (2, 1); to niewątpliwie warunek, by kreteńscy chrześcijanie mogli „wytrwać w zdrowej wierze" (1, 13).

Nieco dalej, w 10. wersecie 2. rozdziału, owa zdrowa nauka nazwana jest przez św. Pawła nauką przychodzącą od Boga Zbawcy. Jak widać, nie tylko kerygmat, ale także pouczenie służy zbawieniu, a nie tylko poznaniu. Czy nie otrzymujemy tu istotnego kryterium, by poddać ocenie swoje głoszenie?

Jakie nauczanie nie jest zdrowe? Odpowiedź Apostoła Narodów przynoszą te wersety: „Dla czystych wszystko jest czyste, dla skalanych zaś i niewiernych nie ma nic czystego, lecz zbrukane są ich i duch, i sumienie. Wyznają, że znają Boga, uczynkami zaś temu przeczą, będąc ludźmi obrzydliwymi, nieposłusznymi, i niezdolnymi do żadnego dobrego czynu" (15-16).

Jaka nauka jest niezdrowa? Ta, która wszędzie widzi jedynie zło, wszędzie upatruje nieczystości i piętnuje ją. Możemy to czynić z gorliwością i zaangażowaniem, w istocie rzeczy jednak takie nauczanie jest, mówi Apostoł, nieposłuszeństwem Bogu. Bóg bowiem nie pozwala ani rzeczy, ani tym bardziej ludzi, nazywać nie tylko nieczystymi, ale również zwykłymi, przeciętnymi. Każdy jest na mocy stworzenia jakoś niezwykły – istnieje, gdyż Bóg zechciał go odwiecznie, i chce go dzisiaj. Szukając nieustannie nieczystości w stworzeniach, możemy nie tylko przegapić, ale nawet „niszczyć dzieło Boga" (zob. Rz 14, 20).

„Dla czystych wszystko jest czyste" – tropicielska pasja piętnowania wszędzie zła objawia nam problemy nie tyle świata, co nasze osobiste: prawdziwy kłopot jest z naszym duchem (dosł. myśleniem/rozumem) i sumieniem, a więc z naszym wnętrzem. Tu Paweł idzie wprost za nauczaniem Pana Jezusa: „Nie to, co wchodzi do człowieka, czyni go nieczystym (...), lecz to, co z ust wychodzi, pochodzi z serca, i to czyni człowieka nieczystym. Z serca bowiem pochodzą złe myśli, zabójstwa, cudzołóstwa, czyny nierządne, kradzieże, fałszywe świadectwa, przekleństwa. To właśnie czyni człowieka nieczystym" (zob. Mt 15, 10-20).

Do jednoznacznego słowa Jezusa Apostoł dodaje przestrogę: że owi głosiciele niezdrowej nauki (można by ją nazwać złą nowiną) mogą się okazać „niezdolnymi do żadnego dobrego czynu". ©

Staraj się przez najpilniejsze dociekanie szukać Boga, gdyż właściwie szukając, nie da się nie znaleźć Tego, który jest wszędzie.

MIKOŁAJ Z KUZY

On nie jest od Ciebie daleko, choć tam, gdzie jesteś, spowija Go wiele zasłon.

NACHMAN Z BRACŁAWIA

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (4 – 11 VIII)

18. niedziela zwykła: Koh 1, 2; 2, 21-23; Ps 90; Kol 3, 1-5. 9-11; Łk 12, 13-21;
Poniedziałek: Lb 11, 4b-15; Ps 81; Mt 14, 13-21;
Wtorek: Dn 7, 9-10. 13-14; Ps 97; 2 P 1, 16-19; Łk 9, 28b-36;
Środa: Lb 13, 1-2. 25 – 14, 1. 26-30. 34-35; Ps 106; Mt 15, 21-28;
Czwartek: Lb 20, 1-13; Ps 95; Mt 16, 13-23;
Piątek: Oz 2, 16b. 17b. 21-22; Ps 45; Mt 25, 1-13;
Sobota: Mdr 3, 1-9; Ps 112; 2 Kor 9, 6-10; J 12, 24-26;
19. niedziela zwykła: Mdr 18, 6-9; Ps 33; Hbr 11, 1-2. 8-19; Łk 12, 32-48.

PIS ZAPATRZONY W NIEMCY

Antyniemieckie kampanie rządu służą tylko dwóm celom: stawianiu pod pręgierzem przeciwników w Polsce i zwróceniu na siebie uwagi Berlina.

KLAUS BACHMANN

Kiedy Donald Tusk został ponownie wybrany na prezydenta Rady Europejskiej, pisowska propaganda kreowała go na proniemieckiego polityka i marionetkę Angeli Merkel. Gdy po raz pierwszy od czasów Waltera Hallsteina znowu na czele Komisji Europejskiej zasiądzie ktoś z paszportem niemieckim, premier Morawiecki świętuje to jako zwycięstwo, bo „głosy Prawa i Sprawiedliwości były języczkiem u wagi".

Dlaczego lepsza od Tuska ma być zaufana koleżanka Angeli Merkel, która głosowała za równouprawnieniem małżeństw homoseksualnych, zapowiadała bezkompromisową obronę praworządności w UE, poświęciła walce ze zmianami klimatycznymi (a więc z energetyką opartą na węglu) największą część swojego przemówienia w Parlamencie Europejskim, a nie mówiła nic ani o wartościach chrześcijańskich, ani o Nordstream 2? Zdzisław Krasnodębski tuż po tym przemówieniu słusznie określił ją w rozmowie z niemiecką telewizją jako federalistkę, to znaczy osobę, która zmierza do wzmocnienia instytucji ponadnarodowych i nadania UE więcej kompetencji kosztem kompetencji państw członkowskich. To dokładne przeciwieństwo tego, czego PiS domaga się od lat.

Jeśli zagubieni w tej logice zwolennicy obozu rządowego zastanawiali się nad tymi sprzecznościami, to usłyszeli jeszcze bardziej karkołomne tłumaczenie: bo von der Leyen bardziej niż Niemką, jest konserwatystką. Czy europosłowie PiS faktycznie głosowali za nią z tego powodu?

Dlaczego wyjechali?

Opozycja i niechętne rządowi media tłumaczą te sprzeczności w prosty sposób: politycy PiS są niekompetentni w polityce zagranicznej, którą podporządkowują polityce wewnętrznej, a partia wysłała swoją wierchuszkę do Brukseli, aby mogła dobrze zarabiać. Zapewne jest w tym jakaś prawda, jeśli faktycznie Jarosław Kaczyński, negocjując z sekretarzem CDU Paulem Ziemiakiem ratowanie kandydatury Beaty Szydło na przewodniczącą jednej z komisji PE, przeoczył pewien gruby szczegół: w tej komisji chadecy nie mają większości. Ziemiak, cokolwiek by chciał obiecać, i tak nie byłby w stanie tego

ADAM CHELSTOWSKI / FORUM

dotrzymać. Czy Kaczyński nie miał się z kim konsultować? No właśnie...

Argument, że liderzy PiS uciekli do Brukseli za wyższymi zarobkami, jest natomiast trudny do obrony. PiS posiada w tej chwili tak rozległe wpływy w gospodarce, tak szeroki dostęp do funduszy banków państwowych, może obsadzać tyle rad nadzorczych, że możliwości zarabiania dla czołowych polityków w kraju są na pewno większe niż w PE. Tym bardziej że krajowe źródła dorabiania nie podlegają unijnym kontrolerom, tylko policji, prokuraturze i służbom, które PiS już sobie podporządkował.

Więc dlaczego partia rządząca tak spustoszyła szeregi swojego kierownictwa i rządu, wysyłając sporo pierwszoplanowych polityków do Brukseli, mimo że wielu z nich nie mówi obcymi językami, nie ma doświadczenia w polityce zagranicznej i niewiele wie o UE? W Polsce krążą na ten temat dwa wytłumaczenia: że krył się za tym plan, aby skutecznie walczyć z marginalizacją Polski w instytucjach unijnych i zakończyć konflikt o praworządność w sposób dla rządu korzystny. Jeśli taki był plan, to całkowicie zawiódł już teraz i obnażył przykry fakt, że ci sami politycy, którzy w Polsce wiele mogą (wygrać wybory i utrzymać poparcie w sondażach na stabilnym poziomie), w Brukseli są całkowicie bezradni i zagubieni, niczym Beata Szydło po głosowaniu w swojej komisji.

To było do przewidzenia, choć niekoniecznie dla samych zainteresowanych. Mogli zakładać, że w Brukseli uda im się powtórzyć sukcesy, które odnieśli w kraju. Świadczyłoby to zresztą też o tym (i jest z kolei sprzeczne z narracją opozycji), że PiS traktuje Unię bardzo poważnie i wcale nie zamierza Polski z niej wyprowadzić, lecz postarało się na nią wpływać od wewnątrz.

Drugie tłumaczenie jest i śmieszniejsze, i straszniejsze: że to wcale nie kierownictwo PiS wysłało kwiat swojego ugrupowania na pożarcie brukselskich elit, lecz ci politycy sami się o to ubiegali z obawy przed utratą władzy i przywilejów po jesiennych wyborach do Sejmu. To by oznaczało, że w tej chwili wszyscy – obóz rządowy i opozycja – wierzą, że te wybory przegrają, z tą różnicą tylko, że rządzący byli o tym już przekonani przed wyborami europejskimi, a opozycja dopiero po nich. Stawiałoby to obserwatorów polskiej sceny politycznej przed kłopotliwym pytaniem: czy na polskim statku został jeszcze ktoś, kto nie wierzy, że statek tonie? Owszem – i jest to Donald Tusk. W ostatnich miesiącach, kiedy negocjował pakiet obsad czołowych instytucji UE dla Rady Europejskiej, miał doskonałą okazję, aby sobie załatwić posadę na przyszłość, ale tego nie zrobił. Skoro jest za młody na emeryturę, widocznie szykuje swój powrót do krajowej polityki. ↦

Ursula von der Leyen i Mateusz Morawiecki w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, Warszawa, 25 lipca 2019 r.

Taką mamy orientację

Przegrana PiS jest jednak w tej chwili mało prawdopodobna i kolejne porażki w Brukseli w tym nic albo bardzo niewiele zmienią. Przecież – poza kilkudziesięcioma ekspertami, polskimi dziennikarzami w Brukseli i dość hermetycznym światem polityków – Polaków ani grzeje, ani ziębi kwestia, czy Beata Szydło została przewodniczącą jakiejś komisji w PE i ile polityków z krajów wyszehradzkich lub z Polski dostaje się na wysokie stanowiska w brukselskich urzędach. Statystyczny obywatel nie odróżnia ich od agend NATO, Rady Europy albo ONZ.

To, co się teraz stało w Brukseli, ma więc nikłe znaczenie dla wyborów w Polsce. Ale ma znaczenie dla pozycji Polski na świecie i jej funkcjonowania w UE. Karkołomne próby przemianowania niemieckiej polityczki, która popiera protesty w obronie niezależności sądownictwa, jest za „małżeństwem dla wszystkich", popiera liberalizację aborcji i równouprawnienie kobiet, na pozbawioną atrybutów narodowych konserwatystkę może śmieszyć, ale ma nieco głębsze tło i poważne następstwa.

Od dawna PiS marzy o tym, by stać się i zostać uznanym przez innych za „normalną europejską partię konserwatywną". Próby zbliżenia się do chadecji niemieckiej i austriackiej spełzły już na niczym w latach 90., ale w PiS nadal wielu o tym marzy. Można się oczywiście pytać, dlaczego partia, która w swoich mediach prowadzi antyniemieckie kampanie i swoich przeciwników nazywa agentami niemieckimi, jako główny punkt odniesienia bierze zawsze Niemcy, tamtejsze partie i obyczaje, a nawet swoją reformę sądownictwa próbuje uzasadnić przykładami z Niemiec. Ale tak już jest. Bardziej niż jakakolwiek inna partia w Polsce, PiS jest zapatrzony w Niemcy.

Antyniemieckie kampanie prawie zawsze służą dwóm celom: stawianiu pod pręgierzem przeciwników w Polsce i zwróceniu na siebie uwagi w Niemczech. Ale to drugie udaje się bardzo rzadko, co budzi niekończące się frustracje. Na razie nawet Alternatywa dla Niemiec nie daje się prowokować (skądinąd to jedyna partia o zbliżonym do PiS programie, choć ma diametralnie inne wyobrażenia o stosunkach z Rosją niż PiS i jej niemiecki nacjonalizm jest trudny do pogodzenia z naszą polityką historyczną). A kiedy już ktoś zauważa PiS w Niemczech, to przyczynia się do dalszej izolacji tej partii i utwierdza wszystkie negatywne wrażenia o niej wśród niemieckich elit. Być może PiS negocjowałby teraz przystąpienie do Europejskiej Partii Ludowej (czyli konserwatywnej, chadeckiej „rodziny" w Parlamencie Europejskim) nawet wbrew protestom PO, gdyby nie frontalny atak rządu na niezależność sądownictwa, który spowodował, że Jarosława Kaczyńskiego wymienia się teraz w europejskich debatach politycznych jednym tchem nie tylko z Wiktorem Orbánem, ale i z Recepem Erdoğanem.

Trzeba więc było robić dobrą minę do złej gry i nazwać utratę niemal wszystkich wyższych stanowisk zwycięstwem, dlatego von der Leyen przemianowano na konserwatystkę. Ten zabieg sugeruje, że PiS jest podobny do niemieckiej chadecji, a nie żadną wykluczoną z salonów partią „prawicowo-populistyczną" albo „konserwatywno-narodową" (tak ją określają niemieckie media), lecz taką normalną, europejską, konserwatywną prawicą.

Skądinąd, jeśli teraz partia Kaczyńskiego zamierza prowadzić kampanię wyborczą, odwołując się do haseł walki z LGBT, być może pozwoli to na skuteczną mobilizację twardego elektoratu, ale doprowadzi do izolacji jej nawet w gronie partii prawicowo-populistycznych w Europie. W kierownictwie AfD zasiada lesbijka, która z partnerką adoptowała dzieci, a wszystkie partie i ruchy prawicowo-populistyczne w Holandii głosiły hasła antyislamskie, uzasadniając to brakiem tolerancji muzułmanów wobec tego, co w Polsce teraz nazywa się „ideologią LGBT".

Imposybilizm czy godzenie skrajności

Wbrew pozorom nie jest to tylko wizerunkowy problem PiS – międzynarodowa izolacja partii odzwierciedla bowiem polaryzację wewnątrz Polski i w UE. Te warstwy społeczne, które w Polsce powodują, że PiS jest obecnie hegemonem na scenie partyjnej, istnieją też w innych krajach Europy Środkowo-Wschodniej, ale na zachodzie Europy są przeważnie o wiele słabsze, ponieważ tam brakuje społecznego zaplecza dla takiej polityki. Znalezienie kompromisu między interesami wielkomiejskich mieszczan i arcykonserwatywnych mieszkańców prowincji jest już w samej Polsce prawie niemożliwe. Zwłaszcza że ani jedni, ani drudzy o kompromisach nie chcą słyszeć, lecz marzą o tym, by wygrać wybory i narzucić przeciwnikom swoje koncepcje do następnych wyborów. Ten sam problem istnieje jednak też na poziomie UE – trzeba tam znaleźć kompromis między skrajnie indywidualistycznymi obywatelami wielkich miast w Holandii z jednej i mieszkańcami wsi na słowackiej albo chorwackiej prowincji z drugiej strony.

Instytucjonalnie Unia jest dobrze do tego przygotowana. Ma wszystko, co w Polsce w ostatnich latach zostało zniesione (o ile wcześniej istniało): mechanizmy, normy i instytucje wymuszające nieustannie kompromisy niwelujące różnice interesów. Te normy i instytucje są w stanie skłonić do respektowania innych poglądów oraz pogodzić prawa jednostki z interesami gospodarki i rządów.

Debata o wyborze von der Leyen była tego świetną ilustracją. W swojej kampanii raz po raz udawała, jakby kandydowała na stanowisko dyktatora Europy, zapowiadając, że będzie „robiła" to i tamto. W liście do posłów w tym miejscu zawsze było jednak sformułowanie „będę proponować" – bo w świetle traktatów szef Komisji Europejskiej faktycznie niewiele więcej może zrobić, niż „proponować". Najpierw musi swoje pomysły przedstawić w gronie komisarzy, którzy o nich głosują, potem propozycja Komisji pójdzie do Parlamentu Europejskiego i Rady UE, które mogą ją niemal dowolnie zmieniać. Skrajny „imposybilizm", który jednak maksymalnie wygładza różnice interesów. Problem z tym jest taki, że zwykły obywatel oczekuje, aby UE była skuteczna i szybka jak dyktator, ale wobec jego interesów i wartości zachowała się jak Matka Teresa.

Pułapki „Europy ojczyzn"...

Unijna machina do wymuszania kompromisów spoczywa na dwóch filarach: reprezentacji obywateli (w PE) i reprezentacji państw (w Radzie UE). Zwolennicy „Europy ojczyzn" (w tym PiS) opowiadają się za renacjonalizacją kompetencji UE, ale zapominają przy tym, że wtedy znikną zachęty dla płatników netto, aby wpłacać do wspólnego budżetu. Bez silnych instytucji ponadnarodowych płatnicy netto utracą bowiem kontrolę nad tym, czy ich pieniądze będą wydawane zgodnie ze wspólnie ustalonymi celami.

Drugi problem z renacjonalizacją polega na tym, że odpadają wtedy ograniczenia dla największych i najbogatszych państw, aby się dogadać nad głowami pozostałych. Obecnie w sprawach zastrzeżonych dla UE takie negocjacje muszą się odbywać z udziałem wszystkich państw. Każde z nich ma prawo siedzieć przy stole – ma być słuchane. Czuwają nad tym silne instytucje ponadnarodowe. Trzeci problem z tą „Europą ojczyzn" jest taki, że czyni ona UE mniej demokratyczną, a to właśnie zwolennicy „Europy ojczyzn" trąbią o „deficycie demokracji Unii".

...i demokratyzacji na skróty

Unię można szybko i łatwo demokratyzować: wystarczy wprowadzić ogólnoeuropejskie referendum, wybrać posłów według takich samych zasad i na podstawie równych sobie okręgów wyborczych w całej UE. Obecnie bowiem system wybierania Parlamentu Europejskiego jest mało demokratyczny. Na Malcie do wyboru posła wystarczy ułamek tej liczby głosów, jaką dla zdobycia mandatu musi uzyskać kandydat w Niemczech lub we Francji. Można by też, w ramach szybkiej demokratyzacji Unii, obsadzić wszystkie wysokie funkcje w wyniku wyborów bezpośrednich. Szkopuł w tym, że działoby się to ze szkodą dla wszystkich mniejszych państw. Obywatele największych krajów mogliby wtedy przegłosować obywateli mniejszych w dowolnej sprawie. Kto w liczącej 500 mln obywateli Unii ma trochę więcej niż 250 mln zwolenników, może wtedy przegłosować dowolne prawo, nawet jeśli to potem głęboko skrzywdzi poczucie sprawiedliwości pozostałych prawie 250 mln. Innymi słowy: demokratyzować Unię można tylko kosztem poszanowania państw i jeśli zastępuje się „machinę do wymuszania kompromisów" czymś, co przypomina system polityczny RP po 2015 r.: machinę, która raz na kilka lat wprowadza kilkuletnią dyktaturę większości nad mniejszością.

Taka reforma wymagałaby zmiany traktatów i jest w tej chwili kompletnie nierealna. Gdyby doszło do renegocjacji traktatów, zwolennicy „Europy ojczyzn" dostaliby dokładne przeciwieństwo tego, czego chcą: Unię Europejską jeszcze bardziej federalistyczną, z jeszcze większymi kompetencjami i jeszcze silniejszymi instytucjami ponadnarodowymi. Gwoli sprawiedliwości trzeba tu dodać, że o ile nadzieje zwolenników „Europy ojczyzn" są mało realistyczne, o tyle komunikują oni swoje zamiary otwarcie: podkreślają, że chcą zmiany traktatu.

> Popierając kandydaturę von der Leyen, PiS chciał dać sygnał, że jest podobny **do niemieckiej chadecji,** a nie wykluczoną z salonów partią „prawicowo-populistyczną".

Ale są też zwolennicy opcji przeciwnej, o wiele chytrzejsi. Chcą demokratyzować Unię bez zmiany traktatów, po kryjomu. Pięć lat temu wymyślili system „wiodących kandydatów" (*Spitzenkandidaten*), mechanizm pozatraktatowy, polegający na tym, że Parlament Europejski zapowiedział Radzie, iż będzie akceptować tylko kandydata na szefa Komisji, którego rodzina partyjna uprzednio wygrała wybory. Pięć lat temu było to możliwe, ponieważ socjaliści i chadecy mieli po wyborach większość i groźba niewybrania innego kandydata była realna. Gdyby się w tym roku udało zakotwiczyć taki mechanizm na stałe, skutki byłyby daleko idące: negatywne dla mniejszych krajów i dla równowagi instytucji.

Cała ta koncepcja jest zaczerpnięta z niemieckiego systemu politycznego, gdzie partie w kampanii wyborczej przedstawiają swoich kandydatów na kanclerza i obiecują, że po ich wygranej ta właśnie osoba zostanie wybrana na szefa rządu. W Niemczech system odchodzi do lamusa, bo wobec wielości partii oraz słabości chadecji i socjaldemokracji następna kampania wyborcza przyniesie na pewno czterech albo nawet pięciu *Spitzenkandidaten.* A w wyniku skomplikowanych układanek przy tworzeniu koalicji może się okazać, że żaden z nich nie zostanie kanclerzem.

Przeniesienie tego systemu na poziom Unii, gdzie nie ma systemu kanclerskiego, wyklucza z góry kandydatury z mniejszych rodzin partyjnych. Więcej: traktaty nie zakazują Radzie nominowania kandydatów bezpartyjnych albo pochodzących z partii niezrzeszonych w żadnej rodzinie – ale system *Spitzenkandidaten* by taką ewentualność zablokował. Kampania za pomocą tego systemu ma tylko sens w krajach, gdzie jego logika i sami kandydaci są znani – a więc w największych. I faktycznie, gdy się obserwowało kampanię do PE, widać było, że debaty z udziałem *Spitzenkandidaten* odbywały się wyłącznie w niemieckojęzycznych krajach i (z racji roli Fransa Timmermansa) w krajach Beneluksu. Czy Manfred Weber i Frans Timmermans spierali się w polskiej telewizji? Czy w Portugalii ktoś wiedział, kogo reprezentuje Manfred Weber? Koncepcja *Spitzenkandidaten* to chytry zabieg, aby bez zmiany traktatów demokratyzować Unię Europejską, ale kosztem małych partii, mniejszych krajów członkowskich i potencjalnych kandydatów bezpartyjnych.

Nowe pomysły

Tego w Europie Środkowo-Wschodniej nikt nie zauważył. Kiedy już w mediach toczyła się jakaś kontrowersja, to poruszała się w utartych ramach przeniesionych z Niemiec: że szkoda, iż Rada pogrzebała taką piękną demokratyczną koncepcję. Ale dla równoważenia interesów między Wschodem i Zachodem była ona o wiele groźniejsza niż kwestia, czy Timmermans zostanie szefem, czy wiceszefem KE. To była próba wyrwania jednego z filarów „unii obywateli i państw" bez zmiany traktatów i nawet bez mówienia o takiej konieczności.

Wkrótce zresztą pomysł powróci. Tuż po nominacji przez Radę Europejską, Ursula von der Leyen starała się udobruchać Parlament Europejski, obiecując poparcie dla pomysłu „wiodących kandydatów" za pięć lat. Ma się to odbywać na podstawie „porozumienia międzyinstytucjonalnego", co oznacza, że Parlament i Rada podpisałyby taką umowę bez zmiany traktatu (i tym samym bez możliwości blokowania tego przez jedno państwo). Takie porozumienie wymaga w Radzie tylko zwykłej większości jej członków i absolutnej większości ważnie oddanych głosów w Parlamencie Europejskim (a partie popierające koncepcję *Spitzenkandidaten* mają tam prawie dwie trzecie).

A następny podobny pomysł czeka już w kuchni brukselskiej: przepis na ponadnarodowe listy partyjne do PE, który potencjalnie wzmacnia wpływy partii z krajów o wysokiej frekwencji wyborczej (jak Niemcy) i osłabia wpływy partii z krajów o niskiej frekwencji (jak Polska).

© KLAUS BACHMANN

Wymarzona wojna Prezesa

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Jedną ręką można dać zbójom po gębie, pokazując swą siłę. A drugą – pogrozić mniejszościom seksualnym, bo to się spodoba wielu wyborcom.

Podczas Marszu Równości w Białymstoku doszło do dantejskich scen: kibole i nacjonaliści zaatakowali przedstawicieli środowiska LGBT oraz wspierające ich osoby. Były ciosy, kopanie, plucie, wulgarne wyzwiska.

Ponieważ to PiS rozpętał wojnę o LGBT, ponieważ to PiS flirtuje ze środowiskami narodowo-kibolskimi – na pozór wydawać by się mogło, że na tym politycznie bardzo straci. Nic bardziej mylnego.

Prezes podgrzewa atmosferę

O ile wybory sejmowe w 2015 r. PiS wygrał w dużej mierze na graniu sprzeciwem wobec imigrantów, tak w niedawnych wyborach europejskich idealnym paliwem światopoglądowym okazało się LGBT. Było pewne, że w tej sytuacji Jarosław Kaczyński główkuje, jaki spór ideologiczny podsycić, by zyskać na tym politycznie przed zbliżającymi się wyborami do Sejmu.

Przełomowego tematu jednak znaleźć nie było łatwo, bo opozycja nie dostarczyła mu inspiracji jak w obu wcześniejszych kampaniach. Dlatego Kaczyński próbował znów podgrzać atmosferę. „Ostatnio usłyszeliśmy i zobaczyliśmy wielką ofensywę, użyję tego określenia, choć wiem, że będzie ono przedmiotem ataku, wielką ofensywę zła. Musimy tę ofensywę odrzucić" – mówił na programowej konwencji w Katowicach na początku lipca. O co mu chodziło? Może znów o LGBT? A może o ataki na biskupów za tuszowanie pedofilii? Nie wiadomo, bo tym razem opozycja – mimo wyrażonych wprost nadziei Kaczyńskiego – nie dała się wciągnąć w ideologiczną wymianę ciosów.

Z pomocą przyszedł Kaczyńskiemu przypadek, choć ma on swe źródło w szerszym zjawisku. Umacnianiu się PiS na prowincji i w małych miastach towarzyszy jednocześnie liberalizacja większych ośrodków. Nawet w konserwatywnych regionach – Podkarpaciu, Lubelszczyźnie czy Podlasiu – miasta wojewódzkie stają się coraz bardziej kosmopolityczne. Zazwyczaj zresztą w kontrze do samorządu województwa, którym włada PiS, w ratuszach stolic regionów zasiadają politycy Platformy lub lewicy.

Skoro wyborca rzeszowski, lubelski lub białostocki wybiera sobie lewicowo-liberalnego prezydenta, to prędzej czy później musiał przyjść następny krok: *coming out* lokalnych mniejszości seksualnych. Pierwszy Marsz Równości w Rzeszowie odbył się rok temu. Oczywiście doszło do przepychanek z narodowcami, policja musiała ochraniać 600 uczestników marszu. W tym roku prezydent Rzeszowa Tadeusz Ferenc próbował zakazać marszu, tłumacząc to obawami o bezpieczeństwo. Przegrał przed sądem, w dodatku po próbie zablokowania marszu musiał się rozstać z macierzystym SLD, które było tym oburzone. Marsz odbył się w czerwcu, na szczęście było dość spokojnie.

Pierwszy marsz w Lublinie odbył się w październiku minionego roku. Prezydent miasta Krzysztof Żuk (PO) też próbował go zakazać ze względów bezpieczeństwa. Sąd zakaz uchylił. Doszło do zadym: petardy, wyzwiska, ranni, zatrzymania.

W Białymstoku nic nie jest proste

Rządzący już czwartą kadencję prezydent Białegostoku Tadeusz Truskolaski (PO) – ojciec posła Nowoczesnej Krzysztofa – nie poszedł śladem kolegów z innych dużych miast ściany wschodniej: zgodził się na pierwszy w dziejach miasta Marsz Równości. Choć, po prawdzie, to właśnie on powinien mieć najwięcej obaw. Białystok nie jest zwyczajną stolicą konserwatywnego regionu. Białystok to tygiel kulturowy, mieszanka tożsamości polskiej, żydowskiej, białoruskiej, rosyjskiej, tatarskiej. Historyczne rachunki krzywd w ostatnich latach ożywają, dodając wiatru w żagle miejscowym nacjonalistom. Miasto ma – słusznie czy nie – opinię najbardziej ksenofobicznego w Polsce.

To tu jeszcze za wczesnych rządów Platformy dochodziło do najgłośniejszych aktów przemocy. Atak na studenta z Indii stojącego na przystanku, podpalenie drzwi mieszkania hindusko-polskiego małżeństwa czy też atak na rodzinę Czeczenów – napastnicy rzucali w ojca butelkami i kamieniami, potem wybili szybę, a odłamki szkła zraniły jego dwumiesięczną córkę. Wszystko to agresja na tle narodowościowym.

Przystanią białostockich nacjonalistów jest tamtejszy klub piłkarski Jagiellonia, po latach posuchy znów odnoszący sukcesy na boiskach. Część napastników atakujących Marsz Równości nosiła koszulki w klubowych barwach. Ale w Białymstoku nic nie jest proste. Trzeba pamiętać, że Jagiellonia to także przystań dla lokalnych polityków Platformy. Klub jest regularnie zasilany milionami z kasy miasta rządzonego przez PO. Tak, kibole-nacjonaliści w Białymstoku mają naprawdę dobry polityczny klimat.

Krucjatę przeciwko białostockim bandytom udającym kibiców efektownie zapowiadał szef MSWiA w rządach PO Bartłomiej Sienkiewicz już w maju 2013 r. „Idziemy po was" – oświadczył. Później tłumaczył: „Mamy problem z przemocą w środowiskach wywodzą-

MARTYNA NIEĆKO / AGENCJA GAZETA

Atak na Marsz Równości w Białymstoku, 20 lipca 2019 r.

cych się z ruchu kibolskiego. To jest specyficzne środowisko przestępcze, w którym bardzo silna jest solidarność, o wiele mocniejsza niż w przypadku zwykłych bandytów. Jest rzeczą niepokojącą nowe zjawisko: opanowywanie całych osiedli przez młodych ludzi ze skłonnością do przemocy, posługujących się jakąś formą ideologii – kibolstwem czy rasizmem".

Do dziś, jak widać, białostoccy kibole-nacjonaliści mają się dobrze. Nawet za rządów partii, która bezpieczeństwo i twarde traktowanie przestępców ma na sztandarach.

Policja nie stanęła na wysokości zadania, zwłaszcza przed marszem, gdy kibole atakowali ściągających na plac uczestników. Takie błędy są tym bardziej zdumiewające, że Białystok to matecznik wszechmocnego – nawet jeśli często karykaturalnego – wiceszefa MSWiA Jarosława Zielińskiego, nadzorującego służby mundurowe.

PiS zarobi na zadymie

Ale ci, którzy uważają, że białostocka zadyma zadziała na niekorzyść PiS, są w błędzie. Partii Jarosława Kaczyńskiego nie zaszkodzi ani to, że nie zapewniła bezpieczeństwa uczestnikom marszu, ani to, że od momentu dojścia do władzy flirtuje ze środowiskami nacjonalistycznymi. Czego ukoronowaniem był ubiegłoroczny, wspólny Marsz Niepodległości państwowych władz i narodowców. PiS jest na najlepszej drodze, żeby wykorzystać białostockie ekscesy do swych politycznych, wyborczych planów.

Przede wszystkim, czołowe postaci PiS potępiły ekscesy w Białymstoku. Choć z ociąganiem i unikając słów nazbyt ostrych – to trudno im zarzucić, że kokietują narodowców i kiboli. Niejednoznaczne głosy płynące z lokalnych ogniw partii zostały szybko spacyfikowane.

Policja też szybko przeszła do kontrataku i przedstawiciele władz przez wiele kolejnych dni informowali, jak wielu ↦

Ministerstwo głupich słów

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Wypowiedź nowego szefa MEN na temat zajść w Białymstoku nie jest wpadką. To esencja jego wizji polskiej edukacji.

Dariusz Piontkowski z mikrofonem przystawionym mu przez stację TVN24 mógł zrobić różne rzeczy. Mógł skorzystać z dobrej – stosowanej także przez ministrów rządu PiS – urzędniczej szkoły, która zakłada niewypowiadanie się na każdy temat. Bądź zgoła na żaden, który nie dotyczy tematyki bezpośrednio związanej z działalnością danego resortu. Czyż nie na tej strategii – połączonej z mitem sukcesu 500 plus – zbudowała swoją urzędniczą markę była już szefowa Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, Elżbieta Rafalska? Mógł też minister Piontkowski sięgnąć do sprawdzonych – głównie przez Kościół hierarchiczny, z Konferencją Episkopatu Polski na czele – wzorców dialektycznej szkoły wicia się i kluczenia: potępić przemoc, a dopiero w kolejnych zdaniach wyśpiewać swój ulubiony refren o „ideologii LGBT" i „seksualizacji dzieci" – tak, by nie było wątpliwości, że nie traci z oczu największego moralnego zagrożenia, z którym mamy obecnie do czynienia w Polsce i na całym globie. Minister wybrał drogę trzecią, dokonując – zdawałoby się – niemożliwego: w ciągu miesiąca przeskoczył i tak mocno wyśrubowane przez swoją poprzedniczkę standardy nieodpowiedzialności za słowo. „Tego typu marsze wywoływane przez środowiska próbujące forsować niestandardowe zachowania seksualne budzą ogromny opór (...) – powiedział do kamery TVN24. – W związku z tym warto się zastanowić, czy w przyszłości tego typu imprezy powinny być organizowane, bo to spowoduje zamieszki, może powodować zagrożenie zdrowia wielu przygodnych obywateli".
Ciekawe, co by było, gdyby minister – a w przeszłości nauczyciel historii oraz wiedzy o społeczeństwie (!) w jednym z białostockich liceów – zajrzał tuż przed swoim występem do podpisanej przez jego poprzedniczkę w MEN „podstawy programowej kształcenia ogólnego dla czteroletniego liceum ogólnokształcącego i pięcioletniego technikum". W części „Cele kształcenia – wymagania ogólne" wyczytałby np., że uczeń przedmiotu WOS na poziomie podstawowym „wyjaśnia specyfikę praw i wolności człowieka oraz podstawowe mechanizmy ich ochrony", „analizuje kwestię godności ludzkiej i przedstawia prawa, które mu przysługują" czy też „rozpoznaje przypadki łamania praw człowieka". Wyposażony w tę wiedzę – nienową przecież dlań, ↦

↦ chuliganów już zatrzymano. Do tej pory obóz władzy patrzył przez palce na ich ekscesy, nie tylko podczas Marszu Niepodległości, ale przede wszystkim, gdy walczyli z protestami środowisk antyrządowych.

Teraz władza pokazuje swe zdecydowanie i determinację. Czyż to nie spodoba się wyborcom? Jednocześnie premier wysłał jasny sygnał: zwyczajnym ludziom nic nie grozi. „Z badań CBOS wynika, iż 98 proc. Polaków deklaruje poczucie bezpieczeństwa w miejscu zamieszkania" – podkreślał.

Dodał do tego także obowiązkowy partyjny refren o tym, że to Lech Kaczyński jako minister sprawiedliwości pierwszy wziął się za ściganie złoczyńców i zapewnienie bezpieczeństwa Polakom. W tym kontekście było to jednak groteskowo, gdyż to Kaczyński jako prezydent stolicy zakazywał Parad Równości – i to nie ze względów bezpieczeństwa, tylko ideologicznych. Uznał, że to promowanie zboczeń i obraza uczuć religijnych. W 2005 r. groził uczestnikom parady zorganizowanej mimo jego zakazu konsekwencjami prawnymi. Krytykował policję, która w jego opinii „nierówno traktowała" uczestników Parady Równości i protestujących członków Młodzieży Wszechpolskiej.

> PiS wysyła komunikat do tych wyborców, którzy już raz – w wyborach europejskich – dali się zmobilizować **hasłami o nadciągającej Sodomie i Gomorze.**

Paliwo ideologiczne

Wydarzenia białostockie mają jedną poważną zaletę dla PiS: na nowo wprowadzają do kampanii temat, który jest wytęsknionym przez Kaczyńskiego paliwem ideologicznym. „Tego typu marsze wywoływane przez środowiska próbujące forsować niestandardowe zachowania seksualne budzą ogromny opór. W związku z tym warto się zastanowić, czy w przyszłości tego typu imprezy powinny być organizowane" – oświadczył minister edukacji Dariusz Piontkowski, białostocczanin, były marszałek Podlasia. Minister się potem z tego półgębkiem wycofał, ale to zdanie idealnie ilustruje polityczny zamysł PiS. Coś w stylu „co prawda bili niesłusznie, ale wychodzenie na miasto w tęczy powinno być zakazane". To komunikat do tych wyborców, którzy już raz – w wyborach europejskich – dali się zmobilizować hasłami o nadciągającej Sodomie i Gomorze.

Jednocześnie opozycja ma problem: sama zaczęła się kłócić o LGBT. Lider PO Grzegorz Schetyna odmówił udziału w „marszu przeciw przemocy", zorganizowanym w Białymstoku. „Nie będziemy wpisywać się w scenariusz przygotowany na Nowogrodzkiej. Dzisiaj PiS z tych demonstracji i spraw mniejszości chce zrobić główny wątek kampanii wyborczej" – tłumaczył. Został jednak za to zaatakowany przez partie lewicowe, które liczyły na polityczny efekt marszu. Z kolei prezydent Białegostoku Tadeusz Truskolaski powiedział lewicy, że nie może legalnie maszerować, bo nie złożyła w terminie wniosku. Złożyła więc wniosek o manifestację.

Jak widać, LGBT już porządkuje scenę polityczną. Następny Marsz Równości 10 sierpnia w Płocku.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „Tygodnikiem".

↦ a jedynie odświeżoną po latach spędzonych z dala od tablicy – minister Piontkowski nie odmówiłby Polakom ich praw, a już na pewno nie obarczyłby odpowiedzialnością za bicie tych, którzy zostali pobici. Nie musiałby też prostować, a w zasadzie pokrętnie interpretować własnych słów na zorganizowanej kilka dni później konferencji, podczas której stwierdził, że „został źle zrozumiany". Wydusiłby za to z siebie zdanie, którego brak akurat w jego ustach zdumiewa najbardziej; sentencję, na którą zdobył się wspomniany Episkopat („Trzeba wyrazić jednoznaczną dezaprobatę wobec aktów agresji, takich jak te, które miały miejsce w Białymstoku"), a także minister spraw wewnętrznych Elżbieta Witek („Nie ma, nie było i nie będzie zgody, aby atakować kogokolwiek, bez względu na to, jakie ma poglądy"). Zrobiłby to od razu, mając w oczach obrazki z Białegostoku: dziewczynkę krzyczącą do swojej matki „Boję się!" (na jej oczach osiłek „broniący tradycyjnych wartości" kopał młodego człowieka, kto wie, może ucznia liceum?); ojca, który uznał za stosowne ustawić się na czele oddziałów blokujących Marsz Równości z dzieckiem w wózku; dziesiątki młodych ludzi – też uczniów? – którzy podczas zajść w Białymstoku mogli być sprawcami, ofiarami bądź świadkami bicia i wyzywania. Zrobiłby to, wiedząc, że w ławkach polskich liceów i techników, którymi zawiaduje, nie zasiada „ideologia LGBT", ale ludzie z krwi i kości. Bywa, że tak pognębieni reakcjami na swoją inność, iż popadający w depresję i targający się na swoje życie. Nie bądźmy jednak naiwni: Dariusz Piontkowski ani nie wycofa się do końca ze swoich słów, ani za nie jednoznacznie nie przeprosi, ani też pewnie nie wygłosizdania o niedopuszczalności przemocy (a jeśli któryś z tych gestów wreszcie z grymasem bólu na twarzy wykona, to jedynie pod presją swojego politycznego środowiska. Nie zrobi tego, gdyż wygłoszona przezeń przed kamerami minutowa kwestia jest podsumowaniem jego – i nie tylko jego – wizji polskiej edukacji. Wizji szkoły jako twierdzy oblężonej przez wrogów wartości – zasygnalizowanej już w jednym z pierwszych medialnych występów (Piontkowski mówił o słynnych już standardach WHO, że „tak naprawdę jest to próba wychowania dzieci, które zostaną oddane w jakimś momencie pedofilom"). Wizji, w ramach której na długo przed jego nastaniem w ministerstwie wyrugowano ze szkolnej przestrzeni wszystko, co się jak najgorzej kojarzy – z różnorodnością czy działaniami antydyskryminacyjnymi na czele. Wizji, która aż się wylewa z nowych podstaw programowych: nakierowanych na bierne wykonywanie poleceń i na promowanie jednej – narodowo-patriotycznej – opowieści o świecie. Taką mamy obecnie „specyfikę praw i wolności człowieka" i takiego mamy ministra.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

ANNA

Dziewit-Meller:
Ciemna strona Księżyca

W dniu pięknej rocznicy „małego kroku dla człowieka, ale wielkiego dla ludzkości" byłam akurat na wsi i gdy słońce w końcu zaszło, a na niebie nad lasem pojawiła się srebrna tarcza Księżyca, wyciągnęliśmy lunetę i patrzyliśmy na jego porowatą, pełną doskonale widocznych kraterów powierzchnię. Jak wynikało z filmu Damiena Chazelle'a „Pierwszy człowiek", który to film z okazji 50 -lecia lądowania człowieka na Księżycu zobaczyłam tego wieczora, pośród przedmiotów, jakie w ciągu całej historii lotów pozostawili lądujący na powierzchni Księżyca astronauci (od sprzętu kosmicznego po worki z moczem) znajduje się także bransoletka z rączki zmarłej przedwcześnie córki Neila Armstronga. Czyniąc swe małe wielkie kroki, zostawił tam także tę pamiątkę po ukochanej córeczce. I jest to (prócz widniejącej na pozostawionej przez Charlesa Duke'a z misji Apollo 16 fotografii rodzinnej z żoną i dziećmi) jedyny ślad po istnieniu kobiet pośród kosmicznej braci, która stanęła na Księżycu. Mija bowiem pół wieku od tych doniosłych wydarzeń, tymczasem w branży kosmicznej jakby bez zmian – żadnej kobiety na Księżyc nie wysłano.

Można oczywiście przejść nad tym faktem do porządku dziennego i cieszyć się informacją, że w ogłoszonym niedawno programie Artemis jest plan, by do 2024 r. człowiek wrócił na Księżyc i by był to również człowiek-kobieta, można jednak zastanowić się, dlaczego właściwie przez 50 lat to się nie wydarzyło.

Zwłaszcza że – jak się okazuje – na przełomie lat 50. i 60., kiedy nikt jeszcze w żaden kosmos nie leciał, niejaki dr Randolph Lovelace rozpoczął badania nad tym, jak w przestrzeni pozaziemskiej mogłoby sobie poradzić ciało kobiety. Z badań wyszły mu interesujące wnioski, które można zawrzeć w jednym zdaniu: kobiety lepiej niż mężczyźni zniosą trudy lotu w kosmos. Miał na to szereg popartych naukowo dowodów, a składały się nań takie dane jak to, że kobiety są mniejsze i lżejsze, ich układ krwionośny działa lepiej, zużywają mniej tlenu, lepiej znoszą przeciążenia oraz – *last but not least* – lepiej radzą sobie w sytuacjach silnego stresu. Tak mu wyszło z badań, które prowadził na 19 kobietach zakwalifikowanych do programu kosmicznego. Lecz – jak pisze w eseju poświęconym kobietom w kosmosie autorka *science fiction* Mary Robinette Kowal – to by było na tyle. Mniej więcej wówczas Rosjanie wysłali na orbitę Walentynę Tiereszkową. Amerykańscy bonzowie od podboju kosmosu nie mieli więc wyjścia i dla dobra Ameryki (rzecz jasna) musieli natychmiast umniejszyć wyczyn radzieckiej kosmonautki, wysyłanie kobiet w kosmos sprowadzili więc do dobrego żartu, „działania pod publiczkę", do sformułowania „nic takiego znowu wielkiego".

Program Apollo 11 zaprojektowany został więc przez mężczyzn i dla mężczyzn (mimo iż oprogramowanie systemu pokładowego Apollo 11 opracowała kobieta, informatyczka Margaret Hamilton, pamiętajmy!). Kowal, stawiając swoją tezę, podnosi choćby kwestię kombinezonów kosmicznych. Czy wiecie, że w fazie projektów początkowo planowano wprowadzenie ich w rozmiarach od S do XL, jednak – ponieważ pośród astronautów byli wyłącznie mężczyźni – ze względów budżetowych kombinezony w małych rozmiarach nigdy nie powstały. I tak na przykład lecąca w kosmos astronautka Cady Coleman – jak dotąd najniższa osoba zakwalifikowana do programu lotów kosmicznych – podczas treningów w laboratoriach NASA musiała wymyślić, jak by tu domowymi sposobami wypchać od wewnątrz swój kombinezon, by nie pojawiła się w jego wnętrzu zbyt duża bańka powietrza, która w kosmosie byłaby niczym przytroczona do jej brzucha na stałe wielka piłka plażowa. Niby nic, powiecie, a jednak z jakichś względów chodzenie z piłką plażową na brzuchu mimo wszystko należy do rzadkości. NASA rzekła do Coleman, że musi jakoś sobie z tym poradzić, nie podejmując żadnych działań, by dostosować kombinezon do wymagań astronautki. Podobnie zresztą było z systemem chłodzenia we wnętrzu kombinezonów. Mary Kowal pisze, że choć u kobiet i mężczyzn inaczej rozmieszczone są gruczoły potowe, to kobiety muszą latać w kosmos w kombinezonach przystosowanych do męskich ciał i „jakoś sobie radzić". Tego typu problemów jest więcej...

Czyż nie byłoby jednak dobrze, gdyby ów pierwszy człowiek-kobieta lądujący do 2024 r. na Księżycu w ramach programu Artemis nie musiał czynić licznych małych ustępstw wynikających wyłącznie z uprzedzeń dotyczących płci? Czy tradycja Apolla 11, przedsięwzięcia projektowanego przez mężczyzn i dla mężczyzn, naprawdę musi trwać? Na te pytania nie ma na razie odpowiedzi. Wciąż ta strona Księżyca jest ciemna. Choć gdy czyta się o protestach przeciwko miejscom parkingowym dla kobiet w ciąży, można pomyśleć, że ciemności kryją przede wszystkim Ziemię. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

Włocławek, 2017 r.

ADRES: POLSKA

Starzy i młodzi, biedni i bogaci, brzydcy albo seksowni. Pochodzą z wielkich miast albo wiosek. Nie wiedzą, ile ich łączy.

TEKST I ZDJĘCIA KRZYSZTOF STORY

Dzwonię pięć razy. Bez odpowiedzi. A przecież widzę zapalone światło. Ktoś jest w domu. Domofon działa. Furtka jest zablokowana tylko kawałkiem sznurka. Skrzypi lekko, gdy wprowadzam rower na podwórko. Rozglądam się, obchodzę dom. Szukam drzwi.

Są otwarte.

– Chwila, już schodzę! – kobiecy głos.

Bohaterów tego tekstu dzieli wszystko. Wiek, wykształcenie, zawód, pochodzenie. Nigdy się nie spotkają. Łączy ich tylko adres. Jedna ulica, jeden numer. Cicha 3.

Żaden z mieszkańców tej ulicy nigdy nie udzielał wywiadu. Nigdy ich o nic nie pytano. Dlatego ulicę nazywam Cichą. W rzeczywistości to po prostu jeden z najpopularniejszych adresów w kraju. Niczym szczególnym się nie wyróżnia. Polska bez filtra. Polska bez poprawek, Polska z przypadku.

W Polsce jest dwa tysiące takich adresów. Zaznaczyłem wszystkie na mapie. Spakowałem sakwy, wsiadłem na rower, pojechałem. 4 tysiące kilometrów. Od jednej Cichej do drugiej.

– Chwila, już schodzę!

Opole
Lepiej się nie golić

Pachniała świeżo. Była to świeżość delikatna, świeżość ciała dziewczyny, która właśnie wyszła spod prysznica. Jasne włosy opadały na ramiona, mocząc szarą bluzkę. Upięła je zgrabnie i przeprosiła, że tak długo czekałem. Zupełnie jakbyśmy byli umówieni.

– Wiesz, że głosy w głowie najczęściej zabraniają im jeść?

– Im?

– Chorym psychicznie. Głosy najczęściej chcą ich ukarać.

Siedzieliśmy na ogrodowej huśtawce, a drzewa chroniły nas od słońca. Mnie i Anię, pielęgniarkę w opolskim szpitalu psychiatrycznym.

– Schizofrenia paranoidalna. Tego jest najwięcej. Nie umieją odróżnić własnych myśli od rzeczywistości. Myśli, które często podlewają alkoholem, podbijają narkotykami.

Do psychuszki trafiła przez przypadek. Studiuje pielęgniarstwo, ale wolałaby zostać pomocnikiem anestezjologa. Tam ludzie dużo mniej mówią.

– Kiedyś pacjent przyłożył sobie kanapkę z masłem do ucha i przez godzinę rozmawiał przez telefon po rosyjsku. Był Polakiem, ledwo znał rosyjski. Inny tak się na mnie zdenerwował, że trzy razy wzywał policję. Nikt nie zabiera im telefonów, choć czasem wszyscy by chcieli. Konfiskujemy tylko ładowarki dla bezpieczeństwa. Na szczęście nie miałam jeszcze próby samobójczej. Udanej.

Nieudane miewała. Różne rzeczy miewała. O trzeciej w nocy zwróciła pacjentowi uwagę, żeby nie golił się, tylko szedł spać. Została pobita.

– Oczywiście, że się boję. Sama się powinnam tam zamknąć, gdybym się nie bała. Znam pielęgniarki, które pracują tam od zawsze. 20, 30 lat. Ja bym tak nie potrafiła.

Mówi, że najgorsze są znajome twarze. Bo większość pacjentów wraca regularnie. Przestają brać leki, chodzić na terapię i walka zaczyna się od nowa. Jeden od początku roku był sześć razy. Jest 5 lipca.

– Został mi jeszcze rok stażu. Wiesz, czego się nauczyłam? Spokoju. W pracy każdego dnia ktoś na mnie bluzga, coś wykrzykuje, szarpie się. A mnie to już nie dotyczy. Nie pozwalam, żeby dotyczyło.

Jest zajęta. Studiuje, pracuje. Jej rekord to 92. 92 godziny w tygodniu poświęcone tylko na uczelnię i pracę. Na życie prywatne czasu nie ma wiele. Ale ma.

– Chłopak pochodzi z Dęblina. Od tych drzwi do jego drzwi jest 365 km. Po jednym kilometrze na każdy dzień roku. Jeździliśmy tak kilka lat. Znam każdy zakręt.

Przeprowadził się do niej. Nie mają już kilometrów na każdy dzień. Wspólnych dni mają za to pod dostatkiem.

– Twoje szczęście to ludzie wokół ciebie. Tego też nauczył mnie szpital: znajdź czas dla osób, na których ci zależy. Nie dla nich, dla swojego dobra. Żebyś nie musiał się golić o trzeciej w nocy.

Świebodzin
Żółta taśma

– Aleś się pan zapatrzył – siwy, starszy facet wyszedł spod dwójki. Musiał mnie obserwować przez judasza.

Od pięciu minut stałem bez ruchu. Drzwi do mieszkania na Cichej 3/1 były oklejone policyjną taśmą. „Klucze do odbioru w Komendzie Policji przy ul. Zielonej". Od pięciu minut czytałem to jedno zdanie.

– W czymś pomóc? – on też zerknął w stronę drzwi.

– Co tu się stało?

– Eksmisja, proszę pana. Nie płacili czynszu i musieli się wynieść. Znał ich pan?

– Nie. Ludzkie historie zbieram. Ale czego się tu dowiem?

– Że za wszystko w życiu trzeba płacić. Zanotuje pan sobie.

Pod Włodawą
Noga z gazu

Siedzimy w ogrodzie przed ceglanym domem, wieczór jest pogodny, na grillu piecze się mięso. Romualda ma na sobie wysłużoną kufajkę. Wszyscy mówią na nią babcia Romka. Przechyla kieliszek, opowiada o synu:

– Mój Mariusz wiedział, że najłatwiej płaci się w euro. Złotówkami jest trudniej, na wszystko może nie starczyć. Mówiłam mu, że jakoś to będzie, że mu pomożemy. Ojciec mu nawet drewno na dom kupił i już jak kupował, to ciągle powtarzał, że on tego domu nie doczeka. I rację miał, bo Mariusz się uparł. Wyjechał po te swoje euro na zachód, do Dortmundu. Mówił, że zarobi i wróci, i dom też postawi. Przyjeżdżał może ze trzy razy w roku, tak jak go Niemiec puszczał. Pobył chwilę i wracał po euro. Któregoś razu jak wrócił, to dwa tygodnie nie minęły, jak ojciec umarł. Mariusz przez 1500 kilometrów nie zdjął nogi z gazu. Na darmo. Tak jak ojciec nie zdążył zobaczyć domu, tak syn nie zdążył zobaczyć ojca.

Romka opowiada to spokojnie. Wstaje, rozpina kufajkę, bierze kieliszki i wódki nalewa. Pije zdrowie swojego syna, ale teraz widać, że pije ze złości.

– Zarobił na wszystko. Na utrzymanie rodziny, na edukację córki. Samochód jej kupił, żeby się mogła na uczelni w Lublinie pokazać. Nawet nam, cholera, pomaga. Tylko że jego syn ma trzy latka i dalej mówi do ojca „proszę pana". I co ja mam wnukowi powiedzieć? Że w euro jest łatwiej?

Zamość
Byle do Warszawy

Kolorowe kamienice, idealnie kwadratowy rynek, strzelista wieża ratusza. Zamojskie Stare Miasto jest nazywane Perłą Wschodu. Jan Zamoyski projektował je z żelazną konsekwencją. Ustalał układ ulic, projekty architektoniczne, a nawet listę mieszkańców. Tworzył miasto idealne.

Ideał kończy się na murach twierdzy. Poza centrum Zamość się gubi. Piękne kamienice zastępują blaszane hale i wszechobecne billboardy. Nieczynny dworzec kolejowy powoli niszczeje, a przy ul. Partyzantów straszą ruiny niedokończonego Domu Partii.

Ulica Cicha leży daleko od Starego Miasta. Drzwi otwiera Marcin. Ma 23 lata, za pół roku kończy studia – informatykę. Gra na gitarze, marzy o własnym zespole. Nigdy nie próbował tego marzenia zrealizować. Ale marzy.

– Jak jest w Zamościu?

– Nic się nie dzieje.

– Dlaczego?

– Teraz i tak już jest lepiej. Miasto się rozwija.

– Dlaczego młodzi wyjeżdżają, zamiast próbować stworzyć coś tutaj, na miejscu? Na przykład założyć zespół.

– No szkoda, nie powinni wyjeżdżać. Wtedy nic się nie zmieni.

– A ty? Gdzie chciałbyś być za pięć lat?

– W Warszawie.

Augustów
Drift

U zbiegu Ludowej, Koziego Rynku i Proletariackiej stoi transformator. Zwykła żółta buda na zaniedbanym placyku. Uliczki są szutrowe i bardzo wąskie. ↦

Może miną się dwa samochody. Jedziemy 120 na godzinę.

– Od dziecka uwielbiałem dłubać w silnikach. Jak coś dało się rozkręcić – było rozkręcone.

Ze 120 do 40. Ręczny, ale tylko na chwilę. Skręt kół. I gaz. Ryk silnika.

– Skończyłem budowlankę, ale wolę mechanikę. Silniki i smary. Widziałeś warsztat. Mało płacą, więc dorabiam u siebie na podwórku. Wszystkiego nauczyłem się sam. Jazdy też. A co miałem robić? Widziałeś kiedyś Augustów zimą, jak pojadą turysty?

Drift zawsze zaczyna się tak samo – od drastycznej utraty przyczepności tylnych kół. Tylna oś czerwonego nissana 200SX zaczyna żyć własnym życiem. Rwie przez posezonową augustowską nudę. Tak jest wszędzie: i na Mazurach, i w Mielnie, i w Bieszczadach nawet. Kończy się sezon, wyjeżdżają turyści, wszystko przymiera. Wtedy trzeba wcisnąć gaz. Wojtek, mechanik z Augustowa, dociska aż do podłogi.

– Miałem jeden poważny wypadek. Dachowaliśmy z żoną, cudem się nic nie stało. Tutaj, 100 metrów od domu. Teraz już jeżdżę rozsądniej. Chociaż najlepsze zakręty to dalej bokiem.

Lewą burtą mijamy odrapany transformator, Wojtek rzuca się na kierownicę, auto buntuje się, wyrywa, szarpie. Minęło może 5 sekund, a my zrobiliśmy 180 stopni w lewo i 90 w prawo. Wpadamy w Ludową. Ktoś krzyczy za nami, że idiota, że debil i że coś jeszcze. Na liczniku z powrotem stówa, reszty nie słyszymy.

– Pieniędzy zawsze brakuje, tym bardziej teraz, jak mamy córeczkę. Za dwa tygodnie wyjeżdżam do Szwajcarii, do pracy na budowie. Nie chcę, ale pieniądze muszą być.

Parkujemy. Siadamy przed warsztatem, Wojtek wyjmuje papierosy. Samoróbki zapakowane w woreczek strunowy. Tytoń białoruski, jak wszędzie na Podlasiu.

– Wiesz, jakbym już miał te pieniądze, to bym zrobił to, co ty. Na wycieczkę bym pojechał. Tylko ja bym chciał motorem. Lubię prędkość, uspokaja mnie. Wszystko widzę tylko przez chwilę i jakoś mi wtedy dobrze.

– Gdzie byś pojechał?

– Gdziekolwiek. Bo ja nie marzę, żeby gdzieś dojechać. Chcę, żeby się kilometry obracały na liczniku. Byle droga była po horyzont.

Włocławek
Zimna patelnia

– Wiesz, jak wyginęły mamuty? – spytał mnie jeden z grupy. Było ich trzech, byli młodzi i łysi. Spotkałem ich w przypadkowej bramie. Akurat sprawdzałem mapę, robiłem zdjęcia bazgrołom na murach. Napisy były standardowe. Jebać tych albo tamtych. Głównie policję. Czasem ŁKS. O mamutach nic nie było.

Dwie godziny wcześniej wjeżdżam do Włocławka. Wita mnie kwaśny posmak i gryzący zapach amoniaku znad zakładów Anwilu. Pięć kilometrów rusztowań, zbiorników, kominów i rur pod stalowoszarymi chmurami. Zakład większy niż całe centrum miasta.

Ulica 3 Maja łączy Stary Rynek z placem Wolności. Wszystko tam było szare. Rozwalone chodniki, odrapane kamienice, wybite okna pustostanów. Na zapuszczonym podwórku dwie dziewczynki próbowały grać w klasy. Jedną ławkę zajęło dwóch dresów bez koszulek, w rękach puszki z najtańszym piwem. Na drugiej siedziało bez ruchu pięciu dziadków, każdy o lasce. Ściśnięci, w milczeniu.

Ulica Cicha 3. Pustostan. W internecie jest zdjęcie z 2013 r., jeszcze firanki wiszą. Obok wygląda przez okno kobieta.

– Żadnej historii panu nie opowiem. Taki charakter mój, że nie mam przeżyć. Może tylko tyle: kiedyś miałam męża, teraz mam labradora. I wiem, że lepiej mieć labradora.

– To wiesz, jak wyginęły mamuty?

Znowu jestem w tej nieszczęsnej bramie i znowu łysy mnie odpytuje.

– Nie mam pojęcia. Nie znam się na mamutach.

– Podchodzi mamut do mamucicy i mówi: „A może byśmy tak...", a mamucica na to: „Nie ma mowy". I tak wyginęły mamuty.

Dwa miesiące później przeglądałem zdjęcia napisów z tej bramy. Jeden zauważyłem dopiero teraz. „Wiesiek chciał zostać naleśnikiem, ale upadł na zimną patelnię".

Częstochowa
Lady Śmierć

– Mam 76 lat, jestem po zawale i wszystko mnie boli. Najlepiej opowiadam historie o śmierci i nie ma w tym nic dziwnego.

Maria wygląda jak królowa. Burza siwych, kręconych włosów i biel pomarszczonej skóry odcinały się od czerni długiej sukni. Dekolt obszyty czerwoną koronką, a gdy siadała na przykurzonym krześle ogrodowym, to jakby na tronie.

– Trzy śmierci opowiem, proszę pana. Moja mama odeszła w szpitalu. Bardzo chciała do tego szpitala zdążyć, żeby wnuczka nie przeżywała. Pamiętam, że zjadła ostatni posiłek i powiedziała: „Teraz już będę umierać". Zgasła chwilę później. To piękne, do końca być panią własnego losu.

Potem odeszła córunia.

– To była moja najlepsza koleżanka. Miała 102 lata, a tak na siebie mówiłyśmy. Ona do mnie „mamuniu", ja do niej „córuniu". 102 lata, a energii za dwie. I herbaty zrobiła, i do komórki po węgiel zeszła. Dla świętego spokoju wzięła sobie opiekunów. Obcych, nie miała rodziny. Ci opiekunowie ją ubezwłasnowolnili, przepisali wszystko na siebie. Cała emerytura, dodatek za przeżycie setki – wszystko na ich konto. Jej dawali 400 złotych na miesiąc, potem wytargowała 800. Z tych pieniędzy musiała im płacić za czynsz, wodę, prąd. Na zakupy jej dokładałam.

Córunia zasłabła w niedzielę.

– Wracałam z kościoła, zaszłam do niej. Ze szpitala wypisali ją tego samego dnia. Mówili, że jest dobrze.

Nie było.

– W poniedziałek zawiozłam ją znowu. Nie chcieli przyjąć, to zaczęłam rzucać kolorami. Mówię, że ona żółta, a mocz czerwony, a to chyba odwrotnie powinno być. Zgodzili się. Pamiętam, jak ubierałam ją do szpitala. „Mamuniu, nie płacz, ja jeszcze nie będę umierać" – tak mi powiedziała.

Umarła. Opiekunowie nawet nie odebrali telefonu.

– Została trzecia śmierć. Podlotkiem jeszcze byłam, małą dziewczynką. Czuwałam w szpitalu przy babci, bo wiedziałam, że powinnam, że babci niedługo nie będzie.

Zanim babci nie było, kazała wnuczce podejść do drzwi. „Otwórz drzwi, dziecko. Dobrze, teraz zamknij, tylko szybko". Dziewczynka zamknęła z całej siły, jak najszybciej. Aż trzasnęło. „Spójrz, Marysiu. Tyle trwało moje życie".

Wąsosz
Szczęście jak malowane

Edmund Dróżdż też ma 76 lat. Jego historie są o życiu.

Edmund Dróżdż z Wąsosza

Zaprasza do piwnicy – tu, między węglem a drewnem, Edmund ma swoją pracownię. Siada na zydelku i podnosi akordeon. Cisza. Grał będzie później. Najpierw opowieść.

– Mój zawód? Szkoły żadnej nie miałem. Do mistrza żem poszedł na nauki, a mistrz pijak straszny, pierun jeden. Ino trochę farby załatwiłem i się na swoje wyrwałem.

Pół wieku temu Edmund został malarzem. Od ponad 50 lat maluje wszystko. Pokoje, domy, samochody. Ludzie proszą – on robi. Sam wycinał szablony, uczył się pisma technicznego.

– Tu wtedy żadnego malarza nie było. W Hutkach ten, co był, zaliczek od ludzi nabrał, polami musiał uciekać.

Pracy było w bród. Codziennie osiem godzin szychty w kopalni. Malował samochody, maszyny, opisywał rozdzielnie. Do domu wracał na 15 minut. Potem jechał na wioski. Zamówień miał na pół roku do przodu. Pokoje, ściany, szyldy.

– Wracałem o dwudziestej trzeciej, a na stole czekał stosik tablic rejestracyjnych. Bo sąsiadowi potrzebna na już, bo kolega jutro jedzie w delegację i musi mieć.

Siadał i malował. Litera za literą. Nie narzeka.

– Od tych farb mi się całe życie kolorowe zrobiło. Wojsko mnie nawet na poligony nie wysyłało, bo tyle mieli pracy. W kopalni też miałem dobrze. Pamiętam plakaty pierwszomajowe – to już w marcu zaczynaliśmy. I się pisało: „Niech żyje Związek Radziecki", a z drugiej strony, mniejszym drukiem: „ale na własny koszt!".

Do dziś w gminie wiszą jego szyldy. Firany, krawiec, fryzjer. Większość firm już wymieniła na drukowane, ale jak jest ręcznie malowany – to wiadomo, że Mundek robił.

– O, jeszcze o chłopie, który kochał konie. Spodoba ci się.

Chłop kochał konie. Wracał z pola i rozstawać się z nimi ani myślał. Jak to, one do stajni, on do domu? Osobno? A że ścianę w izbie miał wolną, to kazał malować.

– Wymalowałem mu tego konia. Pasł się na łące szerokiej na całą ścianę, niebo nad nim bezchmurne, dobrze mu było. Chłop wrócił z pola, ogląda dzieło i mówi: „No bardzo ładnie, ale ja mam dwa konie w stajni. To ten drugi ma być pokrzywdzony? Maluj pan tu jeszcze jednego".

– Tylko obrazów długo nie malowałem. Do 1986 roku. Moja ciocia wyszła wtedy z domu i już nie wróciła. Jak kamień w wodę przepadła. Nigdy jej nie znaleźliśmy.

Samotna postać cioci stoi nad brzegiem rzeki. Stała. Bo zamazał na prośbę rodziny. Została górska rzeka. To pierwszy obraz. Piwnica, w której siedzimy, jest dziś galerią jednego autora. Odrapanych ścian prawie nie widać. Wśród zakurzonych rupieci wiszą akty, pejzaże, portrety. Ramy złote, brązowe, najróżniejsze. Między nimi rzeźbiona, dębowa fajka i drewniany karmnik ze skrytką na bimber.

Mundek podnosi akordeon. Gra piosenki, których nikt już dzisiaj nie pamięta. Żołnierskie, ludowe, plebejskie. Są to piosenki o rzeczach zwykłych. O drzewach, wódce i pięknych kobietach. O tym, że na pewnej ścianie w gminie Konopiska pod bezchmurnym niebem do dzisiaj pasą się dwa konie.

© KRZYSZTOF STORY

Nazwa ulicy została zmieniona na prośbę bohaterów. Na takiej ulicy mieszkają wszyscy bohaterowie poza Edmundem i babcią Romualdą: w ich wioskach nie ma nazw ulic.

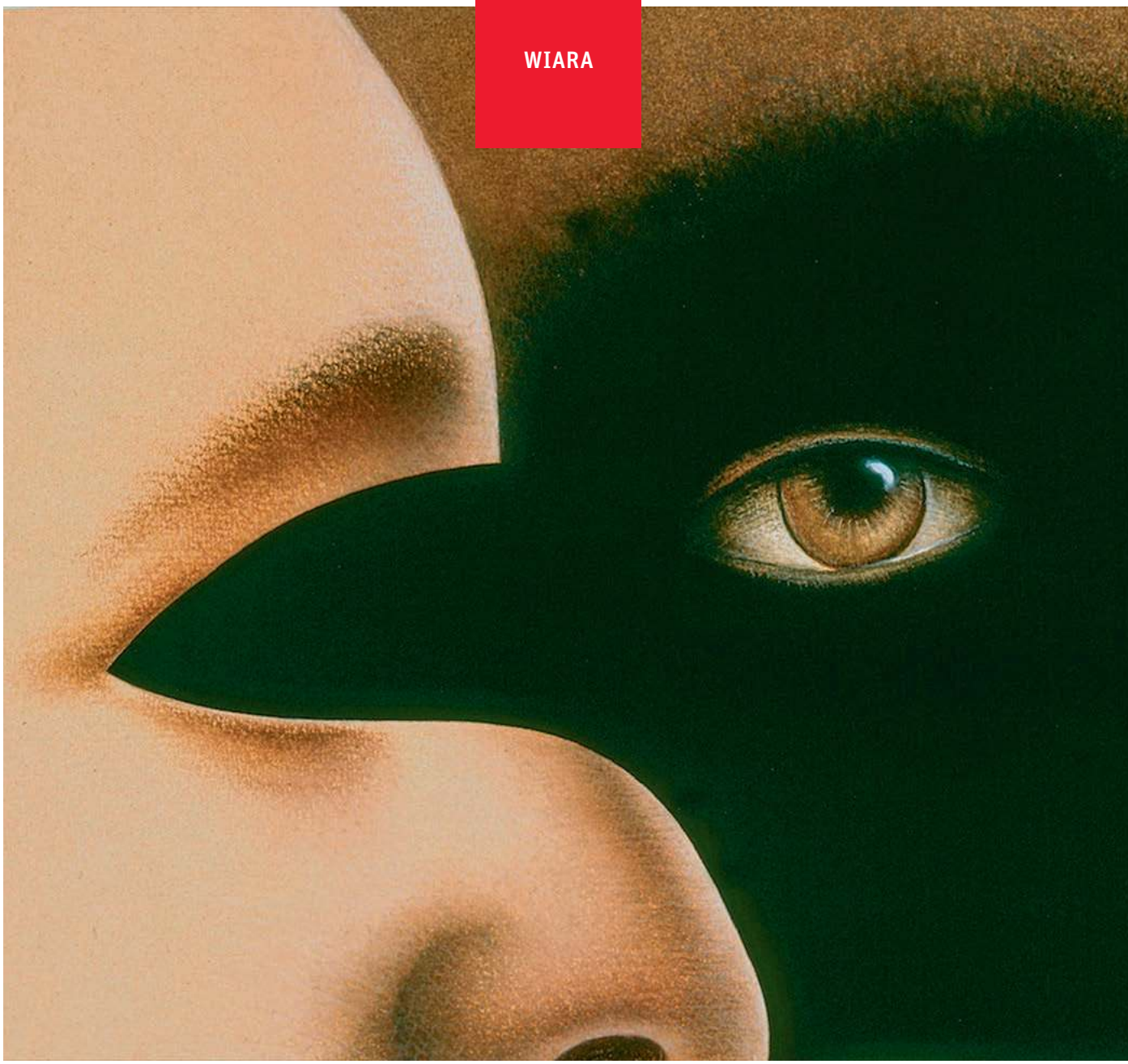

ROZUM, FURIA I WIARA

Będziemy mieć w Polsce do czynienia z erozją wartości chrześcijańskich. I to nie za sprawą neomarksistów i relatywistycznie nastawionych genderystów, lecz z walnym udziałem polskiego Kościoła katolickiego.

TADEUSZ SŁAWEK

WIESŁAW ROSOCHA

Tłum młodych ludzi w czarnych koszulkach z napisem „Jagiellonia". Za chwilę zaczną skandować „Nie przejdziecie! Białystok wolny od pedałów!". To nie jacyś „oni", którzy pojawili się znikąd. To my, Polacy, którzy wstaliśmy z kolan.

Młodzian z twarzą zasłoniętą kominiarką bierze rozpęd i kopie leżącego młodego człowieka. Nie należy do jakichś kosmicznych „onych", którzy dokonali inwazji na Ziemię. To też my, ukazujący twarz prawdziwego chrześcijaństwa pogańskiej Europie, która patrzy na to w niemym podziwie. I ten pan w białym podkoszulku z napisem „Stop zboczeńcom", który być może nie uderzy nikogo, ale chętnie dołączy do tłumu wrzeszczącego hasła pełne pogardy, on też nie przyjechał z antypodów. On również należy do owego „my", które z okrzykiem „wypierdalać!" ruszy, by rechrystianizować Europę.

Jest także młokos z twarzą schowaną za grubym szalikiem, który sięgnie po kamień albo kostkę brukową w akcie, jak kazano mu sądzić, odwagi i patriotyzmu, bo przecież jest żołnierzem wyklętym wartości narodowych, których broni przed demoralizacją i deprawacją.

Jakikolwiek sposób

Wszyscy oni są częścią tego „my", częścią naszej hordy, którą przygotowaliśmy aurą przyzwolenia i dobrotliwej wyrozumiałości dla patriotyczno-rodzinnej atmosfery ich przemarszów. Temu „my" pokłoni się w podzięce parafia św. Jadwigi w Białymstoku: „Składamy wyrazy uznania i podziękowania tym wszystkim, którzy w ostatnim czasie, w jakikolwiek sposób włączyli się w obronę wartości chrześcijańskich i ogólnoludzkich, chroniąc nasze miasto, zwłaszcza dzieci i młodzież przed planową demoralizacją i deprawacją. Niech wam Bóg wynagrodzi i błogosławi wszelkie dalsze dobre poczynania". To mogliśmy przeczytać w komunikacie parafii.

Nawet jeśli przyjąć w dobrej wierze późniejsze wyjaśnienie księży, że zaszło nieporozumienie, a wpis dotyczył stanu rzeczy sprzed marszu, to kilka fraz w tej deklaracji, niezależnie od daty jej powstania, każe bić na alarm.

Po pierwsze, „obrona wartości chrześcijańskich i ogólnoludzkich w jakikolwiek sposób" jest niczym innym jak skredytowaniem przyszłych aktów agresji. Wartości są wartościami właśnie dlatego, że nie broni się ich w jakikolwiek sposób, gdyż czyniąc to, zaprzeczamy tymże wartościom. Obrona wartości nie może wyrastać z przestępczej brutalności.

Po drugie, zagrażająca nam „planowa demoralizacja i deprawacja" to oskarżenie niezwykle mocne, a ponieważ chodzi o dzieci i młodzież, jest ono nasycone silnymi emocjami. Skoro jednak białostocki marsz był marszem równości, może lepiej było się zastanowić nad tym pojęciem, skłonić rodziców i młodych ludzi, szerzej – parafian, do rozmowy na temat tego, czym jest owa rzekomo śmiertelnie niebezpieczna równość. Bo przecież nie chodzi wyłącznie o osoby LGBT. Dane płynące ze szkół alarmują: mnożą się akty wykluczenia i nienawiści spowodowane wieloma przyczynami: stanem majątkowym rodziny, stosunkiem do szkoły i nauki, relacjami dzieci z rodzicami, zagubieniem duchowym młodych ludzi – a nie wyłącznie orientacją seksualną. Ale seks doskonale się komponuje z emocjonalnym ładunkiem oskarżenia o deprawację. I dlatego stał się obsesyjnie ważny dla polskiego Kościoła katolickiego.

I, po trzecie, jak wynika z komunikatu, rozpowszechnia się postawa, którą można by nazwać „syndromem Częstochowy". Białystok, niczym oblężone miasto, ma być chroniony, a ponieważ głosy tego rodzaju płyną także ze sfer rządzących (podlaski radny PiS Sebastian Łukaszewicz stwierdził: „Obroniliśmy Katedrę pw. Wniebowzięcia NMP w Białymstoku. Wielkie podziękowanie wszystkim białostoczanom przywiązanym do tradycyjnych wartości!"), można przyjąć, że obowiązujący model zachowania prawdziwego Polaka wobec problemów świata to postawa z założenia obronna. Nie próbujemy rzeczywistości zrozumieć, lecz mamy robić wszystko, by ją odeprzeć jako wrogą siłę.

A ponieważ nic tak nie konsoliduje jak negatywne emocje, przeto powinniśmy porzucić dyskusję, w obliczu bowiem śmiertelnego zagrożenia, w obliczu „wojny" („Próbą seksualizacji dzieci wypowiedzieli Polakom wojnę" – to Dariusz Matecki, radny Solidarnej Polski w Szczecinie) jedyną reakcją winien być zbiorowy sprzeciw. *Non possumus* ogłoszone *ex cathedra* przez białostockiego biskupa Tadeusza Wojdę to odrzucenie Drugiego, ↦

↦ bliźniego. Niepoprzedzone próbą zaproszenia do rozmowy, rezygnujące z jakiegokolwiek wysiłku zbudowania wspólnego świata, jest czystą anarchią, działaniem chorej na megalomanię woli, dla której nie istnieje nic, prócz niej samej.

Odchodzimy od szlachetnego rozumu w stronę trudnej do ujarzmienia furii.

Trajektoria polityki

Czerpię tę alternatywę – rozum szlachetny i zacietrzewiona wściekłość – z „Burzy" Szekspira, jego ostatniej arcysztuki. Prospero, postać wieloznaczna – mag, polityk, artysta, podstępnie pozbawiony władzy przez własnego brata i zdradzony przez dworaków – wreszcie ma ich w garści: „Mam teraz w ręku wszystkich moich wrogów. / Rychło się skończą moje trudy" (przeł. Piotr Kamiński), powiada Prospero do Ariela. I rzeczywiście, niczym wyznawca Machiavellego doradzającego zdecydowane działania, myśl Prospera idzie w tym kierunku. Rozpoczęte dzieło trzeba dokończyć, dłoń musi się zacisnąć: „Zadręczę ich wszystkich, / Aż skamleć będą".

Mądrość Prospera polega na tym, że potrafi położyć tamę biorącym górę negatywnym emocjom. To dlatego mag idzie się przejść, „by ukoić / Wzburzony umysł". Umysł wzburzony przestaje bowiem spełniać postulaty rozumu, opowiadając się po stronie furii w służbie zemsty. Oto pytanie, na które musimy sobie odpowiedzieć: jeśli polityka ma służyć obywatelowi, czy pragmatyka zysku i strat, wzięcia góry nad przeciwnikiem, może być jej wystarczającą podstawą? Szekspir odpowiada negatywnie, każąc Prosperowi wygłosić zwięzłą formułę: „Idę z rozumem szlachetnym w przymierze / Przeciwko furii. Chlubny czyn się żywi / Cnotą, nie zemstą".

Jest więc „rozum szlachetny", *nobler reason*, i jest *fury*, i o ile polityka ma zajmować się godziwymi relacjami między człowiekiem i światem oraz stwarzaniem warunków, w których życie nasze ma sens, musi w momencie decyzji porzucić rozum kalkulacyjny podpowiadający zawsze środki służące partykularnej sprawie i powierzyć się rozumowi „szlachetnemu", któremu bliżej do etycznej bezinteresowności niż do ekonomicznego czy politycznego interesu. Dlatego już nie „furia", lecz „cnota"; nie odwet, lecz wybaczenie.

Non possumus ogłoszone przez białostockiego biskupa Tadeusza Wojdę to odrzucenie Drugiego, bliźniego. Niepoprzedzone próbą zaproszenia do rozmowy, rezygnujące z wysiłku **zbudowania wspólnego świata**.

Szekspir mówi: trajektoria polityki winna w ostatecznym rozrachunku skręcać w stronę cnoty, to zaś oznacza rezygnację z podstawowego mechanizmu sprawowania władzy, jakim jest srożenie się i grożenie śmiercią, rzucanie kamieniami, odsądzanie od czci i wiary. Szlachetny rozum skłania nie do polityki zagrożenia i odwetu, lecz zrozumienia i pojednania. Nie dzieli, lecz stara się zbliżać ludzi. Uprawiać politykę nie ślepej furii, lecz szlachetnego rozumu, to przywracać rozumność bycia razem, sprawiać, że nabierze ono bardziej ludzkiego charakteru. Jak powie o swych adwersarzach Prospero: „Przytomna myśl w nich wzbiera. / Nadchodzi przypływ, który już niebawem / Z brudu i mułu do czysta obmyje / Wybrzeża ich rozumu".

Tradycyjne wartości

Piszę o tym dlatego, że przez dobrych kilka ostatnich lat to prawo odwetu i furii kierowało polskim życiem publicznym. Widać to było w sposobie, w jaki władze potraktowały katastrofę smoleńską, czyniąc z niej ceremonię nie tyle upamiętniającą ofiary (różnych przecież politycznych poglądów), co piętnującą i dosłownie egzorcyzmującą, bez jakichkolwiek podstaw, „złe siły", jakie miały za nią rzekomo stać. Wystarczy posłuchać jakiegokolwiek programu publicystycznego, by doświadczyć języka pełnego poczucia jedynej racji i wynikającej z niej pogardy dla każdego, kto ośmieliłby się żywić rację odmienną.

W wydaniu polityków owa furia i właściwe jej zacietrzewienie były, rzecz jasna, w dużej mierze wykalkulowane; w społeczeństwie jednak przyjmowały formę afektów, które nasilały się i wzmacniały, aż straciliśmy nad nimi kontrolę. Gdy pani premier polskiego rządu manifestacyjnie usuwa ze sceny flagę zjednoczonej Europy (nawiasem mówiąc, arcychrześcijańską w swej ikonograficznej genezie), jest to gest obliczony na pozyskanie pewnych kręgów wyborców; ale tenże wyborca, o ile nie zatrzyma się przez chwilę i nie pomyśli samodzielnie (a zachęty do tego otrzymuje mało, o czym poniżej), przyjmie to nie jako wymagającą krytycznej analizy cyniczną grę polityczną, ale jako prosty program działania, jako „nie!" rzucone Europie i jej duchowości, i rozpocznie obronę „tradycyjnych wartości" w każdy możliwy sposób. A skoro w każdy, to także kamieniem i kopniakiem; to zaś, uczy historia, otwiera drogę dalszej eskalacji niszczenia.

I tak obrona „tradycyjnych wartości" w każdy możliwy sposób niweczy wszelką wartość, wartością bowiem jest – mówiąc najkrócej – to, co przeciwstawia się śmierci i co staje po stronie życia. Kopniak i rzucony brukowiec są heroldami śmierci.

Noe od Scytów

Dlatego nie powinniśmy zlekceważyć wystąpień biskupów Edwarda Frankowskiego i Ignacego Deca na Jasnej Górze 6 i 7 lipca. W obu homiliach szlachetny rozum abdykował. Oto przed słuchaczami postawiono wyraźnie wytyczone zadanie: nie mają oni zmieniającego się świata próbować zrozumieć, mają go jednoznacznie odrzucić, i to nie na podstawie własnego osądu, lecz dlatego, że tak nakazują im ci, którzy świat zrozumieli w ich, słuchaczy, imieniu. Ta wersja nierozumienia świata kreuje Polskę jako wypreparowaną z rzeczywistości enklawę, która nade wszystko ma cenić granice szczelnie oddzielające ją od napierających zewsząd wrażych sił. Biskup Frankowski powierza polskiemu ludowi bożemu rolę Noego, który ma zbudować arkę ocalającą nas przed „nacierającym bezbożnym potopem demoralizacji, niszczenia małżeństw i rodzin, gorszenia dzieci, niszczenia wiary w Boga".

Metafora potopu jest szczególnie przydatna dla tego rodzaju dyskursu. Z jednej strony upowszechnia niebezpieczeństwo: nie zagraża ono jedynie Polsce, ale całemu światu i właściwie nie ma miej-

sca, które byłoby wolne od nadciągających mrocznych chmur. To, co istnieje, jest głęboko skażone swoistą radioaktywnością domniemanego zła nieoszczędzającego nikogo i niczego. Jak wywodził biskup Frankowski: „Idzie potop genderyzmu, LGBT, uczenia dewiacji już nawet przedszkolaków, idzie zalew profanacji, bezczeszczenia świętości poprzez internet, filmy, teatry, uniwersytety i szkoły, przedszkola i media, aż w końcu przez tak zwane marsze równości".

Z drugiej strony metafora potopu wydobywa nadzwyczajną rolę Polski jako kraju, któremu Bóg powierzył misję zbudowania arki wraz z dokładnym instruktażem dotyczącym jej konstrukcji. W ten sposób otrzymujemy nowoczesną mutację sarmackich rojeń o wyjątkowym miejscu Polski w planie Stworzenia. Wojciech Dembołęcki w opublikowanym w 1633 r. dziełku „Wywód jedynowłasnego państwa świata, że najstarodawniejsze w Europie Królestwo Polskie lubo scytyjskie samo tylko na świecie ma prawdziwe sukcesory" dowodził, że „Polacy, czyli Scytowie są narodem wybranym, pierwszym wśród wszystkich narodów świata, do którego ongiś należało panowanie nad światem i do którego niezadługo powróci, a język słowiański – pierwotnym językiem świata".

Potop towarzyszył także dywagacjom biskupa Deca. Otrzymujemy ostrzeżenie przed zabójczą falą, a jeśli słuchacz nie jest na tyle rozgarnięty, by wiedzieć, o jakiej fali mowa, hierarcha rychło objaśni: „Przez nasz kontynent europejski przesuwa się dzisiaj nowa fala agresji na chrześcijaństwo, a w szczególności na Kościół katolicki – przeszła fala oświeceniowa, bolszewicka, nazistowska, a nadeszła fala neomarksistowska, liberalno-lewacka".

Zdanie to wynika ze szczególnego sposobu pojmowania świata i chrześcijaństwa. Łączenie w jednym szeregu wielkiej tradycji zachodniego oświecenia, bolszewizmu, nazizmu, neomarksizmu i liberalnej demokracji jest, mówiąc najłagodniej, nadużyciem myślowym. To czysta socjotechnika: zmieścić w jednym pakiecie rzeczy do siebie niepasujące po to, by skojarzenia i doświadczenia związane z niektórymi z nich rozlały się na pozostałe. Obrzydziwszy – możemy bezlitośnie zwalczać.

Kategorie takie jak „nowoczesność, wolność, tolerancja czy demokracja" wyraźnie podsuwają słuchaczowi sugestię, że cały ten gwar o sądy, prawa obywatelskie, demokratyczne procedury, sprawy i idee, o które upomina się oficjalnie często już tylko Rzecznik Praw Obywatelskich, to jadowite wyziewy smoczej zarazy, a ponieważ należą bez wątpienia do sfery politycznych wyborów, przeto uwolnienie się od niej jest kwestią odpowiednio oddanego przy urnie głosu. To, co biskup świdnicki jeszcze usiłuje wstydliwie, acz nieskutecznie zakryć metaforą, ks. Ireneusz Skubiś w częstochowskiej „Niedzieli" (20/2019, s. 37) nazywa otwarcie i bez ogródek: „Czas, żeby Polacy otworzyli oczy i zareagowali na tę sytuację kartą wyborczą. Polska musi być czytelna. Naród powinien wiedzieć, jak bardzo obecny w jego dziejach był Kościół. Teraz musi świadomie podjąć decyzję o swojej tożsamości". Nie chodzi zatem o chrześcijańskie inspiracje w polityce, ale o chrześcijaństwo jako oręże w politycznym zwycięstwie, przejęciu i utrzymaniu władzy.

> W homiliach biskupów Frankowskiego i Deca na Jasnej Górze 6 i 7 lipca szlachetny rozum abdykował. Przed słuchaczami postawiono zadanie: nie mają oni zmieniającego się świata próbować zrozumieć, **mają go odrzucić**.

Wygłoszona na Jasnej Górze deklaracja bp. Deca: „Chcemy mieć Polskę katolicką i Europę chrześcijańską" jasno stawia cele: chodzi o dominację nie tyle chrześcijaństwa, ile katolicyzmu (zaiste, stwierdzenie to wielce empatyczne wobec przedstawicieli innych Kościołów chrześcijańskich w Polsce) w kraju oraz zamknięcie dialogu z innymi religiami w Europie. Nie może nie zastanowić ten rozdział między „katolicyzmem" (tu) i „chrześcijaństwem" (tam). Jeśli pamiętać o stosunku władz polskich do uchodźców, można domniemywać, że będziemy mieć w Polsce do czynienia z dalszą erozją wartości chrześcijańskich.

I to nie za sprawą neomarksistów i relatywistycznie nastawionych genderystów, lecz z walnym udziałem polskiego Kościoła katolickiego.

Odważ się

Usłyszeliśmy też: „Pamiętamy, co się wydarzyło 3 maja, w nasze święto narodowe i kościelne, na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie nas, ludzi Kościoła, obrzucono straszliwym błotem (...) Niestety, jest prawdą, że niektóre uczelnie zarażają ducha naszej młodzieży przewrotnym ideologiami. Trzeba z tym skończyć".

Owo „Trzeba z tym skończyć" jest szczególnie złowróżbne. Jest bowiem wezwaniem do bezmyślnej akceptacji *status quo*, do milczącego przyzwolenia, by ktoś rozumiał świat w naszym imieniu, przemawiał naszym głosem i – politycznie rzecz interpretując – naszym głosem zarządzał. Jeżeli przemilczymy wypowiedzi takie, jak biskupów Deca i Frankowskiego, nawet się nie obejrzymy, kiedy spełni się marzenie księdza Ireneusza Skubisia o nadzorze ideowych funkcjonariuszy nad uniwersytetami: „Wiadomo, co o roli uniwersytetu mówił Jan Paweł II, na którego wypowiedzi tak często się powołujemy. Co z tym zrobią UW i inne uniwersytety w Polsce? Co z tym zrobi min. Jarosław Gowin? Myślę, że słowne oświadczenie to jednak za mało. Trzeba merytorycznie zwrócić uwagę na to, co się dzieje na uniwersytetach".

„Trzeba z tym skończyć" rzucone w twarz szkołom i uniwersytetom jest szyderstwem z myślenia i jako takie musi zostać odrzucone. Jeżeli chcemy przeżyć jako ludzie, jako społeczeństwo, jeśli mamy prawdziwie zatroskać się światem, nie możemy „z tym skończyć". Musimy uparcie wykazywać się odwagą samodzielnego myślenia, nie wolno nam bowiem dopuścić do tego, by zasada *sapere aude!* straciła znaczenie.

Inaczej to, co się wydarzyło w Białymstoku, zyska powszechną aprobatę i łatwo stanie się wzorem postępowania.

© TADEUSZ SŁAWEK

Autor jest pisarzem, filozofem i wykładowcą. Był rektorem Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach w latach 1996–2002. Stały współpracownik „Tygodnika Powszechnego".

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

„Zupa na Plantach" nieopodal Teatru Słowackiego w Krakowie, 30 czerwca 2019 r.

Jeden dzień z życia

DOROTA BIDZIŃSKA

Jedni chcą, by zniknęli. Inni współczują. Niewielu ma pojęcie, z czym oni się zmagają.

Jakub budzi się i patrzy na Wawel. Widok jak z najdroższych apartamentowców. Tyle że nie zza okna luksusowego mieszkania, ale z ławki.

Skulony, przykryty cienką szarą bluzą. Pod głową dwie reklamówki. W środku trochę jedzenia, butelka z zimną herbatą, parę ciuchów. Nie narzeka. Wcześniej spał w innym miejscu, też blisko Rynku. Bywało, że w nocy ktoś go szturchał, zaczepiał. Tu ma spokój.

Do Krakowa Jakub przyjechał niedawno. 20 kilometrów przeszedł pieszo, potem złapał stopa. Za ostatnie 12 zł kupił bilet na autobus. – Tu jest dużo pomocy – mówi. – Tam, skąd przyjechałem, mogłem najwyżej iść pod kościół. Mała miejscowość, wszyscy cię znają...

Tadeusza budzą przebijające przez namiot promienie słońca. Mówi, że ma szczęście. Dogadał się z synem starego znajomego. Ten zgodził się na rozbicie namiotu na jego działce. Teren ogrodzony, w ciągu dnia można zostawić rzeczy. Wcześniej spał w wagonach, czasem na ławkach w parku. – To był taki sen nie sen, człowiek musiał być czujny, bo mógł się rano obudzić bez butów – opowiada.

Krzysztof zsuwa się z górnej pryczy piętrowego łóżka w schronisku na ul. Makuszyńskiego. W pokoju jest ich czterech. – Chłopaki są w porządku – mówi. – Wcześniej mieszkaliśmy w szóstkę. Był taki jeden cwaniaczek, który ciągle szukał zwady. A ja jestem raczej spokojny.

Krzysztof nie wyobraża sobie spania na ulicy. Niedawno dostał pierwsze ostrzeżenie. Wrócił po kilku piwach, a w schronisku obowiązuje trzeźwość. Ostrzeżenia są trzy. Postanowił: musi mocno się zawziąć.

Józef mówi, że sam mi pokaże, gdzie mieszka. Twierdzi, że bez niego nie odważyłabym się tam wejść. Ma rację. Stary hotel straszy pustymi, osmolonymi oknami i wulgarnymi napisami na ścianach. Omijamy kupki gruzu i hałdy śmieci. Nie ma prądu ani kanalizacji. Są szczury.

Mieszkają tu w kilku. Każdy urządził się w swojej wnęce. Serwetka i kolorowe kubki na starym taborecie, wiszące na odrapanej ścianie lusterko, przyczepiony pinezką nad materacem święty obrazek – jakoś próbują oswoić przestrzeń.

– Tamci w ogóle stąd nie wychodzą, cały czas piją – Józef pokazuje drzwi, które omijamy szerokim łukiem. – Zawsze ktoś przyniesie im coś do jedzenia.

W jednym z pomieszczeń natykamy się na starszą kobietę skuloną na materacu. Patrzy na nas zdziwiona. – Dzień dobry, pani Krysiu, przyprowadziłem pani lokatorkę – śmieje się Józef.

W marcu 2017 r. papież Franciszek udzielił wywiadu mediolańskiej gazecie „Scarp de'tenis". Pismo wydawane jest przez spółdzielnię Oltre przy wsparciu włoskiego Caritasu. Zatrudnia osoby doświadczające bezdomności, oddaje im głos. „W Buenos Aires, bezpośrednio przy siedzibie arcybiskupiej, przy przejściu między kratami i chodnikiem, koczowała rodzina i pewna para – mówił Franciszek. – Kłaniałem się im, codziennie rano się spotykaliśmy (...) Nigdy na myśl mi nie przyszło, by ich stamtąd wyrzucić. Ktoś zwrócił mi uwagę: »Zanieczyszczają kurię«. Tymczasem to w jej wnętrzu jest brud i nieczystość".

Nie-obywatel

Kilka miesięcy temu z powodu fatalnego stanu budynku zamknięto prowadzoną przez miasto ogrzewalnię przy ul. Wielickiej w Krakowie. Na piętrze, ciasno, jeden przy drugim, leżały wąskie materace. To były miejsca uprzywilejowane. Dla tych, którzy się nie zmieścili, na dole czekały plastikowe krzesła i koce. W ubikacjach zamiast drzwi w kabinach wisiały nylonowe zasłonki prysznicowe. – Dobrze, że zamknęli – mówi mi jeden z mężczyzn, który tam nocował. – Ale czy otworzą coś w zamian? Przyjdzie zima, ludzie będą musieli gdzieś się schronić.

W ramach pomocy społecznej oferowane są trzy formy schronień. Ogrzewalnie, o najniższym standardzie, pozwalają przetrwać mrozy. W noclegowniach i schroniskach, działających przez cały rok, warunki są dużo lepsze. – Pewnie w wielu domach nie ma tak porządnych łazienek i pryszniców – mówi jeden z byłych mieszkańców schroniska na ul. Makuszyńskiego. – A mimo to życie tutaj trudno porównać z mieszkaniem na swoim. Dzieliliśmy pokój w czterech. Za każdym razem, kiedy wychodziłem, nawet do łazienki, musiałem chować co cenniejsze rzeczy. Jedna kuchenka przypada na 30 osób.

No i regulamin. Miejsce zbiorowego schronienia wymaga zasad. Czasem jednak prowadzi to do absurdu. – Są dyżury porządkowe – opowiada były mieszkaniec. – Osoby, które pracują i nie mogą stawić się na swoim dyżurze, za cichym przyzwoleniem personelu płacą innym po pięć złotych, żeby ich zastąpili. Codziennie trzeba opuścić placówkę między ósmą a szesnastą, w ramach tzw. aktywizacji zawodowej. Tylko że ta zasada obowiązuje też w niedziele i święta. Musieliśmy wyjść 11 listopada i 3 maja, szwendać się po Plantach. Poczułem się, jakbym nie miał prawa świętować z innymi, jakbym nie był obywatelem.

Gdy w styczniu 2017 r. we Włochy uderzyły mrozy, papieski jałmużnik abp Konrad Krajewski rozdał bezdomnym śpiwory termiczne. Wszystkie samochody, które miał do dyspozycji, zostały otwarte, by ci, dla których zabrakło miejsc w ogrzewalniach i noclegowniach, mogli schronić się w środku. Trzy lata wcześniej, w czasie gwałtownych ulew, Franciszek nakazał rozdać 300 parasoli.

Te nieszczęsne promile

Krzysztof wie, że wszystko przez alkohol. Zaczęło się niewinnie, od kilku piw na dyskotece, żeby dodać sobie odwagi. Miał dobry fach – wykończeniówka. Kiedyś szef mu powiedział: – Krzychu, ty byś w złotych butach chodził, gdybyś nie pił.

Miał rodzinę. Z żoną są po rozwodzie. – Wiadomo, wina nigdy nie jest po jednej stronie. Ale, jak mam być szczery, to więcej zawiniłem ja – mówi.

Najbardziej tęskni za córkami. Trudno mu z nimi nawiązać kontakt. Dziś już są dorosłe. Kiedy były dziewczynkami, nieraz musiały się za niego wstydzić.

Ostatnio wytrzymał pół roku. Potem były te nieszczęsne piwa. Jest na siebie wściekły. Jutro po raz pierwszy wybiera się na spotkanie AA. Wzdycha: – Najważniejsze to się nie poddawać.

W większości krakowskich instytucji, które pomagają osobom doświadczającym bezdomności, wymagana jest trzeźwość. Dla wielu to motywacja, ale jest i druga strona medalu. – Wymaganie trzeźwości jest uzasadnione. Zdarzają się jednak sytuacje, kiedy osoby podjęły walkę i nie piły przez dzień lub dwa, żeby móc skorzystać z łaźni, a alkomat i tak zaświecił na czerwono, więc odchodziły z kwitkiem – mówi Katarzyna Olczyk.

Jesteśmy na słynnym „kółku" (to miejsce na Plantach w pobliżu dworca), gdzie w każdą środę jej Wspólnota Hanna spotyka się przy kawie, herbacie, posiłku z osobami doświadczającymi bezdomności, i gdzie w niedziele urzęduje Zupa na Plantach. Są tu też lekarze i wolontariusze z Fundacji Przystań Medyczna. Katarzyna pracuje w Fundacji Po Pierwsze Człowiek, prowadzonej przez siostry albertynki, i na co dzień towarzyszy ubogim. – Przed chwilą rozmawiałam z chłopakiem, alkoholikiem, który chce się leczyć. Tu, na Plantach, lekarze nie mogą dać mu skierowania. Powinien pójść do przychodni, ale on naprawdę nie jest w stanie samodzielnie zejść z alkoholu – ma delirkę, ataki padaczkowe. A kto w przychodni przyjmie kogoś z promilami? Do szpitala co prawda można przyjść na detoks bez ubezpieczenia, ale nie bez skierowania – i jedynie w sytuacji aktualnych objawów odstawiennych. Uważam, że znając możliwy przebieg schodzenia z alkoholu bez farmaceutyków i opieki lekarskiej, powinien zostać przyjęty. W praktyce jednak dużo zależy od tego, na jakiego lekarza się trafi. Ostatnio z jednym panem nam się udało. Ale gdybyśmy z nim nie poszli i nie przekonali lekarzy, pewnie sam by sobie nie poradził.

– Szczerze? Nie wiem, jak pomóc temu chłopakowi – dodaje po chwili Katarzyna. – Mam przy nim stać i czekać, aż zacznie go trzepać, będzie miał zwidy i dopiero wtedy dzwonić po karetkę? Wszyscy oczekują, że bezdomny „coś zrobi ze swoim życiem", a gdy on zaczyna próbować, to jego przypadek nie mieści się w przepisach.

Kolumnada Berniniego na placu św. Piotra, symbolizuje wyciągnięte ręce Kościoła. To tu za pontyfikatu Franciszka stanęły prysznice dla osób w kryzysie bezdomności. Wkrótce potem pojawił się fryzjer. W grudniu 2018 r. Urząd Dobroczynności Papieskiej otworzył ambulatorium im. Matki Miłosierdzia.

Łatwo znaleźć, trudno utrzymać

Józef opuszcza zrujnowany hotel najwcześniej, jak się da. O ósmej już jest przy ul. Woronicza, w fundacji u sióstr albertynek. Pomoże kierowcy wypakowywać skrzynki z chlebem, włączy się w porządki w ogródku. Około jedenastej ludzie zaczną schodzić się na wspólny różaniec. W południe usiądzie razem z innymi przy stole. Któryś z wolontariuszy poda im ciepły posiłek. Zwykle zupę: z makaronem lub ryżem, z ziemniakami, kawałkami mięsa. Dziś łazanki z mielonym. Żeby dotrwać do kolacji, zje dwa lub ↦

trzy talerze. Na obiad przyjdą też Tadeusz, Krzysztof i Jakub. Zostaną do końca – bo gdzie mieliby iść? Wypiją kawę, zapalą papierosa, pogadają. O czternastej złapią za miotły i mopy.

Żaden z nich nie ma pracy. Każdy mówi, że jakaś by się przydała. Jakub chce spróbować sił w Centrum Integracji Społecznej. – Do budowlanki się nie nadaję, bo nigdy tego nie robiłem – mówi. – Ale sprzątać mogę. Kiedyś sprzątałem wagony. Było dobrze, dopóki nie zatrudnili takiej jednej babki do nadzoru. Tak się przejmowała, żeby jej nie zwolnili, że każdą śrubeczkę oglądała. Ciągle się czegoś czepiała. Nie dało się z nią wytrzymać.

Krzysztof czeka, aż odzyska sprawność w nodze. Skaleczył się szkłem. Zlekceważył sprawę. Nie miał wody utlenionej ani bandaża. W nogę wdało się zakażenie. – Lekarz powiedział, że przyszedłem w ostatniej chwili. Teraz czekam na rehabilitację, żebym chociaż mógł ją w kolanie zginać – podciąga nogawkę, pokazuję grubą bliznę. – Wtedy mógłbym się zatrudnić.

Tadeusz ma 60 lat: – Jeszcze człowiek trochę siły ma, poszedłbym na budowę.

Do łaźni trzeba się wcześniej zapisać. Można się załapać góra dwa razy w tygodniu. Józef wzdycha ciężko: – Coraz ciężej człowiekowi się do czegoś zmobilizować.

Niedawno dostał wezwanie do sądu. Sprawa dotyczy zakazu przebywania w jego dawnym domu. Po śmierci żony od razu przepisał wszystko na dzieci. Notariusz radził najpierw przyjąć spadek, potem się tym zająć. Ale syn go przekonał, że szkoda dwa razy płacić taksę notarialną. Teraz chce się go pozbyć. Józef żałuje, że go posłuchał.

– Często przychodzą do mnie osoby, które chcą pracować – mówi Natalia Nóżka, doradca zawodowy w Dziele Pomocy św. Ojca Pio. – Myślą tak: znajdę pracę, dostanę pieniądze i coś wynajmę. Zachęcam wtedy, abyśmy się wspólnie zastanowili, czy to właściwy moment. Bo pracę łatwo znaleźć, trudniej utrzymać. Co jeśli ktoś nie ma stałego schronienia, gdzie po pracy odpocznie i zbierze siły na kolejny dzień? Są osoby z zadłużeniami. Są tacy, którzy najpierw potrzebują zadbać o swoje zdrowie.

Formą przygotowania do pracy na wolnym rynku jest udział w programie Centrum Integracji Społecznej (Dzieło Pomocy św. Ojca Pio prowadzi CIS od 1 maja 2019). CIS powstało z myślą o osobach bezdomnych pozostających długotrwale bez pracy. Przez cztery dni w tygodniu uczestnicy wykonują zadania pod okiem opiekuna z zakładu pracy. W piątki są warsztaty umiejętności miękkich, angielski lub informatyka, spotkania integracyjne i kulturalne.

KATARZYNA OLCZYK:

Wszyscy oczekują, że bezdomny „coś zrobi ze swoim życiem", a gdy on zaczyna próbować, wtedy nagle jego przypadek nie mieści się w przepisach.

– Cieszę się, gdy uczestnicy zostają zatrudnieni na dotychczasowych stanowiskach, na umowę o pracę, a pracodawcy dzwonią do mnie i pytają: pani Natalio, ma pani więcej takich panów Rafałów, Grzegorzów, Michałów?

Na Plantach

Jakub zostałby u sióstr do kolacji, ale dziś środa. Jedzie więc na Planty, na kanapki od Wspólnoty Hanna. Lubi tu być: jest wesoło, grają na gitarach. Młody mężczyzna, rówieśnik Jakuba, siada razem z nami na ławce. Popijają kawę z papierowych kubków, jedzą kanapki. Jakub opowiada, że ostatnio chciał się zapisać do biblioteki. Nie udało się, bo nie ma dowodu. – PESEL z pamięci mogłem podać. Coś by tam sobie w te rubryczki wpisali – dziwi się.

Wokół kręcą się ludzie. Dziewczyny i chłopaki z materiałowymi torbami pełnymi kanapek i termosami chodzą wśród nich, zagadują po imieniu. Ktoś przechodzącemu mężczyźnie proponuje dolewkę kawy. Kręci głową: – A gdzie ja potem ubikację znajdę?

– Jak ktoś wraca z imprezy i pójdzie za krzaczek, to straż miejska nie reaguje. Ale jak widzą, że gorzej ubrany, to od razu mandat – żali się inny.

Są osoby starannie ostrzyżone, po których trudno się domyślić, że doświadczają bezdomności. Ale pojawiają się też brudni i zaniedbani.

– W trakcie wizyty studyjnej w jednym z ośrodków we Włoszech spotkałam się z takim działaniem służb porządkowych: przebywającą na ulicy osobę, która nie spełnia wymogów higieny, można przymusowo zaciągnąć do łaźni. Dla mnie to działanie na granicy gwałtu. Odziera z intymności, narusza godność – oburza się Jolanta Kaczmarczyk z Dzieła Pomocy. – Zdarza się, że ktoś przychodzi do nas i wycofuje się, nie chce w danej chwili skorzystać z łaźni. Mówi: „nie chcę" lub „nie, jeszcze nie dzisiaj". Dla mnie te słowa oznaczają jedno: potrzeba czasu, by lepiej się poznać, zaufać sobie nawzajem. Może też być tak, że propozycją pomocy naruszyliśmy granice. W tym momencie ten człowiek potrzebuje uszanowania jego wolności, prawa do decydowania o sobie.

Podczas pielgrzymek papież często spotyka się z osobami doświadczającymi bezdomności. „W modlitwie nie ma ludzi bogatych i biednych. Są synowie i córki, siostry i bracia. W modlitwie nie ma pierwszej i drugiej klasy, jest braterstwo" – mówił w waszyngtońskim kościele św. Patryka podczas wspólnej modlitwy.

Przed zaśnięciem

W ciągu dnia mają dużo czasu na myślenie. Za dużo. Dlaczego to ich spotkało? Gdzie popełnili błąd? Obwiniają się za wypity alkohol, złe decyzje. Albo, tak jak Tadeusz, że nie poradzili sobie z żałobą. – Miałem przyjaciółkę, przeżyliśmy razem siedemnaście lat – mówi z trudem, łamie mu się głos. – Kiedy odeszła, wszystko się posypało. Nie byłem mile widziany przez jej dzieci. Odszedłem.

O czym myślą przed zaśnięciem? O tych, których najbardziej im brakuje? Józef: o zmarłej żonie? Tadeusz: o kobiecie, którą kochał? Krzysztof: o córkach? Jakub: o swojej byłej dziewczynie? – To była wariatka, zwłaszcza jak wypiła – opowiadał mi w ciągu dnia. – Każde poszło w swoją stronę. I dobrze. Już wolę być sam.

A może zastanawia się, gdzie schować na noc buty? Dobrze by było je ściągnąć choć do spania. Gdzie je wcisnąć, żeby nie ukradli?

Kuli się na ławce. Jutro będzie nowy dzień.

© DOROTA BIDZIŃSKA

Imiona części bohaterów zostały na ich prośbę zmienione.

MATERIAŁY PRASOWE

Ekipa telewizji Sat-7 na planie filmu „Powrót do domu", 2017 r.

Chrześcijanie na ekranie

MARCELINA SZUMER-BRYSZ

Wspiera i jednoczy religijne mniejszości oraz obala mity, przesądy i fałszywe przekonania na temat wyznawców Chrystusa. Sat-7, jedyny chrześcijański kanał telewizyjny na Bliskim Wschodzie, działa już cztery lata.

Telegraficzny skrót chrześcijańskich wiadomości z ostatnich dni:

„Gościem spotkania młodzieży w kościele pw. świętych Piotra i Pawła w Antakyi był abp Constantin Kayantin, który zwrócił uwagę na potrzebę rozsądnego korzystania z nowych technologii: – Mamy telefony i tablety, narzędzia pozwalające komunikować się na odległość a przestaliśmy komunikować się ze sobą".

„Patriarcha Konstantynopola Bartłomiej złożył wizytę nowemu burmistrzowi Stambułu Ekremowi Imamoğlu. Podkreślił znaczenie Kościoła w historii i rozwoju metropolii. Polityk zapewnił, że w mieście jest miejsce dla przedstawicieli różnych wyznań, oraz zapowiedział powołanie okrągłego stołu religijnego i aktywne działania na rzecz poszanowania każdej wiary".

„Przedstawiciele mniejszości religijnych wezwali rząd Pakistanu do egzekwowania prawa do wolności wyznania. Ustawa z 2014 roku miała rozwiązać problemy wyznawców religii innych niż islam, ale jej zapisy nie są respektowane. Rzymskokatolicki abp Islamabadu Joseph Arshad zaapelował o zapewnienie równości wszystkim mieszkańcom Pakistanu".

W Europie takimi informacjami nikt się za bardzo nie interesuje, ale to miód na serca chrześcijan żyjących na Bliskim Wschodzie. – Dzięki nim dowiadują się, że takich jak oni jest więcej, że się spotykają, są aktywni. Dajemy nadzieję i odwagę, wspieramy tych, którzy nie mają gdzie się modlić – mówił w jednym z wywiadów Melih Ekener. To turecki aktor komediowy, znany z licznych seriali i filmów, który w latach 80. przyjął chrzest. Dziś nadal gra, ale pełni też funkcję dyrektora generalnego stambulskiego kanału Sat-7. Stacja zaczynała w internecie, potem uzyskała dziesięcioletnią koncesję od państwowego operatora satelitarnego. Ekener uważa to za cud: – Duch Święty działa. Z pomocą Allaha zrobimy wiele dobrego.

Nie jesteśmy obcy

Ekener, jak wielu chrześcijan żyjących na Bliskim Wschodzie i w Turcji, zamiennie używa słów arabskich *Rabb* i *Allah* na określenie Boga. Za swoją misję uważa pokazywanie, że chrześcijanie i muzułmanie wierzą w tego samego Boga. – Wielu naszych braci muzułmanów nic o nas nie wie, albo słyszeli o nas nieprawdę, co budzi lęk i wrogość. Wielu jest ciekawych, jak wygląda kościół i co się w nim dzieje, ale boją się wejść do środka. Chcemy dotrzeć też do nich, pokazać, jacy jesteśmy i że nie trzeba się nas bać – mówił w wywiadzie udzielonym państwowej telewizji zaraz po tym, jak kanał ruszył.

I opowiedział, jakie pokutują o chrześcijanach mity. Jeden z widzów (muzułmanin) był zdziwiony, gdy dowiedział się, że misjonarze nie płacą za przyjęcie chrześcijaństwa. W szkole, którą odwiedził Ekener, uczeń zapytał, czy może go dotknąć. Po czym zdziwiony powiedział: „Jesteś taki sam jak my". Podobnie było w rodzinnym domu. Choć dziś ojciec aktora chętnie ogląda Sat-7, kiedyś nie był zadowolony z decyzji syna. „Gdy powiedziałem w domu, że chcę być buddystą, mama powiedziała, żebym tylko nie utył tak jak Budda. Gdy rzuciłem, że zostanę satanistą, tata wspomniał coś ↦

o obdzieraniu kota ze skóry. Gdy powiedziałem, że zostałem chrześcijaninem, omal się mnie nie wyrzekli" – czytamy we wspomnieniach Ekenera.

Dziś dyrektor programowy przypomina, że Bliski Wschód to kolebka chrześcijaństwa. – Możesz otworzyć İncil (Nowy Testament) na dowolnej stronie i trafisz na opis wydarzeń, które miały miejsce właśnie tutaj: apostołowie, pierwsi święci, siedem kościołów Apokalipsy – mówił w wywiadzie udzielonym portalowi Radikal. Muzułmanie powinni dowiedzieć się, że bliskowschodni chrześcijanie to nie obcy, którzy przyszli ich nawracać, lecz ludzie, których historia na tych terenach sięga dwóch tysięcy lat.

Przebaczać i kochać

Gdy w lutym 2015 r. tureckojęzyczna redakcja Sat-7 zaczynała nadawanie, jej twórcom zadawano dwa pytania: czy są pewni, że chcą sprzedawać ślimaki na muzułmańskim osiedlu, i czy nie boją się powtórki z Zirve. Pierwsze to idiom nawiązujący do faktu, że Koran zabrania jedzenia ślimaków; znaczy tyle, co zrobić zły interes. Bo jakie ma szanse chrześcijańska stacja w muzułmańskim świecie, kto będzie ją oglądał? Odpowiedź była prosta: chrześcijanie, zresztą Sat-7 przygotowuje dobrej jakości programy o historii, kulturze, zdrowiu nie tylko dla nich. Okazało się to dobrą taktyką: telewizja ma ok. 2 mln stałych widzów (podczas gdy zdeklarowanych chrześcijan różnych obrządków żyje w Turcji kilkaset tysięcy). Udaje się jej nawet (choć z trudem) pozyskiwać reklamodawców.

Sytuacja komplikuje się przy pytaniu drugim. 12 lat temu w Malatyii na wschodzie Turcji doszło do wydarzeń, które położyły się cieniem na relacjach chrześcijańsko-muzułmańskich. W Wielkanoc pięciu 20-latków napadło trzech pracowników chrześcijańskiego wydawnictwa Zirve. Mężczyźni zostali we własnym biurze związani, poddani torturom, a następnie poderżnięto im gardła. Podczas procesu jeden z morderców zeznał, że zrobili to „w obronie kraju i religii przed tymi, którzy próbują ją zniszczyć".

Pytanie o strach wydaje się więc uzasadnione. – Oczywiście, że tamte wydarzenia miały na nas wpływ. Ale nie chcemy się na tym koncentrować. Kochamy ten kraj, kochamy tych ludzi – mówił na antenie Sat-7 protestancki pastor Cem Ercin. Melih Ekener dodał:

> Ekipie Sat-7 udało się nie tylko nie zrazić muzułmanów, ale i zjednoczyć tureckich chrześcijan. Są tu programy o katolikach, prawosławnych, protestantach, ormianach, czy Kościele syryjskim. **Program ustala się wspólnie.**

– Chrześcijanie wybaczyli różne wydarzenia, i te z 1915 [rzeź Ormian – red.], i z 2007 r. Jedynym sędzią jest Bóg, a my niesiemy przesłanie pokoju.

W jedności siła

Choć szefowie stacji spodziewali się wrogich zachowań czy gróźb, nic takiego się nie wydarzyło. Nie było protestów ani nagłówków „Skandal!". Odbiór kanału okazał się w Turcji pozytywny – twierdzą jego twórcy. By dowiedzieć się, czy nie koloryzują, warto zajrzeć na stronę stacji i poczytać komentarze pod artykułami. „Brawo, oczernianie islamu trwa w najlepsze, dzień i noc!" – czytamy pod informacją o tym, że w Algierii aresztowano chrześcijan, którzy modlili się w namiocie po tym, jak władze zamknęły kościół. „Ormianie już tacy są, nie można im ufać!" – napisano pod artykułem przedstawiającym historię Turczynki, która ochrzciła siebie i dziecko po tym, jak odkryła, że ma ormiańskie korzenie. Inni „nie wróżą sukcesu" Sat-7, zastanawiają się „po co to komu" albo twierdzą, że „chrześcijanom nie można jednak ufać". Czyli: sceptyczne komentarze są, nienawiści brak.

Ekipie Sat-7 udało się nie tylko nie zrazić do siebie tureckich muzułmanów, ale i zjednoczyć tutejszych chrześcijan. Stacja prezentuje programy o katolikach, prawosławnych, protestantach, ormianach czy Kościele syryjskim. Program i sposób przekazu ustala się wspólnie.

Bóg oświeca rządy

Istnienie kanału tak w Turcji, jak i w Libanie czy Egipcie jest możliwe dzięki wsparciu międzynarodowego giganta: powstałego w latach 90. Sat-7 International. Jej założyciel, mieszkający wówczas w Kairze Terence Ascott, współtwórca Bliskowschodniej Agencji Medialnej i członek Konwencji Mediów Arabskich, uznał, że o Bogu warto mówić za pośrednictwem telewizji. – Zrozumiałem potencjał drzemiący w nieocenzurowanej telewizji satelitarnej i możliwości, jakie daje to Kościołowi na Bliskim Wschodzie – mówi „Tygodnikowi". – Nasza polityka programowa, ustalona wraz z Bliskowschodnią Radą Kościołów w 1995 r., zakłada, że w żaden sposób nie możemy atakować innych wyznań ani angażować się politycznie. Dzięki temu i łasce boskiej rządy Egiptu, Turcji i Libanu spojrzały na nas przychylnie.

Pierwsze studio i siedziba Sat-7 powstało i do dziś mieści się w cypryjskiej Nikozji. W 1997 r. otwarto studio w Libanie, rok później w Egipcie. Ascott wyjaśnia, że organizacja w dużej mierze utrzymuje się z datków. – W większości od kościołów, fundacji i wiernych protestanckich i katolickich. Ale uważamy się za stację ekumeniczną, a w naszej radzie zasiadają przedstawiciele wszystkich obrządków, spośród pięciu arcybiskupów dwóch jest katolickich, a trzech prawosławnych. Nową dyrektor generalną jest Rita Elmounayer, katoliczka.

Ascott przyznaje, że czasem zdarzają się problemy: – Kilka lat temu pracownicy biura cenzury w Egipcie na cztery miesiące skonfiskowali nasz sprzęt. Ale to najczęściej wynik działań pojedynczych, źle nastawionych ludzi, a nie polityki rządów. Obawiamy się jednak, że polityczne zawirowania na Bliskim Wschodzie i w Afryce odbiją się na naszym działaniu.

Stację ogląda ok. 25 mln widzów w regionie. Około, bo wielu, np. w Iranie i Arabii Saudyjskiej, nie chce się do tego otwarcie przyznać. W Turcji nie ma takiego problemu. O urodzinach kanału doniosły duże krajowe gazety. Własny program prowadzi w nim Mehmet Akif Kum, były wiceprezydent prowincji Kayiseri z ramienia islamistycznej AKP, który porzucił islam i został chrześcijaninem. – To chyba lepiej niż gdybym był ateistą, prawda? – pytał na antenie. Rzeczywiście przedstawiciele ludów Księgi to dla wyznawców islamu mniejszy problem niż ci, którzy nie wierzą w nic. Twórcy Sat-7 wierzą, że dzięki temu będą mogli dalej działać, nauczać i jednoczyć.

© MARCELINA SZUMER-BRYSZ

SZYMON

Hołownia:

Po co?

Rozumiem, że trwa sezon ogórkowy, w którym media, rozpalone newsową suszą, tradycyjnie już tracą umiejętność rzeczowego ważenia spraw. Nawet jednak wziąwszy na to poprawkę, trudno inaczej niż z lekkim obrzydzeniem patrzeć, jak znaczna część z nich relacjonowała poszukiwania pięciolatka z Grodziska Mazowieckiego – jak się w końcu okazało – porwanego i najpewniej zasztyletowanego przez własnego ojca, który popełnił samobójstwo. Tragedia, na którą ciężko znaleźć słowa, którą trudno zmieścić w głowie, w sercu.

Jasne, trzeba przecież ludziom powiedzieć, że coś takiego miało miejsce. Może ktoś z czytelników czy widzów będzie miał jakieś przydatne policji informacje? Może coś widział, zapamiętał? Może kogoś to dodatkowo wyczuli, pokaże, że zawsze należy traktować poważnie groźby formułowane pod adresem dziecka, nawet rzucane nie pierwszy raz, w nie pierwszej kłótni – bo my, dorośli, wyczujemy, gdy coś będzie nie tak, mamy większe szanse, by się obronić niż całkowicie ufne i oddane rodzicowi dziecko.

Czy jednak naprawdę konieczne było publikowanie pięć razy na dzień popartych zdjęciami z drona informacji o tym, w którą stronę skręcił właśnie szpaler poszukujących? Wcieleniowe reportaże z dołączenia do ich grona? Spiętrzone zwały eksperckich opinii, z których wynikało, że może chłopiec żyje, ale może też nie żyje, i że może zabił go ojciec, ale może to był wypadek? Zapętlone, wciąż te same zdjęcia miejsca, gdzie ojciec rzucił się pod pociąg, szuwarów, w których mógł leżeć jego syn, zdjęcia z pogrzebu ojca, później syna, z kuriozalnym dopiskiem, że „rodzina prosiła o uszanowanie prywatności”?

To chyba jest w ogóle jakaś pokusa związana ściśle z pokazywaniem czegoś innym – obserwuję to nie tylko w mediach nazywających siebie informacyjnymi, ale też np. we współprowadzonym przeze mnie programie „Mam talent!”. Po niektórych w nim występach mamy wrażenie dokładnie takie samo, jakie – z uwzględnieniem dramatycznej różnicy ciężaru spraw – odnosiłem, bombardowany watą kręconą z tragedii małego Dawida: że ktoś ominął fundamentalne pytanie: „Po co?”.

Bo po co mi detaliczna wiedza o tym, że szukający policjant idzie teraz w lewo, wyliczenie ran kłutych, które zadano dziecku? Co to realnie zmieni i w czyim życiu? Przecież od tego nikomu nie będzie ani o odrobinę lepiej, nie będzie też przecież już gorzej. „Bo ja będę wiedział”. Super. Pytam więc raz jeszcze: po co? Co z tego?

Założyciel naszej religii nie opisywał chorych, tylko ich uzdrawiał. Nie tworzył wcieleniówek o głodzie, tylko karmił głodnych. Nie tropił złoczyńców – przygarniał ich ofiary. Jezus nie organizuje przecież wykładów i pogłębionych *show* z ekspertami o tajemnicy zła. On ją rozwiązuje. Wchodząc w nią, nie gapiąc się na nią.

Naprawdę nie jest łatwo powściągnąć w sobie gapia, słysząc o historii takiej jak opisana powyżej. Po pierwszym czy drugim komunikacie wyłączyć odbiornik i po prostu zrobić wszystko, co w realu, nie w wirtualu (bo modlitwa to dla mnie real, nie wirtual), może zrobić człowiek, który otrzymał taką informację: pomodlić się krótko za tych ludzi.

Inny wątek, ale mechanizm ten sam. Po moich ostatnich publikacjach w sprawie zaatakowanego przez konserwatywnych ekstremistów marszu środowisk LGBT w Białymstoku otrzymałem trzy listy od osób, które opisuje ostatnia litera tego skrótu – transpłciowych. Dwa opisywały do bólu poruszające historie wieloletnich zmagań, zwieńczonych – wiele lat temu – operacjami i kuracjami, które – jak pisze jeden z autorów – były zabiegami *de facto* ratującymi życie. Ci ludzie piszą wprost: to, co widzą, co słyszą, często z ust rozpalonych ideologicznie księży, to prosty komunikat: nie ma dla was miejsca w Kościele. Dewianci – won! Weźcie sobie jakieś tabletki, poprzestawiajcie w mózgach, dopiero wtedy będziecie godni siedzieć obok nas, którzy przecież jesteśmy bez najmniejszej uczynkowej skazy. List trzeci to prośba matki transpłciowego dziecka, która, zobaczywszy tu, jak przypuszczam, jakieś uchylone drzwi, pyta, czy mogłaby może porozmawiać o tym z jakimś mądrym księdzem. W tle, w domyśle, ta sama historia: Kościół, który wyrzuca, odrzuca ludzi. Z pogardą, wstrętem.

Jeśli wspólnota rzeczywiście jest tak silna, jak jej najsłabsze ogniwo – czy to w ogóle jeszcze jest Kościół? Co ze wszystkich bazylik świata i wszystkich złotoustych biskupów, jeśli ktoś mówi: „Próbuję wrócić, ale wciąż całuję klamkę. To ile jeszcze mogę się ze sobą wam narzucać?”.

Osoby transpłciowe nie spełnią przecież warunku, który stawiają im teraz niektórzy z naszych niepokalanych: „Nawróćcie się z grzechu, to wrócicie”. Zresztą – nawet gdy idzie o tych, którzy grzechy popełniać mogą – jakie my, tkwiący po uszy we własnych chaszczach, mamy prawo, żeby ich osądzać, skoro w ulubionym fragmencie naszych doktrynerów, w 1 Liście do Koryntian, święty Paweł „mężczyzn współżyjących ze sobą” stawia w jednym szeregu z tymi, którzy nie odziedziczą Królestwa Bożego: z rozpustnikami, bałwochwalcami, cudzołożnikami, złodziejami, chciwymi, pijakami, oszczercami i zdziercami?

I czy przypadkiem – właśnie – nie widać tu dokładnie tego samego, o czym pisałem na początku? Logiki „gapię się i żywo dyskutuję”, zamiast chrześcijańskiego: „widzę konkretnego człowieka i staram się dać mu nadzieję, siłę do dobrego, pomóc jak potrafię”?

Gdy nie ma nic rzeczywistego, co łączyłoby mnie z człowiekiem, na którego gapię się w telewizji, o którym krzyczę na marszu, na scenę wkracza absolutnie fundamentalne pytanie, które we wstępniaku do ostatniego numeru „Nowego Obywatela” (choć tu w kontekście społecznej sprawiedliwości) zadał Remigiusz Okraska: co takiego się przez te ostatnie lata z nami stało, że „jeden drugiego brzemiona noście” zamieniliśmy na „każdy jest kowalem swojego losu”? ©

BORIS U BRAM

Wielka Brytania ma nowego premiera – *enfant terrible* londyńskiej polityki. Choć jednak premier nowy, to problemy stare.

PATRYCJA BUKALSKA

Jeszcze kilka lat temu sam śmiał się, że ma większe szanse, by odrodzić się po reinkarnacji jako oliwka lub stracić głowę ściętą przez latający frisbee, niż zostać premierem. Niewielu było wtedy innego zdania. A jednak teraz, w tak trudnym dla Wielkiej Brytanii czasie, to Boris Johnson wprowadził się na Downing Street 10.

Błyskotliwy, inteligentny, pełen energii, ambitny – mówią zwolennicy. Kłamliwy bufon, dbający tylko o siebie, który nie nadaje się na to stanowisko – mówią krytycy. Anegdot o nim jest mnóstwo – i zabawnych, i nieśmiesznych. Są też skandale, które pogrążyłyby niejednego polityka.

Ale on, choć ma opinię lekkoducha, jest zadziwiająco konsekwentny, gdy idzie o karierę. Czy równie skuteczny będzie jako premier? Opinie są podzielone.

Na pewno wzbudza wielkie emocje: już w dniu, gdy ogłoszono, że wygrał wybory na szefa Partii Konserwatywnej, na ulice Glasgow wyszli zwolennicy niepodległości Szkocji. Gdy następnego dnia jechał do Pałacu Buckingham, na audiencję u królowej – jako nominowany na premiera – drogę blokował Greenpeace.

Londyn i reszta Europy

Na czele partii i na stanowisku premiera zastąpił Theresę May. Trzykrotnie i bezskutecznie próbowała ona przeprowadzić przez parlament wynegocjowaną z Brukselą umowę regulującą opuszczenie Unii Europejskiej. Brexit miał nastąpić pod koniec marca, ale jego termin przesuwano dwukrotnie. Według ostatnich ustaleń Brytyjczycy mają pożegnać Unię 31 października. W inauguracyjnym wystąpieniu, wygłoszonym tradycyjnie pod budynkiem przy Downing Street, Johnson zapewnił, że tak się stanie. „Bez żadnego ale" – podkreślał.

Zapowiedział też nową umowę „rozwodową", która oczywiście będzie „lepsza" i pozwoli Londynowi „rozwijać partnerstwo z pozostałą częścią Europy". Chciałby to osiągnąć w 99 dni (tyle zostało do końca października) lub szybciej, „bo Brytyjczycy mają już dość czekania". Obietnica to mało realna – Bruksela wyklucza nowe negocjacje.

Johnson poruszył też sprawę tzw. backstopu: zapisanej w umowie gwarancji, że po brexicie granica między Republiką Irlandii a Irlandią Północną (częścią Wielkiej Brytanii) nie będzie mieć takiego charakteru jak zewnętrzne granice Unii, gdzie obowiązują szczegółowe kontrole. Johnson uważa *backstop* za niedemokratyczny i jest pewien, że znajdzie się inne rozwiązanie, także bez kontroli granicznych. Jakie? Nie zdradził. Był za to inny konkret: premier potwierdził, że obywatele Unii mieszkający na Wyspach – są ich trzy miliony – mają prawo tu pozostać.

Johnson nie wyklucza jednak, że kraj opuści Unię bez żadnej umowy (sprzeciwia się temu spora część parlamentarzystów, także konserwatystów), i wierzy, że z brexitem upora się szybko. Jakby dowodząc, że brexit to tylko jedna z licznych pilnych spraw, wyliczał inne swoje priorytety: skrócenie czasu oczekiwania na wizytę u lekarza, uzdrowienie systemu pomocy społecznej, nowe etaty dla policji, a nawet poprawienie dobrostanu zwierząt.

Zwalczanie ognia ogniem

Problemy związane z brexitem mocno wpływają na brytyjską politykę i zdaniem niektórych analityków mogą położyć kres dominacji dwóch formacji: Partii Pracy i Partii Konserwatywnej. Kryzys dotyka zwłaszcza tę ostatnią. Zmiana lidera ma zatrzymać spadające drastycznie poparcie.

PATRYK SROCZYŃSKI

W finale kilkutygodniowej procedury – bo o swej dymisji May poinformowała jeszcze pod koniec maja – 160 tys. członków rządzącej Partii Konserwatywnej wybierało nowego przewodniczącego z dwóch kandydatów. 160 tys. – to zaledwie 0,3 proc. uprawnionych do głosowania Brytyjczyków. Grupa niewielka i niezbyt reprezentatywna, bo złożona w przeważającej części z białych, starszych, zamożnych mężczyzn. Oni zdecydowali, kto pokieruje krajem w obliczu największego wyzwania od II wojny światowej. Johnson zdobył ponad 92 tys. głosów, a jego konkurent Jeremy Hunt połowę mniej (niecałe 47 tys.).

Dlaczego on, skoro jeszcze niedawno mało kto traktował poważnie jego kandydaturę?

– Konserwatyści są w panice po tym, jak w wyborach do Parlamentu Europejskiego zdobyli poniżej 10 proc., a najwięcej głosów dostała Brexit Party, prąca do wyjścia z Unii bez umowy i prowadzona przez charyzmatycznego polityka – mówi „Tygodnikowi" prof. Tim Bale, politolog z Queen Mary University of London. – Doszli do wniosku, że jedynym sposobem, aby ten trend odwrócić, jest zwalczanie ognia ogniem. Stąd Johnson, charyzmatyczny populista, który zapowiada, że cokolwiekby się działo, wyprowadzi kraj z Unii 31 października.

Dwie skrajne grupy

Przemawiając do partyjnych współtowarzyszy po ogłoszeniu wyniku głosowania, do swej mantry z kampanii, w której obiecywał trzy rzeczy – brexit przed 31 października, pokonanie lidera Partii Pracy Jeremy'ego Corbyna i zjednoczenie kraju – Johnson dodał czwartą: entuzjazm.

Torysom, podzielonym i zgnębionym, entuzjazm bardzo by się przydał. Podobnie jak całemu krajowi. Ale żeby on wrócił, przydałoby się najpierw zintegrować podzielony kraj. Z tym też kłopot, bo od referendum w sprawie wyjścia z Unii Wielka Brytania coraz mniej przypomina Zjednoczone Królestwo. Narasta też zniecierpliwienie przeciągającym się chaosem.

Z sondażu opublikowanego w lipcu przez POLITICO-Hanbury wynika, że poglądy Brytyjczyków się radykalizują, co spowodowało podział na dwie skrajne grupy: jedni chcą wyjść z Unii bez umowy, inni chcą odwołania brexitu. Nie ma już więc pola na kolejne przekładanie terminów i kompromisy.

Jakby tego wszystkiego było mało, Johnson dziedziczy po Theresie May słabą pozycję bez samodzielnej większości w Izbie Gmin – i tak jak ona będzie musiał polegać na wsparciu partii irlandzkich unionistów DUP. Zresztą sami posłowie torysów są głęboko podzieleni. Do tego nasilają się szkockie dążenia niepodległościowe, a Johnson jest w Szkocji wyjątkowo niepopularny. Jednak on sam wydaje się tym wszystkim niezrażony i chce być premierem wszystkich brytyjskich narodów, tej – jak mówił – „wspaniałej czwórki": Anglii, Szkocji, Walii i Irlandii Północnej.

Projekt Boris

Entuzjazmem można wygrać partyjne wybory, ale brytyjska opozycja i unijni politycy przyjęli Johnsona wyjątkowo sceptycznie; negocjator brexitu Michel Barnier przypomniał o konieczności ratyfikacji obecnej umowy.

Inaczej Donald Trump. Johnson „będzie wspaniały" – tweetował prezydent USA i nie jest to zaskakujące, bo obaj dobrze się rozumieją; Johnson bywa nazywany „europejskim Trumpem". Ich relacja z pewnością ma szanse być lepsza niż Trumpa z May. ↦

Johnson jest w Brukseli znany nie od dziś. Pracował tam na początku lat 90. jako korespondent brytyjskiego dziennika „The Daily Telegraph". Zasłynął tyleż ostrym piórem, co podkręconymi lub nieprawdziwymi historiami o europejskich absurdach, jak ślimaki klasyfikowane jako ryby, krzywe banany itd. Wtedy mogło się to wydawać zabawne, jednak z perspektywy czasu widać, że już wtedy stanowiło pożywkę dla brytyjskich eurosceptyków. I przyczyniło się do obrazu Brukseli jako siedliska spiskujących biurokratów, czyhających na brytyjską suwerenność. Sonia Purnell, autorka biografii Johnsona, również pracowała wtedy w Brukseli i mogła na co dzień obserwować obecnego premiera. Teraz w „Guardianie" podkreśla, że na ironię zakrawa fakt, iż to Johnson ma rozwiązać narodowy kryzys, który zapoczątkował swoimi tekstami sprzed dwóch dekad.

Co ciekawe, w jej wspomnieniach stosunek Johnsona do Unii wcale nie był otwarcie negatywny. „Nigdy nie wydawał się naprawdę wierzyć w to, co pisał lub mówił – pisze Purnell. – Jego motywacją wydawało się być tylko pobudzenie jego własnej sławy". Podobne są odczucia wielu komentatorów: priorytetem Borisa jest Boris.

Kosmopolita z Eton

W ciągu ostatnich kilkunastu lat miał swoje wzloty i upadki.

Gdy przez osiem lat był burmistrzem Londynu, zyskał wielką popularność, stając się jednym z najbardziej rozpoznawalnych polityków. Spopularyzował rowery miejskie (zwane teraz „rowerami Borysa"), był gospodarzem igrzysk olimpijskich w 2012 r. Każdą katastrofę wizerunkową umiał zamienić na swoją korzyść, a przynajmniej ją zneutralizować. Myliłby się jednak ten, kto – oglądając go, jak np. szybuje w powietrzu podczepiony do liny, w garniturze oraz z brytyjskimi chorągiewkami w dłoniach – uznałby go za politycznego klauna. Ci, którzy z nim pracowali, mówią, że potrafi być konsekwentny i bezlitosny.

Widać to zresztą po sposobie, w jaki przeprowadził rekonstrukcję rządu – natychmiast po objęciu urzędu. W mediach skomentowano to jako „czystkę" lub „rzeź". Wymienił bowiem kilkunastu członków gabinetu z czasów Theresy May – wprawdzie część odeszła na własną prośbę, ale część została do tego zmuszona. Johnson powołał natomiast do niego polityków, o których wie, że podzielają jego poglądy i pomogą mu w zadaniu numer jeden, czyli w doprowadzeniu do wyjścia z Unii.

Jego gabinet nieco odmłodniał (średnia wieku to 48 lat, wcześniej było to 51 lat). Jedna czwarta ministrów to kobiety (w rządzie May stanowiły 31 proc.). Resort spraw wewnętrznych objęła Priti Patel, ambitna polityczka o radykalnych poglądach. Nie jest pierwszą kobietą na tym ważnym stanowisku, bo kiedyś tym ministerstwem kierowała sama Theresa May, ale jest tu pierwszą kobietą indyjskiego pochodzenia. W rządzie Johnsona pozostał syn imigrantów z Pakistanu Sajid Javid – a nawet chyba awansował, bo z funkcji ministra spraw wewnętrznych przenosi się na fotel kanclerza skarbu.

Ich historie są często przywoływane jako przykład sukcesu poprzedzonego ciężką pracą. Rodzice Priti Patel przybyli do Wielkiej Brytanii bez grosza przy duszy, ona sama jako nastolatka pomagała w ich sklepie – zupełnie jak Margaret Thatcher, która, jak deklaruje, jest jej wzorem. Rodzicom Javida też nie było łatwo: ojciec pracował jako kierowca autobusu, mama nawet nie mówiła po angielsku.

Za to Johnson, ich nowy szef, skończył „szkołę premierów", czyli Eton – kształciło się w niej 20 przyszłych szefów brytyjskiego rządu. Zna starożytną grekę i łacinę. Równocześnie ten wychowanek klasycznego, rzec można, systemu edukacji dla klas wyższych jest kosmopolitą: urodził się w Nowym Jorku, a do szkoły chodził – uwaga – w Brukseli. Wśród przodków ma litewskich Żydów – którzy z miasteczka Kalwaria koło Mariampola wyemigrowali do USA – oraz pradziadka Turka, ministra z czasów Imperium Osmańskiego (stąd tureckie media nazywają go czule: „Boris Turek").

Ale sentymenty to jedno, a *Realpolitik* to najwyraźniej coś innego – w kampanii przed referendum brexitowym w 2016 r. Johnson straszył milionami Turków, którzy mieliby zalać Europę po tym, jak ich kraj znalazłby się w Unii.

Śledzie po brytyjsku

Boris Johnson jest – tyle wiadomo na pewno – i niejednoznaczny, i nieprzewidywalny. Jest wielką niewiadomą – podobnie jak brexit, którego jest gorącym orędownikiem.

Na razie Guy Verhofstadt, lider unijnych liberałów, ma dla nowego brytyjskiego premiera przynajmniej jedną dobrą wiadomość: plastikowe opakowanie brytyjskich wędzonych śledzi, które Johnson podczas swojej kampanii prezentował jako widomy przykład biurokratycznej unijnej opresji, w rzeczywistości wynika z przepisów rodzimych, brytyjskich.

A przepisy brytyjskie Johnson może przecież teraz zmienić.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

Boris Johnson szybuje nad parkiem Victoria, Londyn, 1 sierpnia 2012 r.

BARCROFT MEDIA / GETTY IMAGES

Plac Naim w centrum dawnej stolicy Państwa Islamskiego, lipiec 2019 r.

Życie odradza się w Rakce

TEKST I ZDJĘCIA **PAWEŁ PIENIĄŻEK** Z RAKKI (SYRIA)

O to syryjskie miasto toczyły się kiedyś zacięte walki, naloty równały je z ziemią. Dwa lata później mieszkańcy wciąż obawiają się, co przyniesie im przyszłość.

„Kocham Rakkę" – można wyczytać z ustawionych koło siebie liter. Słowo „kocham" jest przedstawione za pomocą serca.

Litery ustawiono na placu An-Naim w samym centrum miasta. *Naim* oznacza „raj", jednak w ostatnich latach bliżej było mu do piekła. To właśnie na tym placu bojownicy Państwa Islamskiego, którzy z Rakki uczynili swoją nieformalną stolicę, dokonywali egzekucji, a ścięte głowy umieszczali na pobliskim ogrodzeniu.

Potem, latem i jesienią 2017 r., miasto zamieniło się w plac boju. Także na plac Naim spadały bomby i pociski, budynki uginały się pod nimi. Wokół placu stopniowo zamierało życie. Pozamykały się sklepy i knajpy z miejscowymi fast foodami. W okolicach placu Naim dżihadyści bronili się niemal do samego końca.

Po zajęciu miasta przez kurdyjsko-arabskie Syryjskie Siły Demokratyczne, wspierane przez międzynarodową koalicję ze Stanami Zjednoczonymi na czele, plac długo wyglądał tak, jakby bitwa zakończyła się wczoraj. Pojawił się tylko posterunek, na którym sprawdzano przejeżdżających przez niego mieszkańców. Naim jednak nie żył swoim dawnym rytmem.

Teraz jest inaczej. W tym roku ukończono remont fontanny znajdującej się pośrodku placu. Zlikwidowano budzące złe wspomnienia ogrodzenie, a samą fontannę rozbudowano. Rondo, na którym się znajduje, wyłożono jasnym kamieniem.

Dziś plac Naim wyróżnia się znacząco od tego, co go otacza. Ma być symbolem, że do miasta znowu wraca życie.

Gdy nadeszła wojna

Rakka, która przed wojną liczyła 200 tys. mieszkańców, znajduje się w północnej Syrii i jest oddalona o niemal 370 km od stołecznego Damaszku. To między innymi w niej działa się historia syryjskiej wojny, w której od 2011 r. zginęło przynajmniej pół miliona ludzi, i która ponad połowę populacji kraju zmusiła do opuszczenia domów.

W marcu 2013 r., dwa lata po rozpoczęciu protestów w Syrii, które z czasem zamieniły się w wojnę, Rakka wpadła w ręce sił antyrządowych. Była to pierwsza stolica prowincji, zajęta przez ugrupowania walczące z prezydentem Baszarem al-Asadem. To nie jedyny rekord tego miasta.

Już niecały rok później wpadła w ręce Państwa Islamskiego. Tym razem Rakka ↦

↦ była pierwszym miastem, nad którym kontrolę przejęło to ugrupowanie. Kilka miesięcy później dżihadyści zajęli także rozległe terytoria w Iraku i Syrii oraz ogłosili powstanie samozwańczego kalifatu, państwa bożego na ziemi.

Na niemal trzy lata Rakka stała się jednym z kluczowych ośrodków kontrolowanych przez Państwo Islamskie. Była też ostatnim dużym miastem, w którym uchowała się organizacja. Walki o Rakkę trwały cztery miesiące. Dżihadyści zamienili je w fortecę – wykopali tunele, przygotowali pozycje i liczne miny-pułapki. Według danych Syryjskiego Obserwatorium Praw Człowieka z siedzibą w Londynie, na skutek walk zginęło co najmniej 3360 ludzi, z czego przynajmniej 1300 to ofiary cywilne.

W ciągu trzech lat z samolotów zrzucono na Rakkę ponad 4,5 tysiąca bomb. To przede wszystkim one sprawiały, że wykonane z niskich jakości surowców budynki obracały się w sterty gruzu. – Największym wyzwaniem, z którym się teraz mierzymy, jest odbudowa. Miasto zostało całkowicie zniszczone – mówi Basem al-Abed, rzecznik prasowy Cywilnej Rady Rakki.

Cywilna Rada to administracja ustanowiona przez Syryjskie Siły Demokratyczne. Została stworzona w 2017 r., na dwa miesiące przed rozpoczęciem ofensywy na miasto. Od 2018 r. rezyduje w rozległym budynku na obrzeżach miasta.

Poza ścisłym centrum niewiele się zmieniło od zakończenia walk o miasto. Rakka, lipiec 2019 r.

Kosztowna odbudowa

Według szacunków administracji, 80-90 proc. miasta było zniszczone lub uszkodzone, w szczególności infrastruktura, a „setki milionów" dolarów są potrzebne, by przywrócić je do stanu, w jakim znajdowało się przed wojną.

Wokół fontanny trochę się zmieniło w ciągu niemal dwóch lat. Otworzyło się kilka sklepów na placu, z mniejszym rozmachem funkcjonuje legendarna lodziarnia, która w Rakce była od przysłowiowego zawsze. Jeden ze zniszczonych budynków, którego piętra jakby poskładały się na sobie, został niemal doszczętnie rozebrany.

Miasto jednak wciąż usłane jest ruinami. Tylko ulice zostały odgruzowane i stały się przejezdne. Wiele budynków nie nadaje się do zamieszkania. Ich mieszkańcy żyją u bliskich lub w obozach dla uchodźców wewnętrznych. – Nie jesteśmy w stanie zrekompensować ubogim ludziom domów, które zostały zniszczone w całości lub częściowo – twierdzi Abed.

Lokalne władze zapewniają, że na razie ich priorytetem jest przywrócenie usług komunalnych, służby zdrowia i edukacji. Jeszcze w 2018 r. niemal w całym mieście popłynęła woda w kranach. Działa też sieć telefoniczna i internet. Odbudowano most nad Eufratem, a także kilka symbolicznych miejsc – jak plac Naim.

Odbudowę spowalniają przede wszystkim ograniczone fundusze. Według danych Cywilnej Rady Rakki, tylko na naprawę sieci elektrycznych potrzeba ok. 10 mln dolarów. Wciąż większość miasta jest pozbawiona prądu. Mieszkańcy korzystają z agregatów prądotwórczych na mazut. Dzięki nim są w stanie mieć prąd od czasu do czasu – do codziennego życia lub pracy – bo mało kto jest w stanie pozwolić sobie na to, aby urządzenie pracowało całą dobę.

W poszukiwaniu spokoju

– Co zarobimy w ciągu dnia, wydajemy na agregaty – narzeka Abdul Hadż Halaf.

To nie jest jego prawdziwe imię. Jak wielu mieszkańców, nie chce ujawniać swojej tożsamości. Tłumaczy, że ludzie tutaj przeżyli już tyle dramatów, że wolą unikać potencjalnych problemów.

Hadż Halaf ma 35 lat, a przynajmniej tak mówi. Gdy się spotkaliśmy, szedł za rękę z kilkuletnim synem po centrum miasta.

Nie tylko administracja nie ma bowiem pieniędzy. W mieście trudno jest o pracę. Kto ma choć trochę większe fundusze, otwiera własny sklep, skromną knajpę, cukiernię lub świadczy proste usługi. Reszta łapie fuchy, jakie się nadarzą. Zazwyczaj można takie znaleźć w budowlance, gdzie praca jest zlecana z dnia na dzień. W takim trybie trudno planować przyszłość.

Muhammed Ali ma 28 lat. Od wybuchu wojny musiał przeprowadzać się przynajmniej siedem razy, przez chwilę pracował w Turcji. Mówi, że za każdym razem chciał tylko pokoju i pewności jutra. I za każdym razem doganiała go wojna (z wyjątkiem pobytu w Turcji, z której jednak wrócił, bo tęsknił za domem).

– Gdzieś przyjeżdżałem, a po jakimś czasie wybuchały tam bomby, więc szukałem kolejnego miejsca – mówi Ali.

Opowiada, że miał problemy z reżimem Asada, bo brał udział w protestach antyrządowych w 2011 r. Wówczas rzesze Syryjczyków wychodziły na ulice swoich miast w całym kraju. Wtedy, na początku, był to czas optymizmu, na fali Arabskiej Wiosny, która przetaczała się przez Bliski Wschód i Afrykę Północną. Ali twierdzi, że chciał wyłącznie swobody, i że nigdy nie walczył z bronią w ręku.

– Domagaliśmy się wolności nie po to, aby sięgnąć po broń i walczyć przeciwko naszym kuzynom, wujkom, braciom i ojcom – mówi. – Rozwiązanie polityczne powinno zadowolić wszystkich.

Niewidzialny sufit

Ali jest wygadany. Opowiada, że studiował turystykę w rodzinnym Homs, mieście w środkowej Syrii, gdzie antyrządowa rebelia była wyjątkowo silna. A potem musiał porzucić naukę. Bał się, że trafi do więzienia za udział w protestach.

Teraz mieszka w Rakce, która najgorsze wydaje się mieć za sobą. Ali jednak nie może znaleźć pracy. Zatrudnia się jako robotnik najemny. Mówi, że nie udaje mu się pracować codziennie i nie wystarcza mu to na samodzielne życie. Uważa, że przegrywa w przedbiegach o lepsze pozycje, bo jest z innego miasta, nie ma tu bliskich ani przyjaciół, którzy pomogliby przebić niewidzialny sufit koneksji.

– Jeśli chcesz się gdzieś zatrudnić, masz dyplomy, ale nie znasz nikogo, to nie znajdziesz normalnej pracy – mówi Ali. – Kierownik najpierw zatrudni każdego ze swojego klanu czy rodziny.

Alego spotykam w zakładzie fryzjerskim. Oprócz niego i fryzjera jest jeszcze pięciu mężczyzn w podobnym wieku. Fryzjer nie chce podać swojego imienia. Prosi, by nazywać go Ahmedem. Twierdzi, że mieszkańcy Rakki weszli w nowy etap, który nastąpił wraz z odbiciem miasta z rąk Państwa Islamskiego. To czas odbudowy i zaspokojenia społecznych potrzeb, takich jak właśnie znalezienie pracy.

Ahmed pokazuje na siedzących mężczyzn, którzy raczej nie przyszli, aby się ostrzyc, lecz po prostu posiedzieć. Uważa, że to niedopuszczalne, by o godzinie piętnastej zbijali bąki.

– Siedzi tu sześciu gości, chcą pracy, ale nie mogą jej znaleźć – komentuje. – Minęły dwa lata od wyzwolenia, a ludzie wciąż nie mają swoich domów, sklepów, pieniędzy ani żadnych możliwości.

Motory na czarnej liście

Ali dodaje, że do marnego wynagrodzenia i niepewności jutra dochodzi jeszcze kwestia braku poczucia bezpieczeństwa. To wszystko powoduje, że trudno mu wybiegać myślami w przyszłość. Liczy się to, co tu i teraz.

– Codziennie, gdy pracujesz na zewnątrz, nie wiesz, czy przeżyjesz – mówi Ali.

Ma na myśli zamachy samobójcze i wybuchy bomb-pułapek, które ciągle zdarzają się w Rakce. Chociaż ostatnio z mniejszą częstotliwością. Jedną z przyczyn poprawy bezpieczeństwa była kontrowersyjna decyzja, zakazująca poruszania się po mieście na motocyklach. W Rakce zawsze było ich pełno. To tani środek transportu, na który – w przeciwieństwie do samochodu – może pozwolić sobie niemal każdy. Dlatego ta decyzja uderza w najmniej zamożnych.

– Tym zakazem bardzo utrudnili nam życie – potwierdza Hadż Halaf.

W Cywilnej Radzie Rakki bronią jednak swojej decyzji. Basem wyjaśnia, że większość bomb-pułapek, które wybuchały w ostatnich miesiącach, była zamontowana na motocyklach. Zamachowcy wysadzali się przy posterunkach i bazach wojskowych.

W Rakce i okolicach dochodzi też do skrytobójstw. Ich ofiarami padają przedstawiciele lokalnych władz, klanów i milicji, należących do Syryjskich Sił Demokratycznych.

W większości przypadków podejrzenia padają na Państwo Islamskie, którego komórki, jak słyszymy, wciąż operują w mieście.

Nie wiadomo jednak, jak silne pozostały siatki dżihadystów i jakie stanowią zagrożenie dla sił stacjonujących w Rakce i mieszkańców. Dla Basema z Cywilnej Rady Rakki ich cel jest jasny: siać chaos. Brak poczucia bezpieczeństwa to sposób, aby mieszkańcy stracili zaufanie do miejscowych władz.

Cofnąć czas

Dżihadystom wciąż udaje się siać strach. Wielu napotkanych ludzi w ogóle nie chciało rozmawiać. Tłumaczyli tylko, że boją się zamachów, które mogliby na siebie ściągnąć, rozmawiając z dziennikarzem.

Hadż Halaf przyznaje, że bomby nie wybuchają już tak często jak dawniej, ale dodaje: – Cały czas się boimy.

Hadż Halaf, Ahmed i Ali zapewniają, że doceniają zmiany, które zachodzą w Rakce. Natomiast wszyscy trzej wyzbyli się nadziei. To znaczy: nie marzą o przyszłości.

Gdyby to było możliwe, chcieliby przywrócić przeszłość. Hadż Halaf mówi, że prosi Boga, aby znowu mogli żyć jak dawniej.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

TP

ZA TYDZIEŃ W „TYGODNIKU" SPECJALNY DODATEK HISTORYCZNY

Śląsk powstańczy 1919–1921

Sto lat temu, 16 sierpnia 1919 roku, wybuchło pierwsze z trzech śląskich powstań. Tego dnia zaczęła się również wojna polsko-niemiecka: niewypowiedziana, ale realna i krwawa wojna o Górny Śląsk. O tym opowiemy w specjalnym dodatku historycznym:

- RYSZARD KACZMAREK przedstawi ten konflikt: jeden z wielu, które toczyła wtedy odrodzona Rzeczpospolita, a który miał trwać długie dwa lata, aż do rozejmu w lipcu 1921 r. Jak on wyglądał z perspektywy Śląska, a także Warszawy i Berlina oraz Londynu i Paryża?
- ELŻBIETA SZCZEPAŃSKA-LANGE opowie, jak latem 1920 roku warszawscy artyści wyruszyli na Śląsk, by walczyć o serca i umysły. Ich bronią była opera, zwłaszcza utwory Moniuszki. Nie była to wyprawa bezpieczna...
- Czy sto lat temu mogło powstać samodzielne państwo górnośląskie, niezależne od Polski i Niemiec? Na to pytanie – wbrew pozorom wcale nie abstrakcyjne – odpowie ZBIGNIEW ROKITA.
- Mit powstańczy jest na Górnym Śląsku wciąż i na nowo obecny. O tym, jak przetrwał, jak podnosił się i trwał, choć w czasach PRL manipulowały nim ówczesne władze, i jak wygląda dzisiaj, opowie SEBASTIAN ROSENBAUM.

„TYGODNIK" Z DODATKIEM W KIOSKACH OD ŚRODY 7 SIERPNIA

WSPÓŁWYDAWCA: FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY: FUNDACJA WSPÓŁPRACY POLSKO-NIEMIECKIEJ STIFTUNG FÜR DEUTSCH-POLNISCHE ZUSAMMENARBEIT; KONRAD ADENAUER STIFTUNG

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KAZI SALAHUDDIN RAZU / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Rohingowie w obozie Balukhali w Bangladeszu, marzec 2019 r.

Kiedy oni pójdą stąd

ROMAN HUSARSKI Z DHAKI (BANGLADESZ)

Choć nie widać ich w stolicy, są stałym tematem debat, które toczą się i na uczelniach, i przy ulicznych stoiskach z herbatą. Rohingowie – uciekinierzy z Birmy – coraz silniej wpływają na nastroje w Bangladeszu.

Pani premier Sheikh Hasina nie przebierała w słowach, gdy ostrzegała niedawno sąsiednią Birmę, że jeśli ta nie przyjmie wkrótce z powrotem Rohingów, to „stabilność Bangladeszu będzie zagrożona".

W Kutupalong, największym obozie dla uchodźców na świecie, przebywa dziś mniej więcej milion ludzi, którzy uciekli z Birmy z powodu prześladowań. Mimo zaangażowania międzynarodowych organizacji obóz mierzy się z licznymi problemami – od sanitarnych po narkotyki i przemoc. W ostatnich miesiącach policja wielokrotnie zatrzymywała zbiegłych z obozu Rohingów w różnych częściach Bangladeszu. Władze w Dhace są coraz bardziej zaniepokojone.

Odwołana dyskusja

Pewien bengalski profesor marszczy czoło, gdy pytam o przebywających w kraju Rohingów. – To zamknięta sprawa, już niedługo wrócą do domu – wykonuje ruch ręką, jakby zamiatał stół i odwraca wzrok. Zupełnie jakby był jakiś „dom", do którego mogliby wrócić.

Na konferencję poświęconą religiom i kulturze Azji Południowo-Wschodniej zjechało 150 badaczy z 30 krajów. Czekałem na panel poświęcony Rohingom. W świecie toczy się debata na temat ich tożsamości. Miałem nadzieję, że usłyszę coś, co pomoże mi zrozumieć, dlaczego nie mogli oni dołączyć do 135 narodowości zamieszkujących Birmę, widniejących na oficjalnej liście, która pojawiła się na początku lat 90. XX w., za rządów generałów.

Arbitralność tej listy, gdzie za naród uznano także klany, skłoniła niektórych badaczy do szukania wyjaśnienia nawet w numerologii – bliskiej birmańskim generałom. Dziewięć – suma 1, 3 i 5 – jest bowiem uznawana za szczęśliwą liczbę dla birmańskiej armii. O roli, jaką magia odgrywała w polityce Birmy, można by napisać książkę. Jednak to na podstawie tej listy Birma od lat odmawia Rohingom obywatelstwa, nazywając ich „emigrantami z Bangladeszu".

Tymczasem, ku zdziwieniu obecnych, panel zostaje odwołany. Oficjalnie bengalscy wykładowcy, którzy mieli go prowadzić, nie dotarli z powodu problemów z transportem. Korki w Dhace są legendarne, można więc w to uwierzyć – choć w kuluarach dało się słyszeć głosy, że to „zbyt drażliwy temat".

Próbuję rozmawiać z obecnymi na sali, którzy też zostali na lodzie. Nie wszyscy udają – jak ów profesor – że problem jest pod kontrolą. Grupa studentów University of Liberal Arts (gdzie ma

miejsce konferencja) chętnie odpowiada na pytania.

– My po prostu sami nie dajemy rady – opowiada Minati. Ponad 160-milionowy Bangladesz jest jednym z najgęściej zaludnionych krajów świata i jednym z najbiedniejszych w Azji. Wyjątkowo silnie odczuwa zmiany klimatyczne. Powodzie, smog, zanieczyszczona woda, skrajne ubóstwo... A teraz jeszcze milion ludzi, zwykle bez wykształcenia i z traumą.

Minati porusza jeszcze jeden problem: – To idealna szansa dla islamistów. Oni wyszukują taką jednostkę bez wyjścia, której oferują utrzymanie rodziny do końca życia. W zamian żądają najwyższego poświęcenia.

Nie mogę się wybudzić

Pytam, czy ktoś spotkał Rohingów, rozmawiał z nimi. W Dhace ponoć ich nie ma, choć nikt tego do końca nie jest pewny. W obozie kwitnie handel kradzionymi i fałszywymi paszportami. Minati znów jest pierwszy, by udzielić odpowiedzi.

– Jeździłem do ich obozu jako wolontariusz, ale nie wytrzymałem tego, co się tam dzieje. Rząd nie ma nad tym żadnej kontroli. Poruszać się można tylko wzdłuż głównych ulic. Nawet dziennikarze, którzy tam przyjeżdżają, dostają „przygotowany pakiet". Po zmroku dostęp do obozu jest zamknięty i dzieją się tam straszne rzeczy. Słyszałem potworne krzyki. Torturowali kogoś. Gwałcili. Rozumiesz? – patrzy mi w oczy, jakby chciał podkreślić, że mówi prawdę. – Nie mogę przez to spać po nocach. Nie mogę się wybudzić z tego koszmaru.

– Ludzie przyparci do muru i pozbawieni nadziei są zdolni do wszystkiego – włącza się do dyskusji Sonika. Studia już skończyła, teraz uczy na uniwersytecie angielskiego. – Ja też jeździłam rozmawiać z nimi. Ludzie łapali się za głowy. Kobieta i to sama! Ostrzegano mnie przed molestowaniem. Wszyscy, z którymi tam rozmawiałam, byli dla mnie bardzo mili. Jestem pewna, że mają silne poczucie tożsamości. Jak można im to odbierać? Nam w Bangladeszu też próbowano, ale wywalczyliśmy niepodległość. Rozumiem ich cierpienie.

Gdy mowa o Rohingach, nie sposób pominąć faktycznej przywódczyni Birmy. Samo wspomnienie o Aung San Suu Kyi (laureatce Pokojowego Nobla z czasów, gdy Birmą rządzili generałowie) wywołuje wśród studentów furię. – Ufałem jej – mówi ktoś. – Kochaliśmy ją! – ktoś inny klnie po angielsku. – A może ona jest tylko marionetką? – mówi niepewnie Sonika.

Kiedyś porównywano ją z Mahatmą Gandhim. Dziś, jeśli ktoś pisze o niej „Gandhi", to ma na myśli Indirę. Córka Nehru osiągnęła swego czasu w Indiach niemal dyktatorską władzę, bezlitośnie rozprawiała się z opozycją i separatystycznie nastawionymi mniejszościami.

Podobnie jak Birma, również Bangladesz jest krajem wielu grup etnicznych i plemion. Liberalni Bengalczycy i ci należący do mniejszości wierzyli, że Aung San Suu Kyi będzie reprezentować politykę przyjazną wielonarodowemu dziedzictwu. Dziś w oczach Bengalczyków – z których zdecydowana większość (ponad 80 proc. ludności) to muzułmanie – noblistka jest żelazną buddyjską tyranką, która prześladuje birmańskich muzułmanów.

Trudno się dziwić – jej polityka ma dalekie skutki dla życia w Bangladeszu.

Oblężona buddyjska twierdza

Jak los Rohingów wpływa na żyjącą w Bangladeszu mniejszość buddyjską?

Liczne pozostałości po buddyjskich stupach i wiharach (klasztorach) wskazują na niegdysiejsze bogactwo tutejszej kultury. Niegdyś przebiegał tędy ważny kupiecki szlak, łączący Bengal z Arakanem. To tutaj od VIII do XII w. rządził potężny ród Palów i tu korzenie ma buddyzm tantryczny wadżrajana, który rozpowszechnił się później w Tybecie.

Dziś to buddyjskie dziedzictwo jest zdewastowane. Terakotowe zdobienia rozkradziono, a islamscy fundamentaliści pozbawili głów „bałwochwalcze" posągi. Jednak w kraju funkcjonuje jeszcze kilka klasztorów buddyjskich. Postanawiam odwiedzić jeden z nich.

Klasztor Shakyamuni znajduje się w Biharze, pakistańskiej dzielnicy w Dhace. Niejako na obrzeżach tego, co wyznacza dziś bengalską tożsamość. Za pierwszym razem go minąłem. Poza wyblakłym plakatem Buddy na bramie niewiele wskazuje na charakter tego miejsca. Wysoki mur i zielone wrota kryją jednak spore religijne centrum, z ośmiometrowym posągiem Buddy na dziedzińcu, szkołą dla ponad stu uczniów i świątynią.

Na herbatę zaprasza mnich Uppatisso, który zarządza ośrodkiem. Towarzyszy nam grupka zaciekawionych malców. – Większość to dzieci z górskiego regionu Chitagonu. Rodzice chcą, by wychowały się w tradycji buddyjskiej. Część to sieroty – opowiada mnich.

Czy obecna sytuacja odbija się na ich poczuciu bezpieczeństwa? – Ryzyko jest na tyle wysokie, że nie mogę nawet opuścić klasztoru. Zresztą spójrz dookoła – wskazuje na leniwie popijających herbatę przy bramie ochroniarzy – to miejsce jest jak więzienie. Przed każdym naszym świętem dostajemy listowne pogróżki. Słyszałeś o atakach na buddyjskie świątynie i pogromach buddystów w 2012 r.? Nie ma co się dziwić, że mamy tu do czynienia z cichą emigracją. Od 1971 r., gdy Bangladesz uzyskał niepodległość, liczba buddystów w tym kraju spadła o połowę. Kto może, wyjeżdża do indyjskiego Assamu, Manipuru czy Birmy. Tu nie czeka nas nic dobrego.

Jak duchowny widzi politykę Birmy i sytuację Rohingów? Tym razem nad współczuciem przeważa sympatia do własnej grupy, wzmocniona poczuciem zagrożenia: – Pisałem pod pseudonimem o tych rzekomych Rohingach. Oni wykorzystują tę fałszywą tożsamość, by się chronić. Jeszcze do niedawna nie było tam żadnej granicy, więc ci ubodzy Bengalczycy wyjeżdżali w celach ekonomicznych do Birmy. Birma była postrzegana jako ekonomiczne Eldorado, mogłeś o tym nawet usłyszeć w bengalskiej muzyce popularnej.

– Co do Wirathu – uprzedza pytanie o znanego mnicha z Birmy, lidera tamtejszego ruchu antyislamskiego, który kilka lat temu trafił na okładkę tygodnika „Time" z tytułem „Twarz buddyjskiego terroru" – to nie wierz w to, co o nim czytasz. „Time" odstawił szopkę. Wielebny nigdy nie nazwałby się buddyjskim Osamą bin Ladenem. Nie miał czasu na spotkanie z tym dziennikarzem, dlatego ten powymyślał takie chwytliwe głupoty. Komuś zależy, by zdyskredytować nasz buddyzm.

Gdy religie się radykalizują

Aby lepiej zrozumieć problem etniczny w Bangladeszu, umawiam się na spotkanie z Bablu Chakmą – doktorantem, który studiuje w Niemczech, co daje mu swobodę w wyrażaniu myśli.

– Problem z Rohingami jest poważny, a tocząca się wokół nich debata skrajnie polityczna – mówi. Podobnie jak inni ↦

bengalscy badacze, Chakma uważa, że sam sposób opisywania problemu jest kłopotliwy. Zamieszkujących w birmańskim Arakanie buddystów zbiorowo nazywa się Arakańczykami, a przecież często różnią się zwyczajami, strojem, a nawet językiem. Rohingów wyłączono z przywileju bycia Arakańczykami wyłącznie ze względu na kryterium religijne.

Chakma przypomina też o bengalskiej odsłonie konfliktu centrum-peryferie: w latach 1977-97 pograniczem birmańskim wstrząsnął krwawy konflikt, w którym górskie mniejszości domagały się autonomii. Represje trwają do dziś. – Problem Rohingów przyćmił tragedię tego, co się tam stało – uważa.

– W dodatku budowa gigantycznego obozu w Kutupalong sprawiła, że mnóstwo ludzi straciło tam ziemię. Lasy zostały wycięte, postępuje dewastacja środowiska – dodaje.

Chakma wskazuje też na zaskakujący trend: – To, co widzisz w Birmie, nacjonalistyczny buddyzm, to odpowiedź na wzrost fundamentalizmu islamskiego. Mnisi zaczęli naśladować strategie salafitów. Kiedyś w mojej wiosce praktyki buddyjskie spotykały się z animistycznymi. Dziś mnisi prowadzą kampanię „odczarowywania", potępiają stare zwyczaje. Rosną napięcia. Ciągle słyszy się pouczenia „to nie jest prawdziwy buddyzm" albo że „musimy wrócić do oryginalnych nauk Buddy". Coś ci to przypomina?

Wielu Bengalczyków wierzy, że Birma przyjmie Rohingów z powrotem i problem zniknie. Tymczasem na samą wieść o repatriacji w ich obozach wybuchł popłoch, podobno **odnotowano próby samobójcze.**

Państwa coraz bardziej monoreligijne

Rohingowie, choć niewidoczni w Dhace, są stałym tematem miejscowych debat. Toczą się one od uniwersytetów po przydrożne stoiska z okrutnie słodką herbatą i postoje rikszarzy. Towarzyszą im silne emocje. Nie zliczę, ile razy słyszałem pytanie: „Gdzie są bogate muzułmańskie państwa Półwyspu Arabskiego?". Albo: „Dlaczego odpowiedzialność mamy przyjąć my, najubożsi?". Na Europę nikt tu nie liczy, ona jest co najwyżej obiektem cynicznych żartów.

Czasem frustracja przeradza się w gniew i szukanie winnych, którymi stają się miejscowi buddyści. To najgorszy z możliwych scenariuszy, który tylko zaognia konflikty – i sprawia, że państwa tego zakątka Azji stają się coraz bardziej monoreligijne.

Wielu Bengalczyków wierzy, że Birma przyjmie Rohingów z powrotem. Mają nadzieję, że problem zniknie. Tymczasem na samą wieść o repatriacji w obozie ponoć wybuch popłoch i odnotowano próby samobójcze.

Ostatni eksodus Rohingów z Birmy do Bangladeszu nie był zjawiskiem jednostkowym, ale elementem procesu, który trwa od kilku dekad. W tym czasie Rohingowie – poddani w Birmie ciągłym represjom – już kilkakrotnie masowo opuszczali ten kraj.

Nie po to ktoś tyle razy ucieka, aby wracać. © ROMAN HUSARSKI

Birma: pogranicze znowu w ogniu

Wiele wskazuje, że pod płaszczykiem operacji przeciwko separatystom wojsko birmańskie przeprowadziło w ostatnich tygodniach kolejne czystki etniczne na zachodnich rubieżach kraju.

20 CZERWCA birmańscy teleoperatorzy wyłączyli dostęp do mobilnego internetu w dziewięciu okręgach prowincji Czin i Arakan, graniczących z Indiami i Bangladeszem. Norweska spółka Telenor, partner technologiczny obu birmańskich telekomów, podała w komunikacie, że operację przeprowadzono na żądanie władz birmańskich. Rzeczywiście, wkrótce potem U Myo Shwe, urzędnik ministerstwa łączności, potwierdził w rozmowie z serwisem Irrawady, że władze wstrzymały na obszarach przygranicznych dostęp do internetu „w trosce o bezpieczeństwo i interes publiczny". Usługi, jak zaznaczył, zostaną przywrócone, „kiedy sytuacja się uspokoi".

– Niemal każdy tutaj ma kartę birmańskiej sieci MPT, ale kontakt z bliskimi i znajomymi w Birmie jest praktycznie niemożliwy – mówi „Tygodnikowi" Muhammad Ramtullah, Rohinga mieszkający obecnie w obozie Balukhali w Bangladeszu. – Od przemytników wiemy, że dostęp do internetu został wstrzymany na co najmniej 50 dni. Telefonów podobno nie wyłączyli, ale dodzwonić się z Bangladeszu praktycznie się nie da. Handlarze mówią, że po drugiej stronie granicy Tatmadaw [birmańska armia – red.] porozstawiała zagłuszacze sygnału.

Wojsko birmańskie od kilku miesięcy prowadzi w Arakanie i stanie Czin ofensywę przeciw miejscowym separatystom, walczącym o autonomię wobec władz kraju, które dążą do centralizacji państwa i zmuszają mniejszości z obszarów peryferyjnych do asymilacji z dominującą w społeczeństwie grupą buddyjskich Bamarów. Tymczasem wśród Czinów przeważają wyznawcy kultów animistycznych (część z nich w okresie kolonialnym nawrócili na chrześcijaństwo protestanccy duchowni). W Arakanie dominującym wyznaniem jest wprawdzie buddyzm, ale ten region ma z kolei wielosetletnią tradycję państwowości.

W walce z separatystami wojsko birmańskie sięga po coraz ostrzejsze środki; niedawno zbombardowało rohińskie wsie, rzekomo wspierające partyzantów. Przed wyłączeniem internetu Rohingowie publikowali w sieci filmy i zdjęcia pokazujące kolejne spalone miejscowości i ofiary zbiorowych egzekucji (choć prawdziwości ani datowania tych nagrań nie da się potwierdzić).

Yanghee Lee – wysoka wysłanniczka ONZ ds. sytuacji w Birmie – jest jednak zdania, że doniesienia ze stanów Czin i Arakan „wysoce uprawdopodabniają" hipotezę o kolejnych czystkach etnicznych w regionie. ©℗ MAREK RABIJ

Współpraca MOSTAFA SHIAFUL

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 31/2019

Powstańcy '44

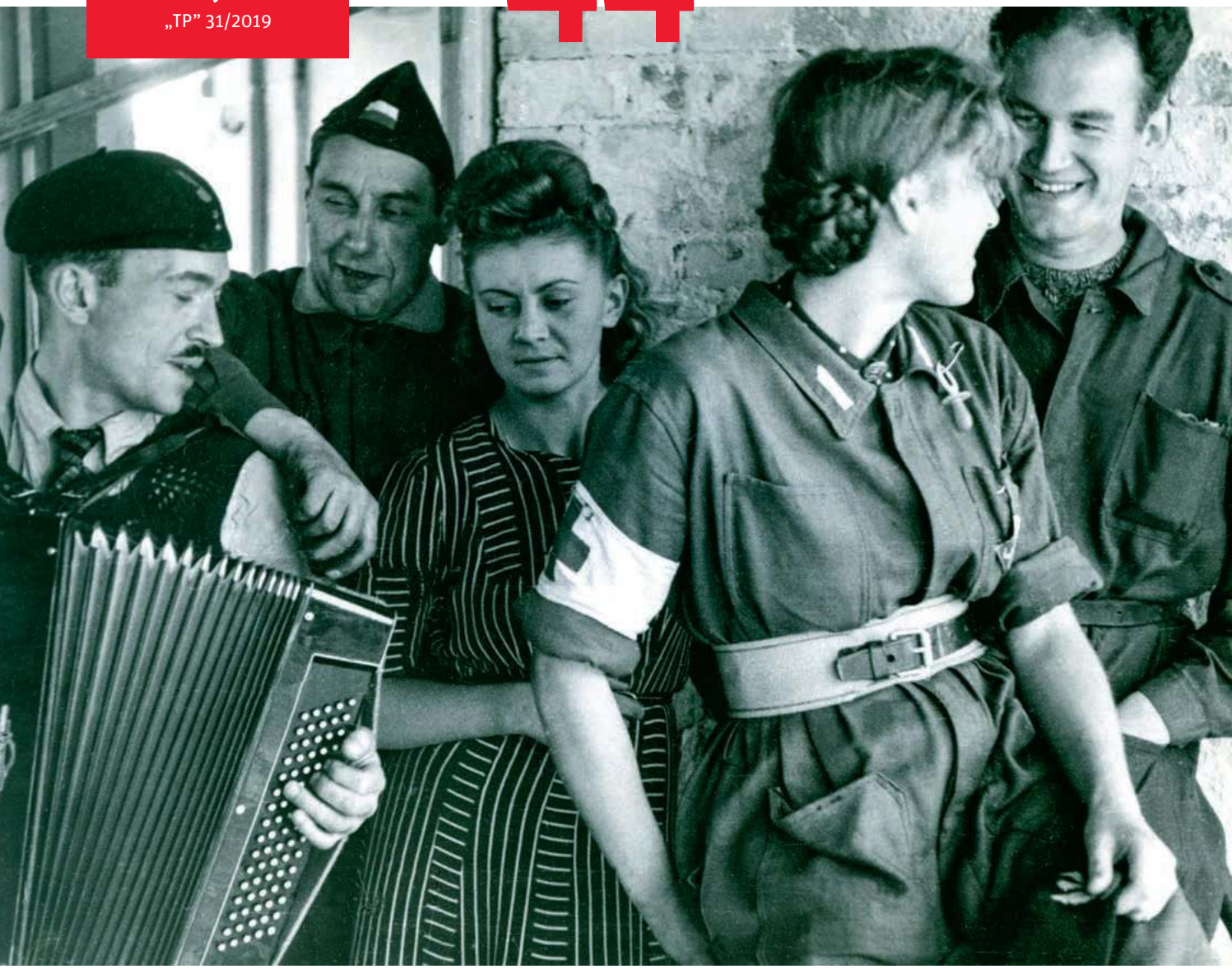

DODATEK POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY Z MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO ORAZ FIRMĄ MASPEX W RAMACH PROJEKTU PARASOL HISTORII

PARASOL HISTORII

WSPOMNIENIE '44

PARTNER PROGRAMU: Muzeum Powstania Warszawskiego

ORGANIZATOR: MASPEX

Niewielu nas zostało

PATRYCJA BUKALSKA

Jak co roku, także tego 1 sierpnia – w 75. rocznicę – warszawscy powstańcy będą w centrum uwagi. Przez resztę roku zmagają się z codziennością, czasem samotnie. To opowieść o nich.

Ci wówczas młodsi, którzy do walki poszli jako nastolatkowie, dobiegają dziś dziewięćdziesiątki. Ilu weźmie udział w obchodach? Wielu być może nie znajdzie siły, aby wyjść z mieszkania.

Dla wszystkich jednak to szczególny czas: gdy wracają wspomnienia, gdy można zobaczyć dawnych kolegów i koleżanki, dowiedzieć się, co u nich słychać. Przez kilka dni można zapomnieć o codziennych problemach oraz o coraz bardziej ciążących latach.

Inaczej stąd nie wyjdę

Pokoje w mieszkaniu są zacienione, nie jest tak gorąco jak na zewnątrz. Oddech dają też jaśminy i rododendrony na podwórzu. Duży przedwojenny budynek otoczony jest przez cztery ulice, w tym ruchliwą Wawelską. Jednak nie odczuwa się zgiełku miasta.

W czasie Powstania był to ostatni punkt oporu na Ochocie, nazywany „Redutą Wawelską"; padł 11 sierpnia.

Halina mieszkała tam z rodzicami i dwiema siostrami. 1 sierpnia wyszła z domu. Dopiero po kilku miesiącach, już w obozie jenieckim, powoli docierały do niej wieści o bliskich: kiedy Reduta padła, ojca zabito, a matka i jedna z sióstr zostały ciężko pobite (o tym, co przeszły, długo nie chciały jej opowiedzieć).

Dziś Halina dalej mieszka w tym samym mieszkaniu na Wawelskiej.

Gdy wchodzę, siedzi z telefonem w ręce, wśród papierów, dokumentów, notesów.

– To możemy zaproponować – mówi do słuchawki. – Dobrze, proszę się zastanowić.

To kolejna „kombatancka" sprawa do załatwienia. Bo Halina Jędrzejewska (wtedy nosiła panieńskie nazwisko Dudzik), pseudonim „Sławka", choć ma 93 lata, niezmiennie zaangażowana jest w sprawy kolegów i koleżanek. Nie tylko z jej Batalionu AK „Miotła", ale z całego powstańczego środowiska. Jest wiceprezesem Związku Powstańców Warszawskich. Ale przede wszystkim jest „Sławką".

– A „Sławka" o tym wie? – usłyszałam niedawno w rozmowie dwóch weteranów, zmagających się ze służbą zdrowia. Bo jak nie wie, to trzeba jej powiedzieć, ona coś załatwi, pomyśli, doradzi. Tak było kilkadziesiąt lat temu, gdy Halina pracowała jako lekarka w jednym z warszawskich szpitali, tak jest i teraz.

W jej historii widać, jak silne są więzi między powstańcami, nawet po latach.

– Kiedyś przyjechałam rano do kliniki i na parkingu zobaczyłam kolegę leżącego w samochodzie. To był Zbyszek Chwaszczewski ps. „Tchórz", razem byliśmy w Powstaniu. Okazało się, że się źle poczuł w drodze do pracy i postanowił przyjechać do mnie po pomoc – opowiada. – Jestem ortopedą, a on miał problemy z sercem, ale pomogłam mu dostać się na kardiologię. „To mój kolega z Powstania, proszę go przyjąć. Inaczej stąd nie wyjdę" – tak mówiłam.

Płakałam dwa razy

„Sławka" także w Powstaniu była gotowa zrobić wszystko dla kolegów i koleżanek.

Batalion „Miotła", wchodzący w skład Zgrupowania „Radosław", przeszedł wyjątkowo ciężką drogę: przez Wolę, Stare Miasto, kanałami do Śródmieścia, potem krótko Czerniaków i jeszcze ul. Książęca (Halina: „Musiał ją utrzymać, by uniemożliwić Niemcom wejście do Śródmieścia").

„Sławka" była sanitariuszką liniową, czyli była z oddziałem cały czas i jak chłopcy szli do ataku, biegła z nimi. Z ciężką torbą sanitarną. – Nie było czasu na myślenie: chłopcy szli, to ja szłam. Chłopcy biegli, to ja biegłam. Chłopcy padali, to ja padałam – zawsze tak samo zbywa pytania o odwagę (dwukrotnie została odznaczona Krzyżem Walecznych).

Kiedyś, podczas walk na Stawkach, ranny w brzuch został kolega z oddziału. „Sławka" ściągnęła go spod ostrzału, ale nie była w stanie zanieść go sama do szpitala. Inni chłopcy też zostali ranni. Poprosiła więc o pomoc cywilów. – Nie chcieli. Teraz myślę, że trudno się dziwić, ale wtedy byłam zszokowana odmową. Wyciągnęłam zza paska pistolet i powiedziałam: „Jeśli go natychmiast nie weźmiecie, to strzelam" – opowiadała mi kiedyś. Ranny trafił do szpitala, ale nie udało się go uratować. – Bardzo płakałam. W czasie Powstania płakałam dwa razy i to był jeden z nich – mówiła. – Tak bardzo chciałam go uratować i nie udało się.

Teraz, 75 lat później, „Sławka" dalej ratuje innych. Ostatnio dwukrotnie złamała nogę, ale mimo to dwa razy w tygodniu jedzie do siedziby Związku na ul. Długiej. – Trzeba przejść w wejściu dwa schodki – mówi. – Niech to licho, te

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 31/2019
REDAKCJA: Wojciech Pięciak, Patrycja Bukalska | PROJ. GRAF. Marek Zalejski | FOTOEDYCJA: Grażyna Makara | TYPOGRAFIA: Marta Bogucka, Artur Strzelecki | KOREKTA: Sylwia Frołow, Grzegorz Bogdał, Maciej Szklarczyk
NA OKŁADCE: przy ul. Malczewskiego na Mokotowie, wrzesień 1944 r. Pierwszy z prawej Jan Markowski (pianista i kompozytor, autor „Marszu Mokotowa"), obok sanitariuszka Janina Zaleska „Małgorzatka" (studentka SGGW), z lewej z akordeonem Wacław Żdżarski. FOT. ARCHIWUM SZCZECIŃSKICH / EAST NEWS

RAFAŁ SIDERSKI DLA „TP"

Do Domu Wsparcia przy ul. Nowolipie weterani mogą przychodzić od poniedziałku do piątku; niektórzy są tu regularnie. 9 lipca 2019 r.

schodki! Trochę trzeba mi pomóc... Ale daję radę.

Czego potrzeba powstańcom? Według Haliny, przede wszystkim codziennej opieki i uwagi. – Niektórzy z nas sami już nie są w stanie wyjść z domu – opowiada. – A chcieliby pójść na spacer. Nie być samemu.

Zwraca uwagę, że oferować pomoc też trzeba umiejętnie, bo w niejednym z kolegów zagra jeszcze duma i będzie próbował pokazać, że radzi sobie sam.

– Postarzeliśmy się. Pamiętam moich kolegów, jak byli tymi młodymi, silnymi, szaleńczo odważnymi chłopami. A teraz są bezradni, skazani na czyjąś pomoc. To takie przykre – mówi.

– Niewielu już z nas zostało. Z moich kolegów został już tylko jeden. Wszyscy umarli – dodaje i głos się jej łamie.

W głowie i sercu

Od kilku lat powstańcy mogą liczyć na coraz większą pomoc ze strony władz Warszawy. Jest to jednorazowe wsparcie finansowe (w tym roku 5 tys. zł), ale także np. możliwość bezpłatnego korzystania z taksówek. W 2018 r. rozpoczął działalność dom dziennego wsparcia, gdzie mogą spędzić dzień i zjeść ciepły posiłek.

Pomagają firmy. Na przykład Maspex w ramach projektu Parasol Historii – Wspomnienie '44 włącza się w akcję „Pomoc dla Powstańców" (wsparcie finansowe, za pośrednictwem Światowego Związku Żołnierzy AK) oraz w akcję Stowarzyszenia „Paczka dla Bohatera" (paczki żywnościowe przed świętami). Nadal działa „Rachunek wdzięczności": akcja PGNiG, w ramach której powstańcy mogą liczyć na wsparcie w wysokości do 900 zł rocznie na rachunki za gaz. Podobnie jak w ubiegłym roku, od 1 sierpnia do 2 października Samodzielny Publiczny Szpital Kliniczny im. Orłowskiego zaprasza powstańców na darmowe konsultacje lekarskie, badania diagnostyczne czy rehabilitację.

O szczegóły chcę zapytać Agnieszkę Pawelec, odpowiadającą za kontakty z weteranami w Muzeum Powstania Warszawskiego. Muzeum uczestniczy w konsultacjach dotyczących projektów dla powstańców, a Agnieszka – pracująca tam od samego początku – zna potrzeby weteranów lepiej niż ktokolwiek inny.

Kiedy przychodzę, ma już jednak gości: Zofię Gordon ps. „Iskra" (w Powstaniu nosiła panieńskie nazwisko Śliwka) i Janusza Walędzika ps. „Czarny". Są ciastka i kawa.

Dostaję swoją w kubku, który Janusz zamówił specjalnie dla Agnieszki. Jest na nim jego zdjęcie – w mundurze, z biało-czerwoną flagą i... w rzadkim modelu subaru leone. Bo Janusz kocha samochody, a ten wyjątkowy podarował mu syn na 50. rocznicę Powstania.

Powstańcy uwielbiają Agnieszkę i teraz wspólnie wymieniają jej zalety: cierpliwość, uśmiech, zrozumienie.

– Ona wie o nas wszystko, ale ma nas nie tylko w głowie, ale przede wszystkim w sercu – mówi Zofia. Opowiada, jak kilka lat temu zmarli jej mąż i córka. – W tym najciemniejszym okresie dzwoniła Agnieszka. Co chwila coś wymyślała. Że trzeba tam pójść, a tam jest spotkanie, a coś jeszcze trzeba zrobić – opowiada. – Najgorsze momenty przetrwałam dzięki niej.

– I zawsze jest uśmiechnięta – dorzuca Janusz.

Agnieszka woli zmienić temat i zamiast o niej, mówimy o zorganizowanych formach pomocy.

Potrzeba więc pomocy w dostępie do opieki zdrowotnej. Ale nie tylko: także w sprawach codziennych. Gdy jakiś czas temu Muzeum zapytało powstańców o ich problemy, okazało się, że jednym z największych jest samodzielne przygotowanie obiadu. Bo trzeba zrobić zakupy, wnieść ciężkie siatki do mieszkania, ugotować, a potem umyć garnki. Dla ludzi w wieku lat 90 i więcej to po prostu ogromny wysiłek.

– Często są ludzie, którzy chcieliby pomóc, np. w odmalowaniu mieszkania, ↦

RAFAŁ SIDERSKI DLA „TP"

ARCHIWUM PRYWATNE HALINY JĘDRZEJEWSKIEJ

Z prawej: jedyne zdjęcie Haliny Dudzik (dziś Jędrzejewskiej) ps. „Sławka" z okresu Powstania; była wtedy sanitariuszką Batalionu AK „Miotła". Z lewej: dziś „Sławka" jest zaangażowana w codzienną pomoc dla koleżanek i kolegów. Tu: w mieszkaniu przy ul. Wawelskiej, 10 lipca 2019 r.

↦ a nie wiedzą, jak dotrzeć do powstańców. Staramy się to koordynować. Ale czasami się spóźniamy i pomoc dociera za późno – ze smutkiem przyznaje Agnieszka. – Dopiero się jednak uczymy pomocy weteranom, a Warszawa jest tu prekursorem.

Chuda, mała, z warkoczem

Zofia i Janusz dołączyli do Powstania jako nastolatkowie. Janusz miał 14 lat („Ale byłem wysoki jak na swój wiek" – zaznacza), Zofia 16 lat. Oboje byli w Śródmieściu: on w Zgrupowaniu „Chrobry II", ona w Batalionie „Ruczaj".

Gdy zaczęły się walki, jak wielu młodych ludzi nie chcieli być bezczynni. Tym bardziej że mieli starsze rodzeństwo w konspiracji.

– Mieszkaliśmy na ul. Pańskiej 45. Kiedy wybuchło Powstanie, szybko pojawili się ranni. Niedaleko, na Mariańskiej, zorganizowano szpital, chciałam pomagać, więc powiedziałam mamie: „Chcę iść walczyć". Tylko mnie pocałowała: „Idź, dziecko" – opowiada Zofia. – Byłam chuda, mała, z warkoczem. Wszędzie mnie było pełno. Byłam jak iskierka, stąd pseudonim. Potem byłam w szpitalu na Mokotowskiej.

– Mnie nazwano „Czarny" – Janusz opowiada o swoich powstańczych początkach. – Miałem starszego o trzy lata brata, który już wcześniej był w konspiracji. Kiedy 1 sierpnia nie wrócił do domu na noc, to wiedziałem, że poszedł do Powstania. Pamiętam ten entuzjazm, szał radości, ludzi na ulicach. Myśleli, że to koniec wojny. Nie wytrzymałem, rozpierała mnie chęć działania, więc pobiegłem do brata – był w okolicy Alei Jerozolimskich i Żelaznej. I tak trafiłem do „Chrobrego II".

75 lat później Zofia i Janusz nadal starają się być aktywni. Spotykają się z młodzieżą, opowiadają.

– Zawsze przyjmuję zaproszenia. To mój obowiązek – mówi Janusz, który prowadzi też izbę pamięci „Chrobrego II" w szkole podstawowej na ul. Miedzianej.

– Proszę przyjść do mnie na Miedzianą – zaprasza. – W szkole wystarczy zapytać o „Dziadka". Wszystkie dzieci mnie znają i pokażą drogę.

Strażnik z Miedzianej

Szkoła podstawowa nr 26 przy ul. Miedzianej mieści się w budynku XIX-wiecznym, ale mocno przebudowanym. Jak wszędzie w tej okolicy, stare podwórka i mury sąsiadują z biurowcami połyskującymi szkłem i metalem. Jeszcze coś zostało z przedwojennego charakteru, ale teraz to jedna z najdynamiczniej zmieniających się części stolicy.

Próg szkoły na Miedzianej Janusz przekroczył po raz pierwszy we wrześniu 1937 r., jako uczeń. Dwa lata później wybuchła wojna i szkoła została zbombardowana. W 1944 r. znów był w szkole, ale w innym charakterze: już jako łącznik w Zgrupowaniu „Chrobry II".

Zgrupowanie to walczyło na jednym z najważniejszych odcinków powstańczego frontu. Osłaniało centrum stolicy przed atakami niemieckimi od strony Al. Jerozolimskich oraz ulic Towarowej i Grzybowskiej. Prasa powstańcza nadała mu zaszczytną nazwę: „twardy front". Oddział utrzymał pozycje do końca Powstania. Szkołę na Miedzianej też obronili.

– Atakowali nas czołgami, ale do szkoły nigdy nie weszli. Podchodzili i odstępowali – wspomina „Czarny". – Mieliśmy mało amunicji, trzeba było oszczędzać. W nocy podpełzaliśmy do zabitych Niemców i zabieraliśmy broń i amunicję.

Szkoła pozostała w polskich rękach, ale było wielu rannych. W dwóch klasach na parterze zorganizowano punkty pomocy medycznej, dopiero stąd ranni trafiali dalej do szpitali. Wielu umierało. – Nie mieliśmy ich gdzie grzebać – mówi Janusz. – Nie mieliśmy trumien, więc ciała zawijaliśmy w koce. Ale gdzie je pochować? Im dłużej trwało Powstanie, tym większy to był problem. Każdy skrawek ogródka był zajęty. A to lato było, ciepło, więc sama pani rozumie...

Razem z ciałami grzebano butelki z informacją – imię, nazwisko – z myślą o przyszłych ekshumacjach. – Niekiedy jednak znaliśmy tylko pseudonim – wzdycha Janusz.

Teraz w jednej z tych sal jest pracownia historyczna, w drugiej świetlica. Akurat nie ma w nich zajęć, jest pusto. Przez okna wpada słońce. Jest tak spokojnie, że trudno wyobrazić sobie, że umierali tu ludzie.

Izba pamięci jest na końcu korytarza. W niej zdjęcia, hełmy, pociski. Gra przed-

ZBIORY PRYWATNE / MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

RAFAŁ SIDERSKI DLA „TP"

Zofia Śliwka (dziś Gordon) ps. „Iskra" miała 16 lat, gdy zgłosiła się do Batalionu AK „Ruczaj". „Powiedziałam mamie: »Chcę iść walczyć«. Tylko mnie pocałowała: »Idź, dziecko«" – wspomina dzisiaj. Na zdjęciu z prawej: w Domu Wsparcia przy ul. Nowolipie, 9 lipca 2019 r.

wojenne radio. Przypomniana jest historia patrona szkoły Mirosława Biernackiego, który dowodził słynną redutą powstańczą na rogu ulic Siennej i Towarowej, tzw. Kurzą Stopką. Choć miał 16 lat, został zapamiętany jako opanowany i odpowiedzialny dowódca drużyny. Może stąd pseudonim „Generał". „Pamiętaj, nie wolno ci się dać zabić!" – mówił swoim żołnierzom przed akcją.

Kapral Biernacki zginął 30 sierpnia 1944 r.

Teraz jego kolega, Janusz, prawie codziennie przychodzi do szkolnej izby pamięci. Mieszka obok, szkoła jest niemal jego drugim domem. Opowiadanie o Powstaniu uważa za swój obowiązek: tłumaczy, że było reakcją na lata terroru, buntem, którego nie można było powstrzymać.

Miał wtedy 14 lat, niewiele młodsi uczniowie grają właśnie w piłkę na szkolnym boisku. Jestem tu w połowie czerwca, za chwilę wakacje. Gorący dzień, na korytarzach już pusto, ale na zewnątrz głośno od śmiechu dzieci.

Janusz żegna mnie na progu szkoły, za chwilę wróci do izby pamięci – jej ostatni strażnik z ulicy Miedzianej. Jeszcze przez chwilę patrzymy na dzieci biegające w słońcu. Nie wiem, o czym myśli. Może o tym, co działo się tu 75 lat temu. A może o tym, że i on kiedyś tak szybko biegał. I że życie jest silniejsze.

Samemu jest smutno

Do Domu Wsparcia na ul. Nowolipie powstańcy przychodzą codziennie od poniedziałku do piątku. Są tacy, którzy bywają regularnie, i tacy, którzy wpadają od czasu do czasu. Przychodzi lekarz, organizowane są koncerty, lekcje obsługi komputera, są wykwalifikowane opiekunki. Jest rehabilitacja i gimnastyka.

Kiedy przychodzę przed południem, kilkanaście osób siedzi już wokół stolików. Piją kawę, czytają gazety, rozmawiają. Ci, którzy będą brali udział w gimnastyce, mierzą ciśnienie.

– Gimnastykę bardzo cenię, ćwiczenia nam służą – mówi Jadwiga Skolimowska (wtedy Gadomska, rocznik 1927, ps. „Jadwiga Czarna"). – Czuję się tu jak pączek w maśle.

Zaznacza jednak: – Warszawa przypomniała sobie, że ma powstańców. Ale mam żal – nawet nie żal, tylko pretensję – że tak późno. Za późno.

Placówka została otwarta jesienią 2018 r.

W fotelach siedzą panowie Kazimierz Abramczuk i Czesław Łukasik. Żartują, przekomarzają się: – Nie idziesz na gimnastykę? To ty leniuszek jesteś!

Można by przypuszczać, że przeszli wspólnie cały powstańczy szlak. – Ależ skąd! Poznaliśmy się tutaj – wyjaśnia Czesław. – Byłem wtedy na Ochocie, a Kazik na Żoliborzu.

– Przychodzę codziennie – opowiada Kazimierz. – Mieszkam sam, a samemu ↦

DZIELNICE '44

HISTORIĘ POWSTANIA można opowiedzieć przez historię warszawskich dzielnic. Teren opanowany początkowo przez powstańców – Stare Miasto, większość Śródmieścia, Powiśla, Mokotowa i Czerniakowa, część Woli i Żoliborza, niewielka część Ochoty i Pragi – kurczył się z tygodnia na tydzień. Z czasem powstańcza Warszawa to samotne walczące wyspy.

PRAGA

Powstanie na Pradze załamało się niemal od razu, ale też od początku nie miało szans powodzenia. Dzielnica ta, dla Niemców będąca logistycznym zapleczem frontu, była pełna ciężkiego sprzętu i świeżych oddziałów, które stąd ruszały do walki. Z kolei powstańcy uzbrojeni byli gorzej niż źle (kilkaset karabinów na 6 tys. ludzi), a postawione im cele (np. zdobycie mostów) były wyjątkowo trudne. Walki na Pradze szybko wygasają, a 4 sierpnia dowódca praskich sił powstańczych ppłk. Antoni Żurowski „Papież" daje rozkaz wstrzymania działań bojowych i powrotu do konspiracji. 10-13 września Praga zostaje zdobyta przez żołnierzy 1. Armii Wojska ↦

MACIEK JAŹWIECKI / AGENCJA GAZETA

ZBIORY PRYWATNE / MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Janusz Walędzik ps. „Czarny" miał 14 lat („Ale byłem wysoki, jak na mój wiek"), gdy zgłosił się do Zgrupowania „Chrobry II". Dziś opiekuje się izbą pamięci w szkole przy ul. Miedzianej, której budynku bronił wraz z kolegami 75 lat temu. Na zdjęciu z lewej: na Powązkach, 30 lipca 2018 r.

↦ żyje się ciężko, smutno i nudno. Tutaj odżywam.

Czesław ma dużą rodzinę, ale do Domu Wsparcia przyciąga go uśmiech pracowników. – Zawsze można też porozmawiać z kolegami i koleżankami. Są tylko dwie zasady: nie rozmawiamy o polityce i Kościele! A na spory mamy szeryfa – śmieje się. – Ja jestem sędzią pokoju.

Szeryfem jest Zbigniew Daab, ps. „Kapiszon".

Do rozmowy dołącza Krystyna Rybicka (wtedy: Mekke). Pseudonim „Lilia", rocznik 1925, wtedy sanitariuszka Wojskowej Służby Kobiet. – Wcześniej prawie przez dwa lata nie wychodziłam z domu. A rehabilitacja tak mi pomogła, że po domu chodzę sama i to nawet bez kuli – chwali pracowników Domu Wsparcia. – Tutaj, choć mieszkam blisko, przywozi mnie przemiły kierowca.

Placówka to nie tylko pracownicy i powstańcy. To także wolontariusze. Jacek Powierza pracował już z wieloma weteranami, dziś przyszedł pierwszy raz z nową podopieczną. – Powstańcy mają wspaniałe umysły, tylko ciała się już poddają. Dlatego potrzebują wsparcia. A ja pomagam, bo chcę, bo mogę. Bo po prostu drugi człowiek potrzebuje pomocy – wyjaśnia.

Szefową Domu Wsparcia jest Aleksandra Płońska. – Dom może maksymalnie gościć 30 weteranów. Zwykle przychodzi około dwudziestu. Jest stała grupa, codziennie przywożona przez kierowcę – opowiada Aleksandra. – Gimnastyka jest bardzo ważna, nieraz widzimy z tygodnia na tydzień, jak niektóre osoby stają się sprawniejsze. Myślę jednak, że poza takimi praktycznymi sprawami jak ćwiczenia czy ciepły posiłek ważne jest, że powstańcy mają miejsce, do którego mogą przyjść i w którym spotka ich tylko dobroć i życzliwość.

Żeby pamiętać

Wiesław Lechowicz ps. „Kotwica" ma 94 lata. Poznaliśmy się kilka lat temu, podczas pracy nad filmem Ewy Ewart „Zdobyć miasto". Wiesław, który przed oraz w czasie Powstania pracował jako rusznikarz na Starym Mieście i w Śródmieściu, opowiadał nam wtedy o produkcji granatów i miotaczy płomieni, o ciężkiej matrycy, którą przenosił kanałami oraz o chłopcach z miotaczami, którzy poganiali go: „Szybciej, szybciej napełniaj!", gdy trwały walki o szpital św. Jana Bożego na Starówce.

W ciągu kilku ostatnich lat Wiesław z powodzeniem przeszedł operację oczu, ale zmaga się z innymi problemami zdrowotnymi.

To dotyka wszystkich powstańców: diagnozy, szpitale, wizyty kontrolne. Nawet w rozmowach w ich własnym gronie to właśnie zdrowie zaczyna wypierać inne tematy. A Powstanie? – Czasem wraca, czasem się o tym myśli. Z dziećmi czasem o tym porozmawiam – mówi Wiesław. – Wolałbym jednak Powstanie namalować. Bo ja mam takie obrazki

↦ Polskiego, wspieranych przez Armię Czerwoną (Niemcy długo stawiają tu twardy opór).

WOLA

Tu początkowo powstańcy odnoszą sukcesy, a mieszkańcy są pełni entuzjazmu. W wolskiej Fabryce Kamlera stacjonuje Komenda Główna AK. Sytuacja zmienia się, gdy zaskoczeni początkowo Niemcy zaczynają kontratak, z użyciem brygady Dirlewangera (złożonej częściowo z kłusowników i żołnierzy skazanych przez sądy wojskowe). Zaczyna się eksterminacja ludności, nazwana „rzezią Woli": w ciągu dwóch dni, 5-7 sierpnia, w trakcie systematycznie prowadzonych egzekucji ginie co najmniej 40 tys. cywilów. Wola to także wydarzenia, które przeszły do legendy: zajęcie obozu koncentracyjnego KL Warschau (pełniącego funkcję obozu pracy i znanego w mieście jako „Gęsiówka" od ul. Gęsiej, obecnie Anielewicza; wyzwolono tu ok. 350 Żydów) czy obrona Pałacyku Michla. Po ciężkich walkach siły powstańcze wycofują się z Woli 11 sierpnia, przez ruiny getta w kierunku Starego Miasta.

OCHOTA

Powstańcy nie mają tu wielu sukcesów i większość oddzia-

z Powstania w głowie. Jeden zwłaszcza pamiętam: szliśmy po nalocie Marszałkowską i zobaczyliśmy dwoje małych dzieci, a obok starszego człowieka, pewnie dziadka, przyciśniętego gruzami budynku. Prosił, żeby go dobić... Nie mogliśmy tego zrobić, ale też nie mogliśmy mu pomóc. Musieliśmy go zostawić i te dzieci też. Zameldowaliśmy o tym w dowództwie. Nie wiem, czy ktoś tam poszedł... Pamiętam to tak wyraźnie...

Za oknem upał, mieszkanie na szczęście jeszcze się nie nagrzało. – Jak jest chłodno, czasem sam wychodzę – zaznacza Wiesław. – A jak nie, to dzieci i sąsiadka mi pomagają.

Rozmawiamy niespiesznie o tym, co dziś, i o tym, co wtedy. – Czy warto było? To historia wyjaśni – stwierdza „Kotwica". – Dziś miasto żyje, ludzie chodzą po ulicach. Jak wówczas, jak 1 sierpnia. Tyle że wtedy więcej młodych ludzi nagle się pojawiło i gdzieś biegało. Mało kto z młodych dziś zdaje sobie sprawę, jaka wtedy była sytuacja, czemu Powstanie wybuchło.

To zawsze było trudne zadanie: wytłumaczyć, opowiedzieć Powstanie. Z czasem staje się chyba coraz trudniejsze. Przypominam sobie wcześniejszą rozmowę z Haliną Jędrzejewską, która podkreślała, że teraz najważniejsze, żeby ludzie zapamiętali, że było Powstanie. I dlaczego było. – To był ogromny wysiłek mnóstwa ludzi. Nie wolno tego zapomnieć – prosiła. – To ważne, żeby młodzi ludzie wiedzieli, jaki był nasz stosunek do kraju. Teraz to wydaje się dziwne, wiem, ale my mieliśmy jedną myśl: co mamy zrobić dla kraju, jak pokonać Niemców. I wierzyliśmy – tak długo wierzyliśmy! – że się uda. Nie wiem, jak to tłumaczyć.

Może wystarczy pamiętać.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

Do zobaczenia po wojnie

WACŁAW GLUTH-NOWOWIEJSKI, ŻOŁNIERZ AK:

Przez pięć lat okupacji moje pokolenie musiało przyzwyczaić się do śmierci. Ona była nie tylko w siedzibie gestapo, była wszędzie.

PATRYCJA BUKALSKA: Właśnie skończył Pan 93 lata i jest Pan, jak słyszę, bardzo zajęty. Niedawno ukazało się kolejne wydanie Pana książki o „warszawskich Robinsonach": ludziach, którzy wbrew nakazowi okupanta zostali w mieście po kapitulacji Powstania. Ukrywali się w ekstremalnie trudnych warunkach, w ciągłym zagrożeniu. Niektórzy przetrwali aż do stycznia 1945 r. Pan też był „Robinsonem".

WACŁAW GLUTH-NOWOWIEJSKI: No właśnie. I z własnego doświadczenia wiedziałem, że Warszawa nigdy nie była martwym miastem. Toteż nie mogłem pogodzić się z panującą opinią, że „Rzeczpospolita Gruzów" – jak sam nazwałem popowstańczą stolicę – pozbawiona była mieszkańców.

Pracowałem wtedy – były to lata 70. – jako reporter w „Kurierze Polskim". Przekonałem kolegów i zaproponowałem podjęcie akcji „Pierwsi w mieście". I tak gazeta wystąpiła z apelem do warszawiaków, by zgłaszali się do redakcji ci, którzy przetrwali w 1944 r. w gruzach Warszawy.

Jaka była reakcja na ten apel?

Najpierw była cisza, a potem zaczęli przychodzić. Nie przysyłali spisanych historii, przychodzili do redakcji osobiście. Rozmawiałem z nimi, słuchałem ich, jakże często w osłupieniu. Zebrałem bardzo duży materiał, a wybrane historie zaczęliśmy drukować. Można już było wtedy śmielej pisać o Powstaniu.

Stąd już chyba niedaleka droga do książki?

Ostatecznie relacji zgromadziłem więcej, niż mogliśmy opublikować w gazecie. Akurat wtedy Krajowa Agencja Wydawnicza wprowadziła nową serię „Zdarzenia, sensacje, zagadki". Poproszono mnie o napisanie książki o „Robinsonach", czyli bohaterach naszej akcji. Był tylko warunek: miałem na to miesiąc! Istne szaleństwo! Ale naczelny dał mi wolne, życzliwi znajomi przytulili w swoim domu w Zakopanem. Siedziałem więc w pokoiku z widokiem na Giewont i pisałem! Książka ukazała się w 1975 r. w nakładzie 50 tys. Drugie wydanie – w 1982 r. – miało nakład 60 tys.

Do dziś mam teczki z relacjami. Wróciłem do nich niedawno, przygotowując najnowsze wydanie. Jeszcze raz wszystko przeczytałem: to, co było drukowane, i pozostałe materiały. Nowa wersja jest poprawiona, uzupełniona.

Dziś są nowi czytelnicy.

Nowe pokolenie! Gdy wydawnictwo Marginesy zaproponowało mi przygotowanie trzeciego wydania, zgodziłem się. Wiedziałem, że to też trzeba zrobić szybko, że w moim wieku nie zna się dnia ani godziny. Z perspektywy czasu ↦

łów opuszcza dzielnicę już po pierwszym dniu. Zaciekły opór stawiają dwa punkty: tzw. Reduta Kaliska i Reduta Wawelska. Obrońcy opuszczają je 9 i 11 sierpnia (z Reduty Wawelskiej kanałami, po raz pierwszy użytymi do ewakuacji). Jednocześnie na Ochocie swoją tragedię przeżywa ludność cywilna, zganiana na targ warzywny (tzw. Zieleniak) przez żołnierzy z brygady RONA (Rosyjska Wyzwoleńcza Armia Ludowa: częściowo byli to żołnierze Armii Czerwonej, wzięci do niewoli przez Niemców i zwerbowani do walki po ich stronie). Podobnie jak na Woli, dochodzi tu do mordów i zbiorowych gwałtów na kobietach. Ochota upada 11 sierpnia.

STARE MIASTO

W pierwszych dniach Powstania całe Stare Miasto jest w polskich rękach, powstańcy zdobywają np. Polską Wytwórnię Papierów Wartościowych, która będzie ich bastionem. Jednak pod koniec sierpnia dzielnica – stale bombardowana oraz ostrzeliwana przez artylerię (w tym ciężkie wyrzutnie rakietowe, zwane „szafami" lub „krowami") – zamienia się w ruiny. 30 sierpnia pod bombami w kościele sióstr ↦

↦ muszę jednak powiedzieć, że powrót do tej książki jakby odnowił mój organizm – nie tylko głowę! Po tej ciężkiej pracy czuję się młodszy, silniejszy.

Musiał Pan wrócić także do swoich traumatycznych wspomnień. We wrześniu został Pan ciężko ranny na Marymoncie. Odcięty od powstańczych oddziałów, przetrwał Pan sześć tygodni, ukrywając się przed Niemcami w piwnicy. Gdy szedł Pan do Powstania, było lato, a kiedy Pana odnaleziono, gruzy pokrywał pierwszy śnieg.

Powrót do tych przeżyć był trudny. Nie przypuszczałem nawet, że aż tak trudny. Na szczęście mogłem liczyć na wsparcie żony Anny, która zajmowała się też redakcją tekstu. Opowiadanie „Jesień na Marymoncie" to właśnie zapis mojej historii.

Gdyby wtedy Niemcy Pana znaleźli, zapewne zostałby Pan rozstrzelany. Zaglądali nawet do Pana kryjówki, ale widząc Pana pokrytego zaschłą krwią i ropą, brali Pana za trupa. To było balansowanie na granicy życia i śmierci?

Tak było, dokładnie tak. Cały ten czas na Marymoncie przetrwałem w jakimś dziwnym stanie świadomości, półprzytomny. Kiedy znalazła mnie pewna kobieta, w pierwszej chwili uciekła. Wtedy oprzytomniałem. Pamiętam, jak krzyknęła i uciekła, a ja poczułem się fatalnie – oto pojawiła się szansa na ratunek, ale momentalnie zniknęła. Jakbym nawet łkał... Na szczęście kobieta wróciła po mnie.

Musiałem umieścić w książce tę historię. Nie ze względu na siebie, ale na moich kolegów, którzy tam zginęli, na sanitariuszki, które natychmiast biegły z pomocą, i których nie uchroniła opaska z bandaża z czerwonym krzyżem. Też zostały zamordowane. Dobrze pamiętam, jak jedna z nich z czułością opatrywała moją strzaskaną rękę...

ARCHIWUM RODZINNE / REPR. WICEK SOSNA

Maria Gluth-Nowowiejska i jej czterej synowie. Zdjęcie zrobiono w ogrodzie ich domu przy ul. Balonowej latem 1943 r. Od lewej stoją Jerzy (zwany w domu Alkiem), Zbigniew, mama oraz Janusz; przed nimi kuca Wacek. Rok później trzech braci już nie żyło.

Pełniliśmy funkcję rozpoznawczą. Marymont to była trochę ziemia niczyja. Tamtej nocy mieliśmy zorientować się w ruchach oddziałów niemieckich. Nad ranem zauważyli nas. Uderzyli seriami pocisków artyleryjskich. Dwóch chłopców zginęło od razu. Pozostali, wśród nich i ja, zostaliśmy ranni. Byłem dowódcą tej grupy. Jeden z pocisków rozerwał się tuż przy mnie. Ciężka rana, krew i słabo, słabo. Ale trzeba ratować chłopców. Skok do pobliskiego budynku z cegieł w stanie surowym. I rozkaz do lekko rannego Wojtka: „Pędź po pomoc do plutonu". Przybiegli błyskawicznie. Z trzema sanitariuszkami. Natychmiast przystąpiły do pracy, by czym prędzej wycofać się do naszych. Ale było na to za późno. Nasz „bunkier" otoczony już ze wszystkich stron. Samochody pancerne, czołgi, karabiny maszynowe. Kanonada za kanonadą. Wiązki granatów wybuchają w piwnicy. Moi dzielni chłopcy próbują walczyć. Niestety prawie wszyscy giną. To niekończący się ból...

To był Pana ostatni dzień walki w Powstaniu. A jak zapamiętał Pan dzień pierwszy?

Byłem dowódcą drużyny w plutonie AK na Żoliborzu. Tuż przed wybuchem

DZIELNICE '44

↦ sakramentek, gdzie mieści się szpital i gdzie schronienia szukają cywile, w jednej chwili ginie tysiąc ludzi. W gęstej zabudowie powstańcy bronią się zaciekle, ale po tym, jak nie udaje się próba przebicia połączenia ze Śródmieściem, zapada decyzja o opuszczeniu dzielnicy. Kilka tysięcy powstańców przechodzi kanałami do Śródmieścia i na Żoliborz. Zostają ranni i 40 tys. cywilów. Wielu zostanie zamordowanych.

POWIŚLE

1 sierpnia wieczorem powstańcy zdobywają część terenu elektrowni miejskiej na Powiślu. Ma to ogromne znaczenie – dzięki prądowi mogą funkcjonować szpitale, drukarnie, pracują radiostacje, produkowana jest broń. Tak jest przez cały miesiąc, aż 4 września elektrownia zostaje zbombardowana. Dwa dni później powstańcy tracą całe Powiśle.

CZERNIAKÓW

Gdy wycieńczeni powstańcy ze Starego Miasta przechodzą kanałami do Śródmieścia, z ulgą przyjmują rozkaz kierujący ich oddziały na Czerniaków – wydaje się, że jest to spokojna dzielnica, z ogródkami pełnymi warzyw (gdy w mieście panuje

ARCHIWUM PRYWATNE WACŁAWA GLUTH-NOWOWIEJSKIEGO

Wacław Gluth-Nowowiejski dzisiaj.

Powstania udało mi się zdać maturę i zrobić podchorążówkę. W ostatnich dniach lipca ogłoszono tajną mobilizację, ale potem kazano nam rozejść się do domów. Aż 1 sierpnia zaczęło się: Godzina W! Stawiłem się na Żoliborzu w punkcie zbiórki, ale poza mną z drużyny dotarły tylko trzy osoby. Kilka godzin czekaliśmy w niepewności. Nagle w pobliżu rozgorzała walka, głośna strzelanina. A my ciągle nie mieliśmy broni. Co z tego, że byłem dowódcą? Nie mogłem nic zrobić.

Po jakimś czasie przybiegł chłopak z informacją, że nasz magazyn wpadł. Uzbieraliśmy tylko kilka sztuk broni. Było nas już wtedy dwunastu. Na rozkaz „Wychodzimy" poszliśmy z dwoma karabinami, pistoletem maszynowym i kilkunastoma granatami. Po prostu katastrofa...

Dokąd?

Z bazy na Dolnym Żoliborzu przeszliśmy ostrożnie na Marymont. Na początku panował kompletny chaos. Dookoła strzelanina, a rozkazy wydawali nam jacyś oficerowie, których nigdy wcześniej nie widzieliśmy. Sporo obiektów niemieckich zaplanowano „do zdobycia", nie udało się zdobyć żadnego. Przewaga sił niemieckich uniemożliwiała jakiekolwiek starcia. My nie mieliśmy broni.

Mijały godziny. W końcu przyszedł rozkaz dowódcy obwodu ppłk. „Żywiciela": „Zbieramy się o ósmej wieczorem na ulicy Mickiewicza". Dotarliśmy tam, by posłyszeć, że mamy wyjść z miasta do Puszczy Kampinoskiej! Totalne zaskoczenie, żołnierze protestowali. Ale nocą wyruszyliśmy. Zatrzymaliśmy się we wsi Wiersze. Całą noc lało, byliśmy śmiertelnie zmęczeni, mokrzy, zniechęceni. Nastroje minorowe. I dowiadujemy się, że rano wracamy na Żoliborz! To był straszny dzień.

Co było potem?

Udało nam się bezpiecznie wrócić. Nasi witali nas entuzjastycznie, tym bardziej że z Kampinosu przynieśliśmy sporo broni. Nareszcie coś mieliśmy!

Po tym trudnym początku powstańcom udało się utrzymać Żoliborz niemal do końca, do 30 września. Jak pamięta Pan tych kilka tygodni walk?

Jednym z największych, jeśli nie największym przeżyciem, były dwukrotne ataki na Dworzec Gdański. To był pomysł dowódcy Grupy Północ, który uznał, że tylko w ten sposób można uratować Starówkę.

Wyjaśnijmy, że w drugiej połowie sierpnia Stare Miasto było nieustannie atakowane przez Niemców, bombardowane, pod ostrzałem artyleryjskim. Warunki tragiczne, brakowało jedzenia i amunicji, a jedyne połączenie z resztą miasta prowadziło przez kanały do Śródmieścia i Żoliborza. Przebicie drogi przez Dworzec Gdański miało ułatwić wsparcie sił na Starówce przez oddziały żoliborskie.

Starówka już ledwo się trzymała. Mieliśmy przebić się z Żoliborza na Stare Miasto, a oddziały ze Starówki miały w tym samym czasie uderzyć ze swojej strony. Wyznaczono datę ataku na noc z 20 na 21 sierpnia. Do torów było jakieś 300 metrów ↦

---

już głód). Ale od 11 września to Czerniaków staje się celem ataków: Niemcy chcą odciąć powstańców od Wisły, aby uniemożliwić ewentualny desant wojsk sowieckich. Powstańcy, liczący na pomoc zza rzeki, za wszelką cenę chcą utrzymać tę dzielnicę. Desant następuje w połowie września, ale walczący samotnie żołnierze 1. Armii Wojska Polskiego pod dowództwem gen. Zygmunta Berlinga nie są w stanie pomóc powstańcom. Na koniec walki toczą się o poszczególne piętra kamienic. Potworny jest brak wody pitnej. 23 września Niemcy opanowują dzielnicę.

MOKOTÓW

Choć nie udaje się tu przejąć wielu ważnych niemieckich pozycji, to powstańcy opanowują sporą część dzielnicy. Noszą charakterystyczne szare kombinezony robocze z zajętych magazynów (tak jak z kolei żołnierzy Zgrupowania „Radosław" na Woli i Starym Mieście można było rozpoznać po panterkach, ze zdobytych magazynów na ul. Stawki). Zdecydowany niemiecki atak na Mokotów zaczyna się w drugiej połowie września. 26 września oddziały powstańcze i część cywilów próbują ewakuować się kanałami do Śródmieścia. Udaje się ↦

ARCHIWUM PRYWATNE WACŁAWA GLUTH-NOWOWIEJSKIEGO

Wacław Gluth-Nowowiejski pokazuje okno piwnicy, w której się ukrywał. Koniec lat 70. XX w.

↦ pustej przestrzeni, którą trzeba było przebiec. Mieliśmy iść w drugim rzucie. W pierwszym, od naszej prawej strony, szły oddziały wileńskie [żołnierze Okręgu AK Wilno, którym udało się uniknąć sowieckiej niewoli i przeszli aż do Kampinosu – red.]. To byli wspaniali chłopcy.

Wreszcie przyszedł rozkaz: „Uderzać". Ruszyliśmy pomalutku. Nagle pada: „Wycofujcie się!". Okazało się, że Niemcy nie tylko obsadzili cały teren, ale jeszcze puścili pociąg pancerny. Wycofaliśmy się. Ale pierwsze oddziały już uderzyły. Widziałem tych wilniuków, jak biegli. Mieli dobrą strategię: jedna grupa biegła, druga osłaniała ich z karabinów maszynowych. Potem zamieniali się rolami. Udało im się nawet wysadzić niemiecki bunkier. Ponieśli jednak ogromne straty.

Po ataku byliśmy bardzo przygnębieni. A tu dowiadujemy się, że kolejnej nocy będzie powtórka...

Natarcie powtórzono nocą z 21 na 22 sierpnia.

Tym razem uderzył nasz oddział. Niemcy byli oczywiście przygotowani. Mieli artylerię, karabiny maszynowe siekły bez przerwy. I proszę sobie wyobrazić: 300 metrów! Nawet gdybyśmy biegli jak najszybciej, to byśmy nie dobiegli. Można się było tylko czołgać. Co jakiś czas próbowaliśmy, skuleni, podnieść się. Stale pod ostrzałem.

Leżeliśmy koło siebie z moim przyjacielem Bohdanem [kapral podchorąży Bohdan Broniowski ps. „Bogdan", ur. w 1926 r., żołnierz plutonu 225 w Zgrupowaniu „Żmija", Obwód II „Żywiciel" – red.]. Znaliśmy się od lat, mieszkaliśmy koło siebie, razem trafiliśmy do konspiracji. Nagle zobaczyłem, że Bohdan, jak gdyby nigdy nic, wstaje, idzie... Krzyczę: „Padnij, padnij!". Stanął, odwrócił się. „Zaraz zrobią z nas jatkę, idę do nich" – powiedział. I poszedł. Myślę, że był w szoku. Podniosłem się, popędziłem za nim. Po kilku metrach runąłem na ziemię – taki był ostrzał. Wreszcie dotarł do nas rozkaz: „Wycofać się!".

Spotkał się Pan później z Bohdanem?

Natychmiast obiegłem żoliborskie szpitale powstańcze. Pełno rannych po tych atakach, co chwilę kolejnego przynoszą. A Bohdan... Dostał serię w brzuch. Zginął na miejscu.

W swojej książce tak opisał Pan powstańcze odczucia: „A jakie my dziś mamy dać świadectwo? Nie jesteśmy nowicjuszami, nieobca nam sztuka walki. Wiemy, że teraz nie mamy szans, że to nie służba, to raczej ofiara ojczyźnie". Tak Pan myśli o tym czasie, np. o Dworcu Gdańskim? Że to była ofiara?

Mam być szczery?

Oczywiście.

To nie spodoba się pewnie niektórym powstańcom, ale atak na Dworzec Gdański nie miał sensu. Nie było możliwości, żeby tymi siłami się przebić. Niemcy mieli przygotowane bunkry, stanowiska artylerii, mogli nas zmieść z powierzchni ziemi. Pierwszego dnia próbowaliśmy, drugiego... Nie wolno nas było tam znowu posyłać. Szliśmy i mijaliśmy trupy kolegów. Nie mieliśmy szans.

Zginęło wtedy kilkuset powstańców. A jak Pan dziś, po 75 latach, ocenia całe Powstanie? To była służba czy ofiara?

I to, i to. Pamiętam, jak pierwszego dnia Powstania zginęło tylu chłopców, bo szli z tymi pistolecikami, granatami. Z brawurą, na wariata. Z jedną myślą: iść i zdobyć. Taka była atmosfera wśród młodych. Ja też tak czułem.

Pana rodzina poniosła wielkie straty. Miał Pan trzech braci, wszyscy zginęli. Dwóch, Zbigniew i Janusz, jeszcze przed Powstaniem: zostali rozstrzelani 14 kwietnia 1944 r. na

↦ nielicznym. Niemcy piętrzą wodę w kanałach, wrzucają granaty, wpuszczają gaz.

ŻOLIBORZ

Tutaj zaczęło się Powstanie – przedwcześnie, bo ok. godziny 13.50 (a nie zgodnie z wyznaczoną „Godziną W", czyli 17.00): do niespodziewanej wymiany ognia dochodzi między grupą powstańców transportujących broń i niemieckim patrolem. Stracony zostaje tym samym element zaskoczenia. Po pierwszych chwilach chaosu – gdy wieczorem 1 sierpnia większość oddziałów żoliborskich wychodzi do Puszczy Kampinoskiej, aby potem zaraz wrócić – udaje się opanować sporą część dzielnicy. Powstaje tzw. Republika Żoliborska, mająca cywilny samorząd. 30 września Żoliborz – odcięty od Śródmieścia i od dwóch dni atakowany ze wszystkich stron przez Niemców – musi skapitulować.

ŚRÓDMIEŚCIE

Aleje Jerozolimskie – kontrolowane przez Niemców na odcinku między Marszałkowską a mostem Poniatowskiego – dzielą Śródmieście na Północ i Południe. Jedyne przejście prowadzi przez zbudowany przez powstańców między Kruczą a Marszał-

Pawiaku. Kolejny, Jerzy – żołnierz 3. Batalionu Pancernego „Golski" – poległ 9 września. Pożegnaliście się wcześniej?

Nawet nie wiedziałem, że brat wyszedł do Powstania. Mama [Maria z domu Kasza, sanitariuszka w AK – red.] nie zatrzymywała nas. Wcześniej, jak byliśmy w konspiracji, zawsze bardzo się niepokoiła. Wybiegała wieczorami przed dom na ulicę, wypatrując synów. 1 sierpnia wiedziała jednak, że jeśli wzywają mnie i Alka – tak mówiliśmy w domu na brata – to musimy iść. I poszliśmy. Po drodze zajrzałem do najbliższego kościoła św. Andrzeja Boboli. A tam był już Alek. Pomodliliśmy się razem, razem wyszliśmy. Cześć, cześć, do zobaczenia po wojnie! Tak powiedział: „Do zobaczenia po wojnie".

Wtedy widział go Pan po raz ostatni. Ale leżąc półprzytomny na Marymoncie, miał Pan wizję, że brat jest obok. Nie mógł Pan wtedy wiedzieć, że on nie żyje.

Istotnie. Alek zginął na początku września na Powiślu. Czasem myślę... Może jednak był tam ze mną, na Marymoncie. Tak bardzo go potrzebowałem.

A mama, która straciła trzech synów?

Nie znam silniejszej osoby niż moja mama. Na pozór delikatna, ale jeśli chodziło o nas, miała w sobie niezwykłą moc. Tym trudniej jej było, że wybuch wojny nastąpił w czasie głębokiej żałoby po przedwcześnie zmarłym mężu – tata umarł w wieku 46 lat. A każdy dzień okupacji był śmiertelnym zagrożeniem. Ale do końca wojny żyła nadzieją, że chłopcy się odnajdą, choćby w obozach koncentracyjnych. Prawda była inna. Cierpienie pozostało.

Gdy usłyszała, że Pan przeżył, przedarła się na Boernerowo, gdzie Pan leżał w szpitalu, choć to była strefa przyfrontowa i dotarcie tam wydawało się niemożliwe.

Matki nic nie powstrzyma!

Pamiętam, jak już po wojnie ubecy przyszli mnie aresztować. Nigdy nie zapomnę jej spojrzenia, gdy mnie wyprowadzali. Potem przez pięć długich lat jeździła do wszystkich kolejnych więzień, w których mnie trzymano. Widziałem, jak coraz bardziej mizerniała...

W 1949 r. skazano Pana na 8 lat więzienia za nielegalne posiadanie broni. Jak Pan to wszystko przetrwał? Wojnę, powojenne więzienie... Pana książka nosi tytuł „Nie umieraj do jutra". O to chodziło? Przetrwać kolejny dzień?

Może, może... Wydaje mi się, że to, co ja czułem, czuło całe moje pokolenie. Nasza trauma zaczęła się we wrześniu 1939 r. Potem pięć lat niemieckiego terroru. I Powstanie. Moje pokolenie musiało przyzwyczaić się do śmierci. Śmierć była stale. Nie tylko w alei Szucha, w siedzibie gestapo, wszędzie.

Jak przetrwałem? Miałem to szczęście, że moi rodzice mieli w sobie dużo dobroci, życzliwości. Ojciec był optymistą. Mimo tego, co przeżył w okopach I wojny światowej [Alojzy Gluth-Nowowiejski był oficerem liniowym 5. Pułku Legionów; otrzymał Order Virtuti Militari i trzykrotnie Krzyż Walecznych – red.]. Ten optymizm jest także we mnie.

Nawet po dramacie okupacji potrafiliśmy założyć z kolegami na uniwersytecie klub „Keep smiling" [ang. uśmiechaj się]. Żeby odreagować wojnę, nacieszyć się życiem. Zdumiewające, że ten zaszyfrowany uśmiech w czasie śledztwa w UB dołożono mi do aktu oskarżenia.

©℗ Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

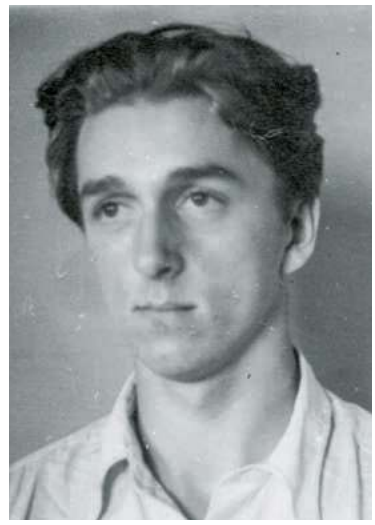

ARCHIWUM PRYWATNE WACŁAWA GLUTH-NOWOWIEJSKIEGO

WACŁAW GLUTH-NOWOWIEJSKI (rocznik 1926, tu na zdjęciu z lipca 1944 r.), syn legionisty i współpracownika marszałka Piłsudskiego, pułkownika Alojzego Gluth-Nowowiejskiego. Do konspiracji wstąpił w 1942 r. W Powstaniu Warszawskim walczył w Zgrupowaniu AK „Żmija" na Żoliborzu. Ranny, ukrywał się na Marymoncie do połowy listopada 1944 r. Po wojnie podjął studia na UW. W 1948 r. aresztowany przez komunistów, skazany na 8 lat więzienia, zwolniony w 1953 r. Pracował jako dziennikarz, wydał kilka książek. W tym roku wydawnictwo Marginesy wznowiło jego książkę „Nie umieraj do jutra".

---

kowską wykop, osłonięty workami z piaskiem. Przejście jest pod ostrzałem, ale udaje się je utrzymać do końca; przebiegają nim łącznicki z rozkazami, przechodzą cywile i harcerze z listami (działa poczta polowa). Warunki życia w Śródmieściu są nieco lepsze niż w innych dzielnicach: powstańcy, którzy docierają tu kanałami ze Starego Miasta, są zdumieni widokiem szyb w oknach i liści na drzewach; w tym czasie na Starym Mieście są już tylko ruiny. Śródmieście jest miejscem wydarzeń symbolicznych i ważnych, jak zajęcie „Prudentialu" (warszawskiego drapacza chmur), czego sygnałem jest wywieszenie na dachu polskiej flagi lub zdobycie gmachu PAST-y (Polskiej Akcyjnej Spółki Telefonicznej). Niemcy planują szturm na tę ostatnią walczącą dzielnicę, ale wcześniej dowództwo AK podejmuje negocjacje. 2 października wchodzi w życie „Układ o zaprzestaniu działań wojennych w Warszawie", będący faktyczną kapitulacją Powstania. Układ obejmuje całe miasto, nie tylko Śródmieście. Powstańcy i cywile opuszczają Warszawę, która w kolejnych tygodniach będzie systematycznie niszczona. ©℗ PB

WŁADCY UMYSŁÓW

Niektóre pasożyty w ewolucyjnym wyścigu zbrojeń z gospodarzem odniosły całkowite zwycięstwo. Potrafią przejąć kontrolę nad jego zachowaniem. A nawet doprowadzić go do samobójczej śmierci.

MARIUSZ GOGÓL

Pasożyty są mistrzami manipulacji. Słowo to pochodzi z języka greckiego (παράσιτος) i oznacza „jedzący przy stole innego". Biologiczna definicja opisuje relację pasożyta z gospodarzem jako korzystną tylko dla tego pierwszego – co sprowadza się do podkradania dóbr drugiego organizmu. Pasożyt może z nich korzystać z zewnątrz albo z przytulnej kryjówki, która znajduje się w środku ciała gospodarza. W obu przypadkach wysysa ze swojej ofiary życiodajne soki, często uszkadzając przy tym tkanki nieszczęśnika. Gospodarz na tym związku może „zyskać" jedynie produkty metabolizmu swojego lokatora, którymi dodatkowo jest zatruwany. Pasożyt zazwyczaj nie doprowadza do śmierci swojego żywiciela, bo jeśli ten zginie, umrze też sam intruz. Czasem jednak skłania się do tak drastycznego posunięcia – gdy chce się rozmnożyć i nie dysponuje bardziej pokojową metodą przekazania genów potomstwu.

Ofiara nitnikowca

Nadrzewek długoskrzydły (*Meconema thalassinum*) to niewielki, jasnozielony pasikonik. Można go spotkać w Polsce m.in. w parkach i ogrodach. Na jednym z łatwych do znalezienia w internecie zdjęć owad jest blady jak trup. Faktycznie, zdjęcie wykonane zostało *post mortem*. Nadrzewka zabił inny organizm, który wychodził akurat z jego odwłoka. Mowa o *Spinochordodes tellinii*. Ten dłuższy i znacznie cieńszy od gospodarza organizm to jeden z gatunków nitnikowca – cienki robak, którego dorosła forma żyje w jeziorach, natomiast postać larwalna rozwija się w pasikonikach.

Przed nitnikowcem stoi nie lada zadanie. Kiedy dorośnie, musi w jakiś sposób dostać się ze środowiska lądowego do środowiska wodnego. Metodę uwolnienia z pasikonika można zobaczyć na wspomnianej fotografii. Robi to przez odwłok, przebijając się przez powłoki ciała swojej ofiary. Ciekawsza jest odpowiedź na pytanie, które dotyczy transportu *Spinochordodes tellinii* do wody. Zakażony pasikonik, pełniący funkcję środka komunikacji, chętnie do niej skacze. Dlaczego?

Ponieważ nitnikowiec zmusza go do samobójstwa.

Historia przeciętnego pasikonika może wyglądać następująco: spragniony wody owad nocą udaje się na brzeg jeziora. Niestety, nieopodal samica nitnikowca zniosła jaja, z których wykluły się larwy. Natura wyposażyła je w odpowiednie narzędzia, dzięki którym mogą wwiercić się w ciało pasikonika. To sztyletowate wyrostki i kolce, które mają na swoim ryjkowatym stożku gębowym.

Larwa traktuje owada nie tylko jako mobilny inkubator, ale także darmową stołówkę. Żywi się jego tkankami, a gdy dorośnie, manipuluje pasikonikiem, aby ten wskoczył do wody. Co ciekawe, zaczyna go kontrolować dopiero wtedy, kiedy znajdzie się on nieopodal brzegu jakiegoś zbiornika wodnego. Wtedy nitnikowiec uruchamia maszynerię biochemiczną, która zaczyna sterować zachowaniem owada. Jedne z produkowanych cząsteczek zaburzają ruchy geotaktyczne (czyli kierowane siłą grawitacji), inne zmuszają komórki owada do śmierci, być może zmieniając sygnały w jego układzie nerwowym. Kolejne regulują wydzielanie neuroprzekaźników, które odpowiadają za przesyłanie sygnałów w komórkach nerwowych.

Jednak według naukowców nie te molekuły są najważniejsze. Pierwsze skrzypce grają białka, które należą do rodziny zwanej Wnt. Pasożyt produkuje dwie cząsteczki z tej grupy. Wyglądają niemal identycznie jak molekuły produkowane przez pasikonika, których zadaniem jest kontrola rozwoju układu nerwowego. Dzięki podobieństwu cząsteczki nitnikowca mogą się pod nie podszyć i nieźle namieszać. Prowadzi to do dziwnego zachowania pasikonika.

Oczywiście próbuje on się bronić przed tą biochemiczną pułapką. Produkuje aż sześć rodzin białek, które również uczestniczą w rozwoju układu nerwowego, tak jakby chciał przeciwdziałać skutkom ataku. Jeśli mu się to nie uda, zainfekowany pasikonik popełnia samobójstwo, skacząc do zbiornika wodnego. Wtedy

KIMIE SHIMABUKURO / GETTY IMAGES

możemy obserwować sytuację, którą znamy z opisywanego zdjęcia. Następnie dorosła postać nitnikowca, która jest dwa-trzy razy dłuższa niż pasikonik, zaczyna poszukiwać partnera do rozrodu. Samica znosi jaja i cykl się powtarza.

Mrówka zombie

Manipulacja zachowaniem nie musi odbywać się wyłącznie poprzez oddziaływanie na układ nerwowy gospodarza. Przenieśmy się do lasów Tajlandii i Brazylii, gdzie żyje grzyb *Ophiocordyceps unilateralis*. Jeśli chcemy go znaleźć, nie skupiajmy wzroku na glebie czy korze drzew. On żyje inaczej – we wnętrzu mrówki. Potrzebuje jej do wzrostu oraz wytwarzania zarodników, które służą do zainfekowania kolejnych ofiar.

To nie jest operacja prosta logistycznie. Gdyby mrówka padła w korytarzach gniazda, truchło od razu zostałoby usunięte przez współtowarzyszy, którzy mają bardzo dobrze rozwinięte zachowania higieniczne. Owad musi zostać poprowadzony na śmierć i zginąć poza mrowiskiem, ale w takim miejscu, żeby zakażenie innych mrówek było dalej możliwe. Jak do tego dochodzi?

Zakażone osobniki chodzą samotnie. Podróżują z gniazda w pobliże nisko rosnących leśnych roślin, na które zaczynają się wspinać. Liście, które wybierają, nie wydają się być przypadkowe. Powinny znajdować się ok. 25 cm nad ziemią, po północno-zachodniej stronie rośliny, gdzie wilgotność wynosi 94-95 proc., a temperatura waha się od 20-30 stopni Celsjusza. Wymagania są dosyć rygorystyczne, ale właśnie w takich warunkach grzyb rozwija się najlepiej. W takim miejscu mrówka wgryza się w żyłkę liścia i kończy swój żywot. Rozrastające się ciało grzyba powoli zajmuje całe wnętrze pancerza, zastępując stopniowo trawione narządy wewnętrzne. Mięśnie aparatu gębowego również ulegają zniszczeniu. W dodatku na skutek różnych zmian biologiczno-biochemicznych ich pozostałości nie są zdolne do wykonywania ruchu. Pozostają zaciśnięte nawet po śmierci – potrzebne są przecież do podtrzymywania ofiary przyczepionej do rośliny.

Grzyb tymczasem umacnia połączenie z liściem, przygotowując się do najważniejszego zadania. Gdy owad już nie żyje, z jego głowy wyrasta łodyżka, na której końcu widnieje kulkowaty twór z zarodnikami. Badania pokazały, że mają one pole rażenia około jednego metra kwadratowego. Sukces inwazji na kolejne mrówki jest bardzo duży, ponieważ grzyb znajduje się bezpośrednio nad traktem, którym maszerują współplemieńcy jego ofiary.

Zgłębiając mechanizm tej manipulacji, naukowcy przeprowadzili badania mikroskopowe mrówki. Zdjęcia mięśnia żuchwy pokazały, że są one poprzerastane przez strzępki grzyba. Podobnej relacji z tkanką gospodarza nie zanotowano w głowie ofiary. Ciało intruza lokowało się na jej obrzeżach, nie wrastając w układ nerwowy. Ponadto podczas badań odkryto, że grzyb w kontakcie z mięśniami produkuje inne metabolity niż w kontakcie z komórkami mózgu. Według naukowców może to być sygnał, że *O. unilateralis* steruje mrówką, oddziałując bezpośrednio na mięśnie. Staje się jak lalkarz, który pociąga za sznurki marionetki.

Ta ścisła zależność między oboma organizmami trwa już bardzo długo. Jej ślady można zobaczyć nawet w skamieniałościach. Zauważono je na liściu, który znaleziono w Messel w Niemczech. Początkowo ślady były interpretowane jako pozostałości posiłku mrówek, ale specjaliści oddalili te przypuszczenia. Żyłki mają małą wartość odżywczą, a czasem mogą nawet być dla mrówek trujące. Ostatecznie w śladach na liściach dopatrzono się działania mrówki zombie. Kształt symetrycznie rozłożonych po obu stronach ↦

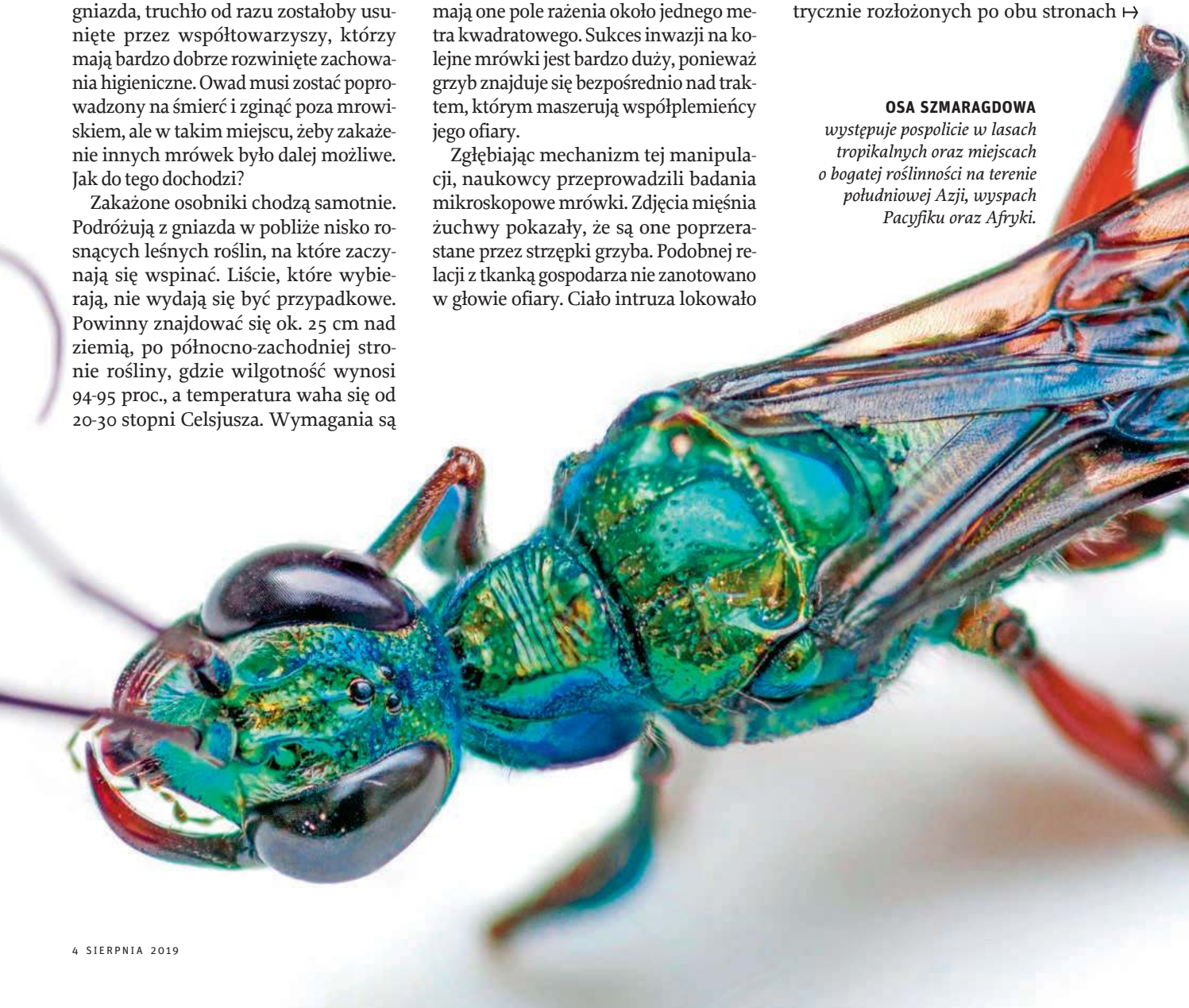

OSA SZMARAGDOWA
występuje pospolicie w lasach tropikalnych oraz miejscach o bogatej roślinności na terenie południowej Azji, wyspach Pacyfiku oraz Afryki.

żyłki otworów odpowiadał temu, który spotyka się dzisiaj. Oznacza to, że ta ciekawa strategia ma przynajmniej 48 mln lat, bo na taki okres datowano materiał roślinny.

Karaluch na smyczy

Równie ciekawym zachowaniem charakteryzuje się osa szmaragdowa (*Ampulex compressa*). Ten ciepłolubny gatunek występuje pospolicie w lasach tropikalnych oraz miejscach o bogatej roślinności na terenie południowej Azji, wyspach Pacyfiku oraz Afryki. Podobnie jak nitnikowiec, steruje ona układem nerwowym. Jednak w odróżnieniu od niego działa z zewnątrz. Wykorzystując jad, niespełna 3,5-centymetrowa samica tego gatunku potrafi podporządkować sobie sporego karalucha, który staje się inkubatorem dla jej larw. Szczególnie upatrzyła sobie trzy jego gatunki. Wśród nich znajduje się przybysza amerykańska (*Periplaneta americana*), którą można spotkać również w Polsce.

Samica osy gotowa do złożenia jaj wypatruje potencjalnej ofiary przez pewien czas. Szuka jej zazwyczaj w poszyciu leśnym. Gdy zauważy karalucha, podlatuje i żądli go, dwukrotnie wstrzykując jad, którego zadaniem jest skutecznie otępić karalucha. Pierwszy strzał skierowany jest w „klatkę piersiową". Biochemiczny koktajl paraliżuje przednie odnóża ofiary na mniej więcej pięć minut. Karaluch się uspokaja. Dzięki temu drugie ukłucie może być precyzyjniejsze. Kolejnym celem jest głowa, a dokładnie miejsce, gdzie znajduje się obszar kontrolujący odruch ucieczki. Karaluch traci chęć na spontaniczne poruszanie, ale pod dyktando osy chodzi całkiem sprawnie.

Jednak zanim karaluch zostanie zaciągnięty do norki, osa odrywa połowę z każdej z jego anten – wypustek znajdujących się na głowie. Tym krótkim posiłkiem osa prawdopodobnie uzupełnia płyny albo sprawdza ilość wstrzykniętego jadu. Zbyt mała jego dawka mogłaby nie wystarczyć do utrzymania karalucha w oszołomieniu przed wylęgiem larwy. Zbyt duża mogłaby go zabić, co również dyskwalifikowałoby go jako inkubator. Tak przygotowana ofiara zaciągana jest przez osę do przygotowanej norki. Za smycz służy jedna z anten. Osa układa nieszczęśnika w środku komory i składa około dwumilimetrowe jajo na jego brzuchu. Wychodząc na zewnątrz, wejście upycha kamieniami. Tym samym tworzy zaporę przed potencjalnymi drapieżnikami liczącymi na łatwy posiłek.

> Larwa nitnikowca traktuje pasikonika jak darmową stołówkę. A gdy dorośnie, **zaczyna manipulować owadem,** aby wskoczył do wody.

Żywy, ale sparaliżowany karaluch staje się zapasem jedzenia dla wylegającej się larwy. Dzieje się to po około trzech dniach od złożenia jaja. Żarłoczne maleństwo żywi się na brzuchu nieszczęśnika do pięciu dni, potem wgryza się w jego ciało. Przez nieco ponad tydzień młodociana postać osy posila się narządami wewnętrznymi swojej ofiary. Uważa przy tym, żeby nie uśmiercić jej od razu. Musi to jednak wreszcie nastąpić. Larwa staje się tworzącą kokon poczwarką. W nim się rozwija, a gdy dorośnie, wychodzi z martwego ciała karalucha, żeby zacząć dorosłe życie.

Od pierwotniaków do narkotyków

Przytoczone przykłady obrazowały manipulację między organizmami o podobnych rozmiarach. Nie jest to jednak reguła. Niewielkim, nawet mikroskopowym pasożytom mogą poddawać się zwierzęta znacznie większe.

Z ofiarami o bardziej pokaźnych rozmiarach świetnie radzi sobie pierwotniak *Toxoplasma gondii*, który wygląda jak niewielki półksiężyc. W cyklu życiowym gości u dwóch rodzajów żywicieli. Pierwszym, pośrednim, są ptaki i ssaki. Flagowym jest mysz. W niej *toksoplasma* rozwija się bezpłciowo.

Drugi z nich to żywiciel ostateczny. W tej grupie znajdziemy różne gatunki kotowatych, również te mieszkające w naszych domach. Właśnie w ich jelitach toksoplazma może rozmnożyć się płciowo, tworząc tzw. oocysty. Są to otoczone grubą otoczką twory, w których rozwija się następne pokolenie pierwotniaka, gotowe do infekcji. Wydalane na zewnątrz mogą zakazić kolejne zwierzęta, w tym wspomnianą mysz. Tak cykl się zamyka.

Toxoplasma gondii jest w stanie zwiększyć prawdopodobieństwo przeniesienia się z myszy do kota. Robi to poprzez zmianę zachowania gryzonia w stosunku do napastnika. Rozregulowuje m.in produkcję jednego z neuroprzekaźników – dopaminy. Badania pokazały, że zainfekowane myszy w kontakcie z kocim moczem są pobudzone seksualnie oraz mają powiększone jądra. Inaczej reagują na zapach uryny swojego naturalnego wroga – staje się ona dla nich afrodyzjakiem. Mysz zamiast uciekać, nęcona jest jej zapachem, co wystawia gryzonia na niechybną śmierć w łapach kręcącego się w pobliżu kota.

Ludzie również mogą się zarazić toksoplazmozą. Może to nastąpić poprzez zjedzenie nieumytych warzyw, na których znajdują się oocysty pasożyta, lub po pracy w ogródku, gdzie kontaktujemy się z ziemią zanieczyszczoną odchodami zarażonego kota. Możemy również zachorować poprzez zjedzenie mięsa zwierząt, w których zagościł pasożyt. Fizyczna reakcja na toksoplazmozę zależy od ogólnego stanu zdrowia osoby zainfekowanej. Z reguły ci o dobrej odporności przechodzą toksoplazmozę w sposób mało destrukcyjny. Objawy mogą przypominać grypę (gorączka, osłabienie i bóle mięśniowe). Choroba może być niebezpieczna dla osób cierpiących na niedobory odporności, a także dla płodów. Gdy matka zarazi się toksoplazmozą w pierwszym trymestrze, może to prowadzić do poronienia. Coraz częściej naukowcy stawiają również pytanie, czy pasożyt może wpłynąć na psychikę człowieka.

Znamy badania, które wykazują pewne powiązania między zakażeniami *T. gondii* a samobójstwami. To nie wszystko – pewną korelację widzimy też, gdy chodzi o skłonność do sięgania po narkotyki, do niebezpiecznej jazdy czy szybkiego wpadania w gniew. Osoby mające toksoplazmozę wydają się mniej ostrożne. Temat ten oczywiście wymaga gruntownego przebadania, ale potencjalne połączenie zakażenia z takim zachowaniem miałoby sens. Przecież *T. gondii* może starać się manipulować również umysłem człowieka, próbując doprowadzić go do szybszej śmierci.

Tym samym zwiększa prawdopodobieństwo zjedzenia swojej ofiary przez kota, gdzie pasożyt będzie mógł rozmnożyć się płciowo. Jak w horrorze.

© MARIUSZ GOGÓL

W JEDNYM Z CZERWCOWYCH WYDAŃ czasopisma „Science Advances" międzynarodowy zespół badaczy z Chińskiej Akademii Nauki w Pekinie, Chińskiej Akademii Nauk Społecznych w Pekinie, Instytutu Nauki o Historii Człowieka im. Maxa Plancka w Jenie oraz Uniwersytetu Queensland w Brisbane ogłosił odkrycie na terenie zachodnich Chin (niedaleko granicy z Tadżykistanem) liczących 2,5 tys. lat śladów palenia konopi w celach rytualnych – najstarszych jak dotąd odnalezionych. O to, co wiemy o starożytnych chińskich amatorach marihuany, zapytaliśmy **DR. ROBERTA SPENGLERA**, jednego z autorów publikacji, dyrektora Laboratorium Paleoetnobotaniki (wyspecjalizowanego w badaniu roślinnych śladów pozostawionych przez dawne kultury) w Instytucie Maxa Plancka.

MATERIAŁY PRASOWE

MAX PLANCK INSTITUTE / MATERIAŁY PRASOWE

Starożytna marihuana

ROBERT SPENGLER, PALEOBOTANIK:

Ludzie przynajmniej dwukrotnie udomowili konopie – z powodu ziaren i włókien. Później zaczęli ich używać ze względu na substancję psychoaktywną. Ale nie wiemy, jak wzrosła jej zawartość.

JAKUB MEJER: Kim byli pierwsi palacze marihuany?

ROBERT SPENGLER: Niewiele o nich wiemy. W większości przypadków nie mamy osad, miejsc, gdzie mieszkali. Myślę, że wiatr przez dwa tysiące lat po prostu je zmiótł z powierzchni ziemi – w geologii nazywamy to deflacją i wiemy, że w tym regionie zjawisko to silnie występowało. To zostawia nas z bardzo ograniczoną wiedzą co do tego, jak wyglądało ich życie. Najwięcej wiemy o ich praktykach funeralnych. Groby były pod ziemią, więc się zachowały.

Najprawdopodobniej kulturowo byli blisko związani z ludnością zamieszkującą w tym samym czasie Azję Środkową. Są dowody transportu dóbr, łączące ich prawdopodobnie też z innymi regionami w Chinach. Na cmentarzu znaleziono fragment jedwabiu, który świadczy o połączeniach z centralnymi równinami Chin, obecnym centrum tego kraju.

Tylko tyle?

Romantyczna wizja chciałaby ich przedstawić jako przemierzających stepy nomadów, ale tak najprawdopodobniej nie było. W miejscach pochówków z tego samego okresu z oaz w północnej części Sinciangu często występują ziarna. Najprawdopodobniej na niewielką skalę uprawiali rolę i jednocześnie wypasali owce i kozy. Byli świadomi, które zboża są odpowiednie na takie regiony. Najpewniej uprawiali odmiany prosa, które są odporne na suszę.

To teren bardzo jałowy, nieprzyjazny dla człowieka, więc mieszkali raczej przy oazach w okolicach rzek.

Cmentarz Jirzankal, na którym znaleźliśmy marihuanę, leży na 3 tys. m n.p.m. Nawet wtedy było to zbyt wysoko, żeby rosły tam rośliny uprawne. To nie jest idealne miejsce do życia. Nie wiemy, czy ludzie tam mieszkali, czy tylko przychodzili odprawiać obrzędy pogrzebowe. Myślę, że to drugie jest raczej bardziej prawdopodobne. Zapewne jest to rodzaj miejsca kultu, a ludzie mieszkali nieco niżej.

W kilku innych cmentarzach mniej więcej z tego samego okresu również odnaleziono marihuanę. Dwa z nich są w tym samym regionie. To ekscytujące, bo na swój sposób pokazuje podobieństwo praktyk kulturowych na dalekim zachodzie Chin pod sam koniec pierwszego milenium p.n.e.

Co wiemy o tych obrzędach pogrzebowych?

Znaleźliśmy podobieństwa do obrządków pogrzebowych zaratustrian z Azji Środkowej, młodszych o ponad tysiąc lat. Kusi, żeby je z nimi połączyć, niektóre media zresztą to robią. Nie mamy na to jednak na miejscu wykopalisk bezpośrednich dowodów. Choć cmentarz Jirzankal leży w odpowiednim regionie, a dużo znalezisk w grobach ma ślady ognia, więc jest oczywiste, że w niektórych pogrzebach ogień musiał odgrywać ważną rolę. W obrzędach typowych w późniejszym okresie zaratustrian występowało np. ↦

palenie artefaktów, częsta była kremacja. Działo się to dużo później, ale być może mamy do czynienia z jakąś kontynuacją tradycji.

W późniejszych dokumentach zaratustrian jest też mowa o korzystaniu z marihuany w obrzędach pogrzebowych. Nie mamy więc bezpośrednich dowodów, ale pewne powiązania z zaratustrianizmem – ważna rola ognia, kadzidła, marihuana... W jednym z miejsc znaleziono instrument muzyczny, harfę, która jest łączona w Azji Środkowej z obrządkami pogrzebowymi.

Na razie o tym nie dyskutowaliśmy zbyt wiele, ale są też dowody na ponowny pochówek lub otwieranie grobów i manipulowanie pochówkiem. Na niektórych kościach i czaszkach są ślady nacięć. Więc najprawdopodobniej były to skomplikowane ceremonie, a marihuana była ważną ich częścią.

Gdy Wasz zespół odkrył te paleniska, od razu wiedzieliście, że służyły do palenia marihuany? Nie przypominają współczesnych przyrządów do tego celu.

Wykopaliska cmentarzy prowadził zespół pod kierownictwem Xinhua Wu z Chińskiej Akademii Nauk Społecznych. Odbywały się w 2013 i 2015 r.

Nie wiem, czy oni wiedzieli, że to przyrządy do palenia marihuany, ale gdy w badania zaangażował się doktor Yimin Yang, to już było takie podejrzenie, wywodzące się z faktu odnalezienia marihuany w innych miejscach pochówku w regionie.

Jest kilka innych rzeczy, które mogły być spalane w tych paleniskach. Kolejnym przedsięwzięciem będzie zbadanie zalegających w nich osadów, żeby sprawdzić, czy marihuana była jedyną paloną substancją. Nasz projekt badał wyłącznie obecność kannabinoidów w osadzie.

Z Waszych badań wynika, że wybierano rośliny, które miały silniejsze działanie psychoaktywne.

Wygląda na to, że byli oni świadomi, które rośliny produkują więcej THC, czyli głównej substancji psychoaktywnej w konopiach. Niestety nie możemy powiedzieć, czy ludzie byli zaangażowani w zwiększenie jego zawartości, czy też znaleźli rośliny z naturalnie większą zawartością. Oba scenariusze są dla mnie równie prawdopodobne. Mam nadzieję, że wyjaśnią to dalsze badania. To otwiera wiele nowych pytań. Wiemy niewiele o tym, jak ludzie modyfikowali i udomawiali rośliny dla ich chemicznych właściwości. Większość naukowców skupia się na roślinach jadalnych – zbożach, roślinach motylkowych. Jest wiele pytań, dlaczego i jak rośliny zmieniły swój poziom zawartości substancji chemicznych, zarówno z powodu działalności człowieka, jak i nie, na dziko. To bardzo ciekawe odkrycie, ale pojawia się po nim więcej pytań niż odpowiedzi.

MAX PLANCK INSTITUTE / MATERIAŁY PRASOWE

W takich miseczkach palono konopie

Czy na podstawie tego odkrycia i innych znalezisk w regionie możemy powiedzieć, że jest to „kolebka" zażywania marihuany?

Rodzaje konopi są bardzo różnorodne. Niektóre zawierają niewiele substancji psychoaktywnych, inne obecnie produkują jej bardzo dużo. Na pewno były co najmniej dwa udomowienia tej rośliny. Konopie wykorzystywane dla włókien zostały udomowione w Azji Wschodniej, prawdopodobnie w regionie, który obecnie jest wschodnimi Chinami, chociaż niektórzy uważają, że doszło do tego w Japonii. To udomowienie jest znacznie starsze niż miejsce, które odkryliśmy. Tamte konopie nie dawały jednak psychoaktywnych efektów. Tak więc w Azji Południowej i Wschodniej ludzie wiedzieli o roślinie, która najprawdopodobniej najpierw została udomowiona dla swych nasion jako pokarmu, a następnie dla włókien.

Udomowienie lub rozpoczęcie wykorzystywania rośliny ze względu na zawartość THC zaszło odrębnie, gdzieś w Azji Środkowej. Nie wiem, czy możemy powiedzieć, że chodzi o region dalekiego zachodu Chin czy też o większy, również dlatego, że ta roślina rośnie dziko od Kaukazu po środkowe Chiny. Jeśli rośliny z wysoką zawartością THC występowały dziko, to w kilku miejscach ludzie mogli zacząć ich używać jako substancji psychoaktywnych. Dzikie konopie z reguły mają jednak niską zawartość THC. Do odpowiedzi na pytanie o kolebkę zażywania marihuany kluczowe jest zrozumienie, gdzie i jak ludzie odkryli rośliny z wysoką zawartością THC.

Czy mogło do tego dojść podczas wykorzystania konopi dla włókien lub nasion?

Pierwsi palacze marihuany mogli wykorzystywać konopie dla włókien; dzikie rośliny je produkują. Nie ma dowodów, żeby akurat oni wykorzystywali ich nasiona.

W Azji Środkowej jest jednak bardzo mało odkryć archeologicznych zawierających konopne tekstylia. W miejscach pochówku w Sinciangu, o których mówimy, mamy największą kolekcję zachowanych tekstyliów na świecie, bo na północy regionu było tak sucho, że przetrwały w świetnym stanie. I niewiele jest tam konopi – to głównie wełna, trochę jedwabiu i bawełny.

Jak historia zażywania marihuany dla efektów psychoaktywnych sprzed 2,5 tys. lat wygląda na tle innych środków odurzających? Alkohol oczywiście był znany ludziom wcześniej, ale co z produktami z maku, np. opium, albo grzybami halucynogennymi?

Psychoaktywne wykorzystanie roślin jest dużo starsze. Ludzie zawsze szukali substancji, które wpływają na ich ciała. Problemem jest to, że bardzo trudno znaleźć na to dowody. Niewiele wiemy np. o opium. Możliwe, że w niewielkich dawkach zbierano je z dzikich roślin. Ale nie mamy pojęcia, kiedy powstały gatunki oferujące silniejsze efekty psychoaktywne. Jeśli chodzi o starożytne zażywanie narkotyków, to brakuje nam badań.

To ciekawe, bo ludzie uwielbiają o tym rozmawiać, co widać chociażby po zainteresowaniu medialnym naszymi badaniami. Wiemy zaskakująco niewiele o tym, skąd pochodzą rośliny obecnie popularnie stosowane jako narkotyki. Myślę, że to znalezisko raczej nie jest jednym z najwcześniejszych w wielkiej historii dziejów – po prostu nie mamy dotąd dowodów na wcześniejsze zażywanie.

© Rozmawiał JAKUB MEJER

WOJCIECH

Bonowicz: *Usprawiedliwienia*

Od samej przemocy bardziej niepokojące jest usprawiedliwianie jej użycia. Rzucanie kamieniami, kopanie, plucie, wulgarne okrzyki – nie są to na szczęście zachowania powszechne. Nie potrzeba też szczególnej wrażliwości i wyobraźni, by zdobyć się na ich potępienie. Ale właśnie dlatego usprawiedliwianie przemocy jest tak niepokojące i zawstydzające: jest jak policzek wymierzony wierze w człowieka, w jego – nieraz skrywającą się gdzieś na dnie, ale jednak istniejącą – dobrą wolę.

Usprawiedliwianie może biec różnymi torami. W niektórych komentarzach do wydarzeń w Białymstoku powtarzało się słowo „prowokacja". Nie byłoby przemocy, gdyby jej nie prowokowano. Co było ową prowokacją? Okazuje się, że samo wydarzenie, sam fakt, że do niego doszło. Uczestnicy zachowywali się spokojnie, nikogo nie obrażali. Ale kiedy indziej, w innym miejscu, już tak. Zresztą to, w imię czego maszerujący wyszli na ulice, jest „nie do zaakceptowania". Ponadto jest „agresywne". Usprawiedliwienie szuka, aż znajdzie. Ostatecznie chodzi o to, żeby ciężar oskarżenia o przemoc podzielić z ofiarą. A jeśli to możliwe, nawet całkiem na nią przerzucić: nie byłoby marszów, nie byłoby aktów przemocy przeciwko maszerującym.

Czasem usprawiedliwienie przybiera postać szerszej refleksji nad społeczeństwem. W społeczeństwie trwa walka. Walka ta przybiera różne formy. Są formy bardziej subtelne, wyrafinowane – i te bywają groźniejsze od nagiej przemocy. Ludzie sięgają po fizyczną przemoc, gdy są zdesperowani, gdy próbuje im się coś narzucić, „wyprać mózgi". Nie powinni po nią sięgać, to prawda, ale samo to, że ludzie walczą, nie jest niczym dziwnym ani złym. Konflikt jest nieuchronny, jest rdzeniem demokracji. Nie chcemy chyba żyć w społeczeństwie zinfantylizowanym: biernym, obojętnym, niereagującym na zagrożenia. Potępiając agresywne zachowania, nie należy osłabiać ducha walki.

W usprawiedliwieniach bardzo ważny jest też moment etyczny: chodzi o wystąpienie w obronie wartości. Ciekawe jest, że wśród tych wartości na pierwszym miejscu znajdują się godność i wolność człowieka. Protesty przeciwko marszom stają się przede wszystkim manifestacjami wolności: jacyś „oni" chcą nam „zamknąć usta", ale „my nie pozwolimy". Do tego dochodzi sprawa godności: trzeba się sprzeciwić „niegodnym zachowaniom". Dlaczego tym, a nie innym? Tu odpowiedzi są różne, ale przeważają dwa odwołania: do chrześcijaństwa i do cywilizacji. Jest całe mnóstwo zachowań niegodnych chrześcijanina i niegodnych człowieka cywilizowanego. Trzeba dokonać wyboru. Okazuje się, że są takie, które w szczególny sposób „niszczą" chrześcijaństwo i cywilizację. To właśnie na nich trzeba się skoncentrować. Trzeba „bronić rodziny", „bronić dzieci", „bronić wiary" – ale tylko przed tym, co sami uznamy za zagrożenia.

Nie wiem, czy ci, którzy piszą usprawiedliwienia, wiedzą, co piszą. I czy piszą je z pełnym przekonaniem, czy dlatego, że znaleźli się akurat po tej, a nie innej stronie konfliktu, który opisują. Nie sądzę, żeby mój głos do nich dotarł. Ale myślę, że od czasu do czasu warto wznieść się ponad swoje wyobrażenia i popatrzeć z góry na to, co się dzieje. Nie odmawiam nikomu prawa do obrony tego, co dla niego ważne. Dobrze jest jednak spojrzeć na sprawę również z innych punktów widzenia. Choćby po to, żeby w obronie wartości, które cenimy, tak naprawdę nie zwrócić się przeciwko nim. ©

REKLAMA

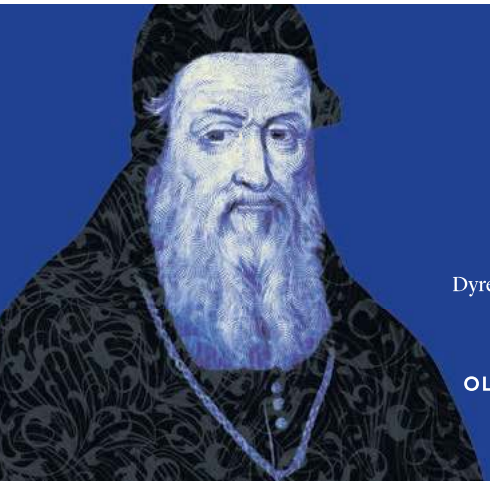

Burmistrz Biecza zaprasza

Patronat honorowy:
Jan Wątroba – Biskup Rzeszowski
Witold Kozłowski – Marszałek Województwa Małopolskiego
Piotr Gliński – Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dyrektor artystyczny: Arkadiusz Bialic

KROMER
BIECZ FESTIVAL
6–11 SIERPNIA 2019

LES BASSES RÉUNIES / {OH!} ORKIESTRA HISTORYCZNA / LE NUOVE MUSICHE
NAROL BAROQUE / SIRKKA-LIISA KAAKINEN-PILCH / MARTIN GESTER
OLGA PASIECZNIK / MARTYNA PASTUSZKA / BRUNO COCSET / LILIANNA STAWARZ
MAREK TOPOROWSKI / MARTA BOBERSKA

Wstęp wolny · Free entrance · www.kromerbieczfestival.pl

Miasto i Gmina Biecz
Bieckie Centrum Kultury
Parafia pw. Bożego Ciała w Bieczu
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego
MAŁOPOLSKA
Projekt zrealizowany przy wsparciu finansowym Województwa Małopolskiego
PGE
PZU FUNDACJA
Sfinansowano ze środków Fundacji PZU
TVP 1
TVP KULTURA
TVP 3 RZESZÓW
TVP 3 KRAKÓW
RADIO KRAKÓW
DZIENNIK POLSKI
Polskie Radio RZESZÓW
interia
STYL.PL
misteria paschalia
kbf

Z ODDECHEM

INŻYNIER MARZEŃ

Dla jednych geniusz, dla innych szarlatan. Wybiera skostniałe branże i rewolucjonizuje je, łącząc dalekie od siebie technologie. Nikt przed Elonem Muskiem na to nie wpadł. A przynajmniej nie miał dość tupetu.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Konferencja Elona Muska w Kalifornijskiej Akademii Nauk była typowa. Jak na niego. Miliarder zapowiedział – bagatela – redefinicję człowieczeństwa. „Damy ludziom coś, co będzie rodzajem telepatii. Potencjalnie zupełnie nową formę komunikacji" – obiecał.

Ma tego dokonać najnowsze dziecko miliardera, firma Neuralink. Stworzyła ona elektrody cieńsze od ludzkiego włosa, które za pomocą superprecyzyjnego robota nawiercającego otworki w czaszce mają być umieszczane w mózgu. Tam, rejestrując aktywność neuronów, pozwolą na bezpośrednią, telepatyczną niemal komunikację z komputerami, protezami, elektronicznymi gadżetami czy – według Muska – z innymi ludźmi wyposażonymi w podobny interfejs. „Zamierzamy przeprowadzić pierwsze testy na pacjentach już w przyszłym roku" – zapewniał miliarder. Pierwszymi ochotnikami mają być osoby całkowicie sparaliżowane.

Obietnice

Naukowcy zajmujący się od lat budową interfejsów między ludzkim mózgiem a komputerami przyznają, że sprzęt zaprojektowany przez inżynierów Muska zapowiada się obiecująco, choć miliarder, ogłaszając kolejny krok w ewolucji naszego gatunku, nieco przerysowuje jego możliwości. Co nie dziwi nikogo, kto widział choćby jeden fragment którejś z jego prezentacji. Elon Musk uwodzi swoimi wizjami. Sprzedaje nie tyle produkty, ile całą przyszłość rodem z *science fiction*: z elektrycznymi, autonomicznymi samochodami, koloniami na Marsie i superszybkimi próżniowymi pociągami. Albo – jak tym razem – cyberpunkową wizję *homo sapiens* sprzężonego ze sztuczną inteligencją.

„Osiągniemy symbiozę z AI" – zapowiedział ten sam człowiek, który od lat publicznie wyraża obawy o to, że niekontrolowany rozwój sztucznych inteligencji jest dla nas zagroże-

TONY AVELAR / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Elon Musk przegląda się w lustrze na torze testowym fabryki Tesla, Fremont, Kalifornia, 2010 r.

niem. „Nawet w scenariuszu, w którym mamy do czynienia z zupełnie nieagresywną AI, ludzie po prostu zostaną pozostawieni z tyłu. Dzięki takim interfejsom możemy załapać się na tę podróż i połączyć ze sztuczną inteligencją" – tłumaczy.

Elon Musk „bierze faktycznie imponujące osiągnięcia techniczne i... może nie tyle przereklamowuje je, ile, powiedzmy, przeskakuje do ostatniego rozdziału ich historii – komentował magazyn »Wired«. – Nie wystarczy elektryczny samochód, on koniecznie musi jeździć sam. Nie wystarczy rakieta, która zawiezie ludzi na Stację Kosmiczną, ona musi zabrać ludzi na Marsa. Jakie to ekscytujące!".

Każdego biznesmena, który próbowałby budować firmy na tak fantastycznych wizjach, potraktowano by jak szarlatana lub wariata. I owszem, wielu uważa Muska za szarlatana. Jest tylko jeden problem: przedsiębiorca nie jest wyłącznie mistrzem gry marzeniami. Czasami zachowuje się tak, jakby sam miał w głowie interfejs połączony z przyszłością. Nawet wyszydzany, z determinacją próbuje wprowadzać w życie swoje obietnice. Bez stuprocentowej skuteczności. Ani nawet pięćdziesięcioprocentowej. Ale jego deklaracje są takiej wagi, że nawet jeśli spełni jedną na sto, nasz świat faktycznie będzie wyglądał inaczej.

Chyba że Elona Muska powstrzyma jego największy wróg: Elon Musk.

Horyzonty

„Jego siostra mawiała, że Elon może zrobić mnóstwo rzeczy ze swoim komputerem, ale nie każ mu złapać autobusu – opowiadał w wywiadzie dla południowoafrykańskiego radia ojciec Muska, Errol. – Elon zawsze był introwertykiem. Kiedy inni szli na imprezę, żeby się bawić, pić i rozmawiać o rugby czy innych sportach, Elon stał przy biblioteczce i przeglądał książki. To mu sprawiało frajdę".

Musk wychowywał się na przedmieściach Pretorii. Po rozwodzie rodziców jego matka, modelka, wróciła do Kanady. Dziewięcioletni Elon postanowił zostać z ojcem. Dziś tego żałuje. Niemal nie utrzymuje z nim kontaktu. Jest za to zżyty z młodszym bratem i siostrą.

Jego życie zmieniło się, gdy w wieku lat 11 zapisał się na – przeznaczony dla dorosłych – kurs komputerowy. Rok później miał już na koncie pierwszą napisaną przez siebie grę, którą sprzedał lokalnemu magazynowi komputerowemu za 500 dolarów.

Tuż przed ukończeniem 18 lat opuścił RPA na zawsze. Twierdzi, że uciekł do Kanady przed poborem do wojska, bo brzydził się apartheidu. Ale równie prawdopodobne wydaje się, że uciekał przed ojcem i szukał dla siebie szerszych horyzontów. Początkowo jednak te sprowadzały się do przerzucania ziarna łopatą i rżnięcia desek w tartaku. W końcu trafił na studia. Najpierw kanadyjski Queens University, potem University of Pennsylvania. Dorabiał, skręcając dla innych studentów komputery i... zmieniając swój dom w nielegalny klub. Wejście kosztowało pięć dolarów, a miesięczny czynsz zwracał mu się w jeden dzień.

Został dyplomowanym fizykiem, ale inżynierem już nie. Rzucił doktorat na Stanfordzie w kilka dni po tym, jak zaczął nad nim pracować. Zamiast tego z bratem założyli pierwszy legalny biznes. Zip2 było jedną z pierwszych internetowych baz danych o lokalnym biznesie. Firma, założona dzięki pożyczonym od ojca 28 tys. dolarów, w cztery lata później została sprzedana za 300 mln, z czego 28-letni Musk zgarnął 22 mln. Połowę zainwestował w kolejną firmę, która świadczyła usługi finansowe online: PayPal.

Trzy lata później dzięki kolejnej sprzedaży miał już 200 milionów w kieszeni.

Sposób

I tu jego historia, dotąd bliźniaczo podobna do życiorysów setek innych złotych dzieci internetowej bańki lat 90., robi się naprawdę ciekawa.

Zaczęło się od szklarni.

Elon Musk, ze świeżo zarobionymi milionami, postanowił zająć się czymś ambitniejszym niż internetowe płatności: ↦

przyczynić się do powstania kolonii na innej planecie. Rozczarowany tym, że NASA nie miała realistycznych planów załogowych lotów międzyplanetarnych, postanowił zainwestować niewielki ułamek swojej fortuny w projekt, który miał jego zdaniem nakręcić zainteresowanie lotami w kosmos. Nazwał go Oazą na Marsie. Był to cylindryczny lądownik marsjański z niewielką szklarnią zawierającą zapasy wody, nawóz i nasiona. Musk wierzył, że zdjęcia kiełkujących, zielonych roślin na tle czerwonego marsjańskiego pyłu natchną i publikę, i decydentów. Rośliny miały być pierwsze, ludzie – następni.

Ale pomysł rozbił się o brutalną rzeczywistość. Najtańsza rakieta, którą Musk mógł wynająć do takiego lotu, pochłonęłaby trzecią część jego fortuny. A wizjoner zakładał, że na wszelki wypadek musi wysłać dwa lądowniki na osobnych rakietach. Na wysłanie Oazy na Marsa nie było go stać.

„Nie miałem racji, przygotowując ten projekt – wyznał potem w wywiadzie z Salmanem Khanem z Khan Academy. – Byłem przekonany, że brakuje nam woli. Okazało się, że woli mamy mnóstwo. Nie mamy sposobu, by lecieć. Postanowiłem więc: dobra, popracujmy nad sposobem".

Tak narodziła się firma SpaceX.

Dziś tę nazwę znają doskonale nie tylko pasjonaci kosmosu. Inżynierowie Elona Muska regularnie dokonują rzeczy, które jeszcze dziesięć lat temu wydawałyby się mrzonką. Budują największe rakiety świata. Lądują ogromnymi segmentami rakiet na pokładach maleńkich barek pośrodku oceanu. Konstruują największy na świecie pojazd kosmiczny, który – według zwyczajowo ambitnych deklaracji Muska – już za dwa lata ma wylądować na Księżycu.

Ale jeszcze w 2008 r. przyszłość firmy była tak niepewna, że sam Musk odmawiał przyjmowania pieniędzy od znajomych, którzy chcieli w jego pomysł inwestować. Trzy pierwsze starty rakiety Falcon 1 kończyły się katastrofami. Czwartą rakietę poskładano z pozostałych w fabryce części zamiennych. Gdyby i ona zawiodła, SpaceX poszłaby na dno.

Jednocześnie na dnie znalazła się w tym samym roku Tesla – drugie ukochane dziecko miliardera, firma produkująca elektryczne samochody. To nie on ją założył, zrobili to inżynierowie Martin Eberhard i Marc Tarpenning. Z Eberhardem Elon Musk wciąż procesuje się o prawo do nazywania się „twórcą" Tesli – bo to on był jej głównym inwestorem i szybko został też głównym projektantem.

Założenie: stworzyć pierwszy samochód elektryczny, którego klienci będą pożądać. Luksusową maszynę, a nie przerośnięty wózek na zakupy. Tak powstała Tesla Roadster. Zarobione na niej pieniądze pozwoliły stworzyć limuzynę, Model S. Ale zanim ta wyjechała na drogi, Tesla stanęła na krawędzi bankructwa. Niemal jednocześnie ze SpaceX.

„Mogłem zainwestować wszystkie pieniądze, jakie mi zostały, około 40 mln, w jedną z firm i pozostawić drugą na pewną śmierć, albo podzielić tę kwotę i liczyć się z tym, że umrzeć mogą obie – opowiadał Musk w ubiegłym roku. – Ale kiedy inwestujesz tyle energii w coś, co budujesz, staje się to twoim dzieckiem. Nie mogłem wybrać. Zainwestowałem w obie firmy. I na szczęście obie przetrwały".

Sam musiał wtedy pożyczać od znajomych pieniądze na czynsz – i na pokrycie kosztów rozwodu z pierwszą żoną. Dwa lata później, gdy Tesla trafiła na giełdę, z dnia na dzień miał w kieszeni 2 miliardy. Dziś – około 20 miliardów, choć plotki o rychłym bankructwie obu jego flagowych projektów pojawiają się bezustannie.

Pomysły

Tesla i SpaceX doskonale ilustrują *modus operandi* Muska. Miliarder wybiera branże skostniałe, zastygłe w przyzwyczajeniach sprzed dziesięcioleci. Zanim zabrał się za branżę kosmiczną, niewiele się ona w zasadzie różniła od tej z czasów Sputnika. Wciąż była zdominowana przez molochy budujące w nieskończoność te same rakiety, co w latach 60. Podobnie motoryzacja, przynajmniej od czasu wielkiego kryzysu paliwowego lat 70. nie doświadczyła istotnej rewolucji.

Obie branże dawały szanse nowemu, ambitnemu, pozbawionemu zahamowań graczowi na zrobienie dużego zamieszania za sprawą technologii, nad którymi inni pracowali od dziesięcioleci, choć z myślą o zupełnie innych dziedzinach. Samochody elektryczne Muska zobaczyły światło dzienne dzięki rewolucji, którą przyniosły baterie litowo-jonowe napędzające świat elektronicznych gadżetów. Jego lądujące rakiety korzystają z technologii opracowywanych jeszcze w latach 90. dla NASA oraz z czujników i algorytmów zbliżonych do tych, które stanowią też podstawę... autonomicznych samochodów. Nikt wcześniej nie wpadł na pomysł łączenia technologii z tak odległych światów. Albo przynajmniej nie miał na to dość tupetu.

To samo *modus operandi* miliarder próbuje teraz wykorzystać w kolejnych dziedzinach. Ze zmiennym szczęściem.

Firma The Boring Company (gry słów i zwracające uwagę nazwy to kolejny talent Muska: w tym wypadku nazwa oznacza zarazem „firma od wierceń", jak i „nudna firma") ma zrewolucjonizować kopanie tuneli. Zaczęło się od tweeta wysłanego przez znudzonego Muska stojącego w korku, w którym spekulował, że najprostszym sposobem na rozładowanie korków byłoby stworzenie sieci tuneli, w których samochody poruszałyby się na szybkich, elektrycznych platformach. Tu sukcesu jednak nie było. Co prawda przedsiębiorstwo zdobyło kontrakty m.in. na budowę tunelu łączącego Chicago z lotniskiem O'Hare, ale jego pierwszy projekt – testowy tunel pod Los Angeles – został wyśmiany. Bo zamiast superszybkich platform, w tunelu po szynach jeździła jedna Tesla z doczepianymi kółkami. Później szyny zniknęły i zastąpił je asfalt. Pozostało coś, co szef transportu publicznego stanu Virginia nazwał „samochodem w bardzo małym tunelu".

Trudno też nazwać sukcesem Hyperloop – pomysł na superszybki, spersonalizowany transport publiczny w postaci napędzanych elektromagnesami kapsuł pędzących w próżniowej rurze. Na razie ani sam Elon Musk, ani żadna z dziesiątek ekip inżynierskich z całego świata (bo miliarder udostępnił pomysł każdemu, kto chciałby się nim zająć, tłumacząc, że nie ma na niego czasu) nie stworzyli pojazdu, który działałby choć w przybliżeniu tak dobrze jak w obietnicach, a najdłuższe tory testowe liczą zaledwie kilka kilometrów.

Lepiej idzie mu w dziedzinie, której sam się lęka: w badaniach nad sztuczną inteligencją. Powołana przez niego organizacja OpenAI tworzy jej zaawansowane algorytmy, choć w innym celu niż konkurencja. Musk obawia się, że niekontrolowane prace nad AI zagrażają ludzkości. Pracując nad nią

samemu, chce trzymać rękę na pulsie i wpływać na kierunek jej rozwoju.

A to tylko ułamek pomysłów Muska. Równolegle buduje też konstelację 11 tys. satelitów rozsiewających na całym świecie internet czy zapowiada elektryczny samolot pionowego startu. Kolejne projekty ogłasza w morderczym tempie, często na Twitterze. Zainspirowało to absurdalny twitterowy profil pt. „znudzony Elon Musk", którego podszywający się pod wizjonera autor dzieli się takimi pomysłami jak „aplikacja, która sprawia, że ludzie zachowują się, jakby byli starsi" czy „autokorekta dobierająca słowa w e-mailu do poziomu inteligencji odbiorcy".

Nie lubi krytyki. I chętnie daje temu wyraz na Twitterze.

Wdaje się w utarczki, nazywa ekspertów idiotami. Zwykle to względnie nieszkodliwe pyskówki. Ale dwa razy wpakował się w poważne tarapaty.

Obsesje

Ale jeszcze bardziej mordercze jest tempo pracy prawdziwego Muska. Jego biograf Ashlee Vance tak opisuje jego typowy tydzień:

„W poniedziałek cały dzień pracuje w SpaceX. Wtorek rozpoczyna w SpaceX, potem wskakuje w swój odrzutowiec i leci do Doliny Krzemowej. Kilka dni spędza w Tesli, która ma swoje biura w Palo Alto i fabryki we Fremont. Musk nie ma domu w Kalifornii Północnej, więc nocuje w luksusowym hotelu Rosewood albo u przyjaciół. (...) Zazwyczaj jest podejmowany w pokoju gościnnym, ale zdarzało mu się nocować także na kanapie po chwilach relaksu z grami wideo. W czwartek Musk wraca do Los Angeles i SpaceX. Wspólnie z byłą żoną Justine opiekuje się pięcioma chłopcami: bliźniakami i trojaczkami, którzy przebywają u niego cztery dni w tygodniu".

Gorzej, że ten obsesjonat i pracoholik oczekuje podobnego zaangażowania od swoich pracowników. Vance przytacza mail wysłany rzekomo do pracownika, który nie przyszedł do pracy, bo jego żona rodziła: „To żadna wymówka. Jestem ekstremalnie rozczarowany. Musisz ustalić, gdzie leżą priorytety. Zmieniamy świat i zmieniamy historię. Albo jesteś temu oddany, albo nie".

Musk zaprzeczył, jakoby kiedykolwiek wysłał podobny mail. Ale pewne jest, że narzuca pracownikom warunki co najmniej trudne. Gdy Tesla miała problem z osiągnięciem wystarczającego tempa produkcji pierwszego, stosunkowo taniego auta – Modelu 3, pracownicy dostali mnóstwo redbulla i musieli przepracować dodatkowo mordercze nadgodziny przy linii produkcyjnej zainstalowanej w namiocie ustawionym na zewnątrz fabryki.

Byli pracownicy zarzucali też firmie, że warunki przy taśmie produkcyjnej zagrażają ich bezpieczeństwu, a same fabryki odnotowują więcej wypadków niż inne zakłady z branży motoryzacyjnej. Miało brakować żółtych oznaczeń stref zagrożenia, a wózki widłowe nie były wyposażone w głośniki emitujące podczas pracy ostrzegawcze dźwięki. Dlaczego? Bo, jak twierdzą byli pracownicy, Elon nie lubi pisków ani koloru żółtego.

Nie lubi też krytyki. I bardzo chętnie daje temu wyraz na Twitterze, gdzie wysyła 400 wiadomości miesięcznie. Wdaje się w utarczki z dziennikarzami, nazywa ekspertów krytykujących jego plany idiotami, drwi z prezesów konkurencyjnych firm. Zwykle to względnie nieszkodliwe – nawet jeśli szczeniackie – pyskówki. Ale dwa razy wpakował się w poważne tarapaty.

Pierwszy raz, kiedy oskarżył o pedofilię Vernona Unswortha, jednego z nurków ratujących uwięzione w tajlandzkiej jaskini dzieci z drużyny piłkarskiej. Akcję śledził cały świat. Musk zaproponował użycie miniłodzi podwodnej swojego projektu. Ratownik go wyśmiał. Musk odpowiedział pomówieniem. Unsworth pozwał go i domaga się 75 tys. dolarów odszkodowania.

Drugi raz, kiedy napisał, że jest bliski zdjęcia Tesli z giełdy i ma już „zapewnione finansowanie" potrzebne do odkupienia akcji. Okazało się, że żadnego finansowania nie było, a amerykańska Komisja Papierów Wartościowych uznała, iż Musk dopuścił się tym tweetem nielegalnej manipulacji kursem akcji firmy. W ramach ugody miał ustąpić ze stanowiska prezesa rady nadzorczej Tesli i zapłacić 20 mln dolarów grzywny. Miał też odtąd konsultować treść wszystkich dotyczących firmy tweetów. Ale stare nawyki trudno przezwyciężyć i kolejny tweet, w lutym tego roku, został przez Komisję uznany za złamanie ugody.

Hucpa przysporzyła też Muskowi problemów w branży kosmicznej. Po tym, jak podczas nagrywania podcastu Joe Rogan Experience zaciągnął się marihuanowym skrętem, US Air Force postanowiło cofnąć mu dostęp do poufnych danych. Marihuana jest legalna w wielu stanach USA, ale wewnętrzne przepisy Pentagonu zabraniają jej używania osobom posiadającym taki dostęp.

Miliardy

Podobno rodzina Elona Muska boi się, że miliardera chcą wyeliminować rosyjskie służby, bo jego firma odbiera chleb ich inżynierom rakietowym. Na pewno, poza talentami inżynierskimi, marketingowymi i darem sprzedawania marzeń, ma też ogromny talent do robienia sobie wrogów. Czasami – nieoczekiwanych.

14 lipca Roberto Escobar, brat nieżyjącego narkotykowego bossa Pabla Escobara, oskarżył Muska o kradzież jego pomysłu. Plagiatem miał być... miotacz ognia, który był gadżetem sprzedawanym przez internetowy sklepik The Boring Company. Escobar twierdził, że jego firma chciała sprzedawać taki sam, żeby „pozwolić ludziom dosłownie palić pieniądze tak, jak robiliśmy to wiele razy z Pablem. Spaliliśmy miliardy dolarów". Projekty miotacza miały być według niego zaprezentowane przedstawicielowi jednej z firm Muska. Escobar chciał od miliardera 100 mln dolarów w akcjach Tesli, choć później zmienił zdanie i zaproponował mu w zamian spółkę w produkcji... marihuany.

Musk nie odniósł się jeszcze do propozycji. Ale kto wie? Tej branży też od dawna nikt nie rewolucjonizował.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

DAJĘ RADĘ

EWA LIPSKA, POETKA:

Miłość kojarzy mi się z meteorologią.
To słowo znaczy po grecku „unoszący się w powietrzu".
W miłości jest podobnie. Wszystko zależy od pogody uczuć.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Łowiła Pani ryby na wyjazdach z Wisławą Szymborską, Kornelem Filipowiczem i swoim mężem?

EWA LIPSKA: Nigdy w życiu nie trzymałam wędki w ręce, co najwyżej podbierak. Od razu chcę powiedzieć, że zawsze z Wisławą byłyśmy po stronie ryb. I chociaż Kornel powoływał się czasem na rzymskiego pisarza Claudiusa Aelianusa, który pisał już o zasadach wędkowania, to podziwiałyśmy inteligencję ryb, które obgryzały sprytnie przynętę, pozostawiając nienaruszony haczyk. Podbierak to taka mała sieć, która służy do wyjmowania ryb.

Częściej było to zajęcie Wisławy, która w sposób poetycki współpracowała z Kornelem. Ale zawsze podziwiałyśmy metafizykę tych chwil, ciszę, medytację; ryby były jedynie pretekstem do tworzenia takich sytuacji.

To co właściwie z Szymborską robiły Panie na tych rybach?

Dostawałam od przyjaciół z niemieckiej ambasady stare numery pisma „Der Spiegel" i „Stern", które chętnie przeglądałyśmy. To było wtedy takie okienko na świat. Wisława zbierała suche gałęzie na ognisko, czasem wrzucaliśmy do niego ziemniaki, które miały wspaniały smak. Czasami Kornel przyrządzał ryby nad wodą, ale najczęściej zabierał je do domu, na słynną ulicę Dzierżyńskiego, obecnie Lea, i tam odbywał się bankiecik.

I co?

Spotykaliśmy się częściej niż w obecnych czasach. Komuna zbliżała nas do siebie. Odwiedzaliśmy się bez zapowiedzenia. Telefony, jeżeli w ogóle były, były na podsłuchu.

Pamiętam jeszcze matkę Kornela, która pewnego dnia zauważyła na sedesie w toalecie szczura. Kornel ustrzelił go na miejscu; był posiadaczem jakiegoś duńskiego – jeżeli dobrze pamiętam – sztucera. Była to świetna okazja do spotkania się. I jak to na takich bankiecikach, rozmawiało się dużo o sytuacji politycznej, ale też o sprawach błahych. Kiedy właściciel mieszkania miał nas dosyć, włączał swój malutki czarno-biały telewizorek i mówił: „nie będę was dłużej zatrzymywał"...

Nie żyją już wszyscy: Szymborska, Filipowicz, mąż.

Takie są prawa natury. Przemijamy, znikamy, ale czasami zostają po nas wspomnienia, które nazwałabym „dygresjami". Księga Koheleta zaleca nam korzystanie z życia, docenianie każdej chwili, cieszenie się nią. Ale kiedy jesteśmy młodzi, to się nam wydaje, że śmierć należy do kogoś innego, nie do nas. Czas wlecze się jak opóźniony pociąg. Przyspiesza wraz z naszą dojrzałością, ale wtedy jest już często za późno i mamy do siebie żal, że coś przegapiliśmy. Dzisiaj rozmawiam z panią, a pojutrze może już będzie pani rozmawiać o mnie nieobecnej.

Co będą o Pani mówili?

Niech mówią, co chcą, ale miło. Liczę na ich poczucie humoru.

Mogę was straszyć, bo wierzę jedynie w kosmiczną energię. Może będzie to „energia odnawialna"? Kiedy umierali nasi bliscy i przyjaciele, Wisława Szymborska mówiła, że wspominać należy ich wtedy, kiedy już można opowiadać o nich anegdoty. Coś w tym jest: oddalają się od nas, aby wrócić po niepojętej wędrówce.

Cyceron pisał, że śmierć to wypoczynek po trudzie i nędzy. Większość ludzi umiera ze znużenia, cierpienia, choroby. Następuje „zmęczenie materiału" i wtedy łatwiej przenosić się na tamten świat. Często słyszymy: „To już nie mój świat...".

Pani tak nie mówi.

Nie mówię, choć mam z tym światem na pieńku. Zawodzi mnie często, zarówno sytuacja zewnętrzna, nie mówiąc o wewnętrznej. Boję się brunatnych melodii, przypominają lata trzydzieste. Stanisław Lem mówił żartobliwie, że jedyną rzeczą, jaką można powiedzieć o Polsce, jest to, że mamy bardzo ładne dziewczęta, zła zaś to ta, że wolimy pójść w niedzielę do kościółka, aby po mszy zapomnieć o wszystkim. Tak jest bezpieczniej.

Proszę wziąć pod uwagę, że wiele starszych ludzi nie ma żadnych szans. Państwo niczego im nie oferuje. Są samotni,

Ewa Lipska, Kraków, 2009 r.

DANUTA WĘGIEL

czekają latami na medyczną pomoc. Przedwcześnie umierają. Jedna pani powiedziała mi kiedyś, że to specjalnie się robi; z jednej strony wcześniejsza emerytura, a z drugiej politycy robią wszystko, aby jej nie dożyć. Brzmiało to dramatycznie.

No a Pani?

Daję radę... Ale ja cały czas pracuję, nie choruję na samotność, a w atakach hipochondrii trafiam pod odpowiednie skrzydła. Napije się pani koniaku?

Chętnie.

Ściślej rzecz ujmując to, co teraz nalewam, to francuski armagnac. Nie jestem miłośniczką alkoholi, ale „jedynym sposobem utrzymania zdrowia jest jedzenie tego, czego nie lubisz, picie tego, czego nie chcesz, i robienie tego, na co nie masz ochoty" – jak mawiał Mark Twain. Pamiętam, jak w młodości leczono nas herbatą z rumem i sokiem malinowym. To było miłe lekarstwo na przeziębienia.

Mówi Pani o zgodzie na przemijanie, ale ostatni tomik „Miłość w trybie awaryjnym" przenika nostalgia za tym, co było.

Jest to związane z moim wiekiem; przemijanie i nostalgia są sobie bliskie. Jedno wynika z drugiego. Ale kiedy na naszych oczach zachodzi słońce, to też opowiadamy o tym zjawisku z pewną nutą nostalgii. Było tak pięknie, ale już minęło... I natychmiast nasuwa się pytanie: czy to się jeszcze zdarzy?

Miłość kojarzy mi się z meteorologią. To słowo, które bada zjawiska fizyczne w atmosferze, znaczy po grecku „unoszący się w powietrzu". W miłości jest podobnie. Wszystko zależy od pogody uczuć. Od klimatu, od chemii. W miłości mamy do czynienia nie tylko z pięknymi latami słońca, ale też z burzami, wichurami, gwałtownym ochłodzeniem. Te namiętności są czasami trudne, ale ważne. „Bo góry i pagórki mogą się zachwiać, a moja miłość nie odstąpi od ciebie" – jak pamiętamy z Księgi Izajasza. Ta książeczka to całe moje i nie tylko moje życie. To pamięć czegoś, czego już nie ma, ale co nas budowało, tworzyło. „Bo jak śmierć potężna jest miłość" – pamięta pani? Z Pieśni nad Pieśniami...

Znowu pijemy. Litr umarłych na stole. / Już nie ma nikogo / kto jest" – to wiersz Ewy Lipskiej ze strony 41.

Wracamy do alkoholu. (*śmiech*) I co, mam zinterpretować ten wiersz? Pozostawmy to czytelnikom.

No dobrze, na razie to zostawmy. Rum z herbatą. Co jeszcze zapadło w pamięć z dzieciństwa?

Wspaniała niania, Marysia. Była głęboko wierząca i uczyła mnie wszystkich pieśni religijnych. Pochodziła z Krynicy Górskiej, gdzie jej siostra była szefową kuchni w jakimś znanym pensjonacie. Często tam przebywałam; niania prowadziła mnie do domu wypoczynkowego dla księży, który się nazywał chyba Echo, i tam śpiewałam w chórze dziecięcym.

Pamiętam taką strofę: „Dzisiaj w Echu się spotkamy, uroczystość odprawiamy". Na ulicy Pułaskiego, gdzie mieszkałam, siadywał na murku Nikifor i malował swoje obrazki, obok były pagórki, po których biegaliśmy. Ulica prowadziła do słynnej Patrii, sanatorium wybudowanego przez Jana Kiepurę. W naszym mieszkaniu był oczywiście węglowy piec, kot Maciek, podobny do tygrysa, który spadał czasami z szafy do pustych walizek. Niedawno postanowiłam pojechać do Krynicy.

I?

I to był błąd. Z mojej młodości nie zostało nic. Krynica mnie rozczarowała. Pagórki, po których biegałam, zostały zabudowane, naszego domu już nie znalazłam. Nawet strumyk gdzieś zniknął. Hotel Patria, symbol luksusu i lepszego życia, gdzie Jan Kiepura śpiewał na schodach: „Brunetki, blondynki, ja wszystkie was dziewczynki całować chcę...", jakiś zaniedbany, otoczony architektonicznymi koszmarkami. Nie ma już starej pijalni, na jej miejscu stoi nowoczesne betonowe pudełko. W kiosku spotkałam panią, starą mieszkankę Krynicy, która ze smutkiem powiedziała do mnie: „Tamtej Krynicy już nie ma". Ale może ja fałszywie oczekiwałam, że ta Krynica powinna dalej istnieć? Wciąż mi się zdawało, że będzie tak jak w Davos, gdzie nadal można się spotkać z bohaterami „Czarodziejskiej góry".

Nie mogę się teraz powstrzymać, by nie zacytować fragmentu wiersza „Coś": „Przeterminowany czas zalatywał tęsknotą. / Nasze wiersze kołysały się w sierocej chorobie. / Coś się położyło obok. / Niejasne. Zasnęło".

Może to tak jest, że my oczekujemy, że przyszłość przyjdzie do nas piękna i młoda i powie: „Jestem. Wróciłam. Możesz ze mną zatańczyć". A to jak na rysunku Edvarda Muncha: „Dwie dziewczyny i szkielet".

A może chciałaby Pani porozmawiać z kimś z przeszłości?

O, bardzo chętnie. Z Michelem de Montaigne zrobiłam nawet wywiad i opublikowałam w piśmie „Charaktery". Z Marcelem Proustem zjadłabym chętnie ko-

Ewa Lipska

TO JEDEN z najważniejszych głosów w naszej literaturze; osobny, choć nie tylko metryką związany z Nową Falą. Od „Wierszy" (1967; potem były „Drugi", „Trzeci", „Czwarty" i „Piąty zbiór wierszy") rozpoznajemy ten sam wyrazisty charakter pisma. „Tematem jej są lęki egzystencjalne, koszmar senny, choroby, szaleństwo. Tonacja – jest spokojna, rzeczowa, chwilami ironiczna. Styl – cechuje precyzja i siła" – pisał Jerzy Kwiatkowski w 1970 r. Sąd świetnego krytyka okazał się jak zwykle trafny, a z biegiem lat poezja Lipskiej ogarniać zaczęła coraz rozleglejsze obszary, diagnozując współczesny świat i pułapki cywilizacji. Widać to zwłaszcza w „komputerowej" trylogii: „Czytnik linii papilarnych" (2015), „Pamięć operacyjna" (2017) i „Miłość w trybie awaryjnym" (2019).

„Czujne niczym wykrywacz kłamstw, uczciwe do bólu, podszyte snami i dlatego upiornie trzeźwe, przeszyte czymś na wskroś prawdziwym, przewleczone przez ucho paradoksu" – mówił o wierszach Lipskiej Paweł Próchniak, gdy odbierała w styczniu tego roku Nagrodę Jerzego Turowicza (potem był wrocławski Silesius). Dystans, ale też melancholia i skrywana czułość są u niej zawsze obecne. ©℗ TF

lację albo przynajmniej wypiła herbatę z magdalenkami. Jestem pewna, że nie byłby to stracony czas. Mogłabym się spotkać z Johannesem Keplerem i pogadać o „fizyce niebieskiej”...

Chciałaby Pani rozmawiać z matematykiem z przełomu XVI i XVII wieku?!

To także astronom i astrolog, Niemiec, jedna z ciekawszych, choć na pewno niełatwych postaci tamtych czasów. Czytałam o nim książkę. Nie miał łatwego życia, często chorował, miał kłopoty finansowe, był trudny, ale ja takich lubię. Miał naukową odwagę, dzięki czemu jego osiągnięcia z dziedziny astronomii, matematyki, geometrii czy optyki wykraczały poza epokę. Podejrzewam, że miał duszę poety, o czym świadczy esej „Noworoczny podarek albo o sześciokątnych płatkach śniegu”.

A gdyby Kepler w tej rozmowie zapytał o nasze życie i czasy, co by Pani powiedziała?

Podejrzewam, że gdybyśmy się spotkali, to terminy takie jak „moje czasy” czy „twoje czasy” już by nie istniały. W ogóle nie istniałby czas. Najwyżej jego historia – tego czasu – kołysałaby się na nieczynnym zegarze. Kropka.

Z kim jeszcze warto by porozmawiać?

Z grupą matematyków lwowskich... W międzywojniu spotykali się w kawiarni Szkockiej we Lwowie i robili notatki kopiowym ołówkiem na marmurowych blatach. Byli wielkimi uczonymi i mieli ogromne poczucie humoru. Wie pani, co to jest analiza funkcjonalna?

Nie mam pojęcia. Rozmawialibyście o matematyce?

Ja też nie mam pojęcia. Ale nie rozmawialibyśmy o matematyce... Chętnie bym też porozmawiała z Oliverem Sacksem, neurologiem, psychiatrą i pisarzem, autorem książki „Mężczyzna, który pomylił swoją żonę z kapeluszem” i paru innych, nie mniej ważnych. To może dlatego, że sama chciałam być psychiatrą i myślałam o studiach medycznych. Kiedy jednak medycyna zaczęła mnie studiować, to zrezygnowałam. Ale do dzisiaj interesuje mnie psychologia i psychiatria, dużo korzystam z rozmów z moją przyjaciółką, profesor Dominiką Dudek i czasami z ciekawością zaglądam do pisma „Psychiatria”.

EWA LIPSKA:

Oczekujemy, że przyszłość przyjdzie do nas piękna i młoda i powie: „Jestem. Wróciłam. Możesz ze mną zatańczyć”. A to jak na rysunku Edvarda Muncha: „Dwie dziewczyny i szkielet”.

Ale już dość o ludziach, których chciałabym spotkać, bo i tak najczęściej spotykam się ze sobą i mamy sobie dużo do powiedzenia.

A z tych ludzi, których Pani znała za życia?

Uparta! Sparafrazuję Wisławę: „oni są za blisko, aby mi się śnić”.

O kim Pani śni?

Moje sny przypominają surrealistyczne malarstwo Giorgia de Chirico. Puste ulice, dziwne kamienice, miasta, w których nigdy nie byłam. Nie pamiętam żadnej akcji.

Sny poetki.

Szekspir pisał, że jesteśmy z tego samego materiału, co nasze sny, ale ja nie jestem pewna. Nigdy nie zapisywałam snów. Kiedyś rozmawiałam z Lemem na ten temat. Twierdził, że sen to jedno z najbardziej niezrozumiałych zjawisk ustroju nie tylko ludzkiego. Bardzo rzadko śnią się umarli. Jeżeli sen bywa czasami fragmentem powieści, to oni są jej bohaterami. I wtedy coś się dzieje, jak w filmie... Moim zdaniem to często są odpryski rzeczywistości, odłamki sytuacji, fragmenty jawy. Może kiedyś powstanie taka aparatura, która będzie zapisywać nasze sny, a potem urodzi się jakiś nowy Freud i będzie je interpretował. Stanisław zapytał mnie kiedyś: „A nie śniło ci się nigdy, że dostałaś coś cennego, niekoniecznie materialnego, na przykład dziesięć tysięcy dolarów, i chcesz to wynieść na jawę?”. Odpowiedziałam, że bezpieczniej byłoby przenieść te pieniądze we śnie na konto. Staszek podsumował: „Mnie się to nieraz zdarzało, Basia to też miewała... W końcu się budzisz, a tu nic”. I tyle o snach.

Pisze Pani przy tym dużym stole, przy którym teraz siedzimy?

Tak, lubię go, mam jakiś szczególny związek z tym drewnem. Ten stół jest życzliwy, sprzyja moim papierom. Proszę popatrzeć, ile ich tu leży. Nie umiem pracować poza domem.

Nawet w domach pracy twórczej?

Nigdy w życiu. Z domów pracy twórczej pamiętam tylko balangi i spotkania towarzyskie. Stukot maszyny do pisania dochodził zaledwie z kilku pokoi. Poza tym były skandale większe i mniejsze, spotkania autorskie, czytania wierszy. Pamiętam, jak prof. Kazimierz Wyka wezwał mnie kiedyś, miałam wtedy dwadzieścia lat, wcisnął w rękę jakieś pieniądze i powiedział: „Leć, dziecko, do sklepu alkoholowego na Krupówki i przynieś pół literka, bo my tego czytania na trzeźwo nie przeżyjemy”. Autora wierszy czytanych tego wieczora nie zdradzę. Bywali koledzy, którzy wywieszali na drzwiach kartki: „Prosimy o spokój, tu się pracuje”. Sami przebywali w tym czasie w pobliskiej knajpie.

A gdy napisze Pani już wiersz. Daje go Pani do recenzji komuś, z kogo zdaniem się liczy?

Czasami, przed wydaniem tomiku przesyłałam go Jance Katz, mojej duńskiej tłumaczce, która była jednocześnie uznanym duńskim pisarzem. Miała niesłychany słuch na poezję. Niestety, Janka już nie żyje.

Może przez telefon czyta Pani komuś wiersze?

Nigdy – ani Jance, ani żadnej innej osobie, mam zbyt duże poczucie humoru. Ale zdarzyło mi się, że kiedyś mój kolega czytał mi swoje wiersze przez telefon. Było to wiele lat temu, dzielnie to zniosłam. Zresztą jestem wzrokowcem i muszę widzieć wiersz, inaczej ulatnia się natychmiast z mojej pamięci.

Tylko tyle w temacie?

Kobiety nie czytają wierszy przez telefon, to raczej przypadek męski. Ale pisząca kobieta traktowana jest wciąż z lekkim przymrużeniem oka. W kuchni gotuje rosołek, na balkonie rozwiesza pranie, a w międzyczasie napisze sobie wierszyk. Taki seksizm istnieje od początku świata. Dzisiaj jest dużo lepiej. Kobiety ↦

mężnieją, mężczyźni niewieścieją i jest coraz milej.

Wciąż mi nie dają spokoju ludzie z Pani przeszłości.

Nie męczmy nieboszczyków. Dajmy im spokojnie żyć. Może plącze się w nich jeszcze jakaś energia...

Wierzy Pani w energię?

Tylko.

I co z tą energią?

Krąży w kosmosie i czeka na swój czas.

A ten czas związany jest ze sztuczną inteligencją?

Sztuczna inteligencja to coś fascynującego. Ale też i niepokojącego. Jak zawsze z wielkimi wynalazkami. W końcu pierwiastek rad do dzisiaj leczy ludzi chorujących na raka, a równocześnie ma swój udział w stworzeniu bomby wodorowej. Współczesny wynalazca, filantrop, biznesmen Elon Musk ostrzega przed sztuczną inteligencją i uważa, że powinna być pod stałą publiczną kontrolą. Ale my wiemy, że to jest niemożliwe. Ona już wymknęła się z naszych rąk. Już maszyny za nas piszą, malują, a kiedy zaczną za nas myśleć?

To jeszcze na koniec: skąd pomysł na studiowanie malarstwa na ASP?

Bo mi się wydawało, że będę malarzem; że kolorem, barwą, kreską wyrażę siebie, swoje myśli. Ale okazało się, że słowo zepchnęło moje malowanie na margines. Teraz myślę, że mogłaby to zrobić muzyka wobec słowa. Ale już nie zdąży. Pianistą mogę zostać jedynie w kosmosie. Poza tym do studiowania na Akademii Sztuk Pięknych namawiał mnie ojciec. Zresztą do pisania też. Kiedyś znalazłam jego zeszyt z wierszami, były to wiersze okolicznościowe, ale niezłe. Ojciec chciał, abym to ja zrealizowała jego niespełnione marzenia i ambicje. To częste myślenie rodziców, którym wojna przerwała wszystkie plany.

A Pani plany? Co najbardziej wyszło w życiu?

Najbardziej wyszło mi w życiu samo życie.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

Pieśni tułacza

WOJCIECH JAGIELSKI

Odszedł, jak żył – wciąż w drodze, w tańcu, śpiewając ludziom o ich codziennym życiu, nadziejach i troskach. Był pieśniarzem, kronikarzem, kustoszem tożsamości i pamięci.

Cztery lata temu, niedługo po 62. urodzinach, Johnny Clegg dowiedział się, że jest śmiertelnie chory i że niewiele zostało mu życia. Przerwał koncerty, którymi odmierzał czas, i za radą lekarzy poszedł do szpitala, gdzie poddał się operacjom i sesjom chemioterapii. Kiedy dwa lata później umówił się na spotkanie z dziennikarzami, spodziewali się najgorszego.

„Mam raka trzustki... Już się z tego nie wykaraskam..." – wyznał w wywiadzie dla stacji Channel 24. Po czym oznajmił, że terapie i operacje poskutkowały na tyle, iż choroba zelżała, więc postanowił wyruszyć w pożegnalną trasę koncertową. Tak ją nazwał: „Ostatnia podróż". Spędził w niej prawie cały zeszły rok, odwiedzając Stany Zjednoczone, Kanadę, Dubaj, Mauritius, Wielką Brytanię i Francję, gdzie poza Południową Afryką cieszył się największą popularnością i gdzie ochrzczono go „Białym Zulusem" (szczerze tego nie znosił). I na koniec – ma się rozumieć – wystąpił w RPA. Ostatni koncert odbył się w styczniu w Port Elizabeth. Ci, którzy widzieli go na scenie, przysięgają, że nie wyglądał na chorego ani słabego. Ani starego – jeśli 65 lat oznacza starość.

To w tamtym czasie kolejny raz spotkał się z dziennikarzami. Mówił, że więcej już występować nie będzie, że założył fundację, która ma zbierać pieniądze na utrzymanie szkół dla najbiedniejszych, że pisze książkę o swoim życiu. „Napisałem jakieś 150 stron, a dopiero jestem w połowie" – powiedział. Sporo mówił też o śmierci, że o niej rozmyśla i że człowiek nie jest przecież wieczny i wszyscy kiedyś umrzemy: „Następne dwa lata będą w tej mojej podróży przez życie najtrudniejsze".

Okazało się, że były to ostatnie wypowiedziane publicznie słowa Clegga. 16 lipca jego stary przyjaciel i menadżer Roddy Quinn ogłosił: dziś po południu, w wieku 66 lat w rodzinnym domu w Johannesburgu, w obecności żony i synów, Jonathan „Johnny" Clegg skończył życie.

Taniec i tożsamość

Trochę jak Bob Dylan, zaprzeczał, ilekroć pytano go zaangażowanie w politykę. „Nie jestem żadnym politykiem, bo dla mnie polityk to ktoś, kto wiąże się z jakąś konkretną ideologią – powiedział w wywiadzie dla londyńskiego „Timesa". Był rok 1989, a w Południowej Afryce wciąż obowiązywał ustrój segregacji rasowej. – Nie opowiadam się za żadną partią polityczną, lecz za prawami człowieka".

W innym z wywiadów powiedział, że tym, co go pochłonęło bez reszty oraz ukształtowało jego życie, nie była polityka, ale tańce Zulusów, najliczniejszego z ludów zamieszkujących Południową Afrykę. Nawet zuluska muzyka nie uwiodła go tak bardzo jak tańce. „Kiedy pierwszy raz zobaczyłem, jak tańczą, doznałem olśnienia. Czułem, że jest w tym jakaś ta-

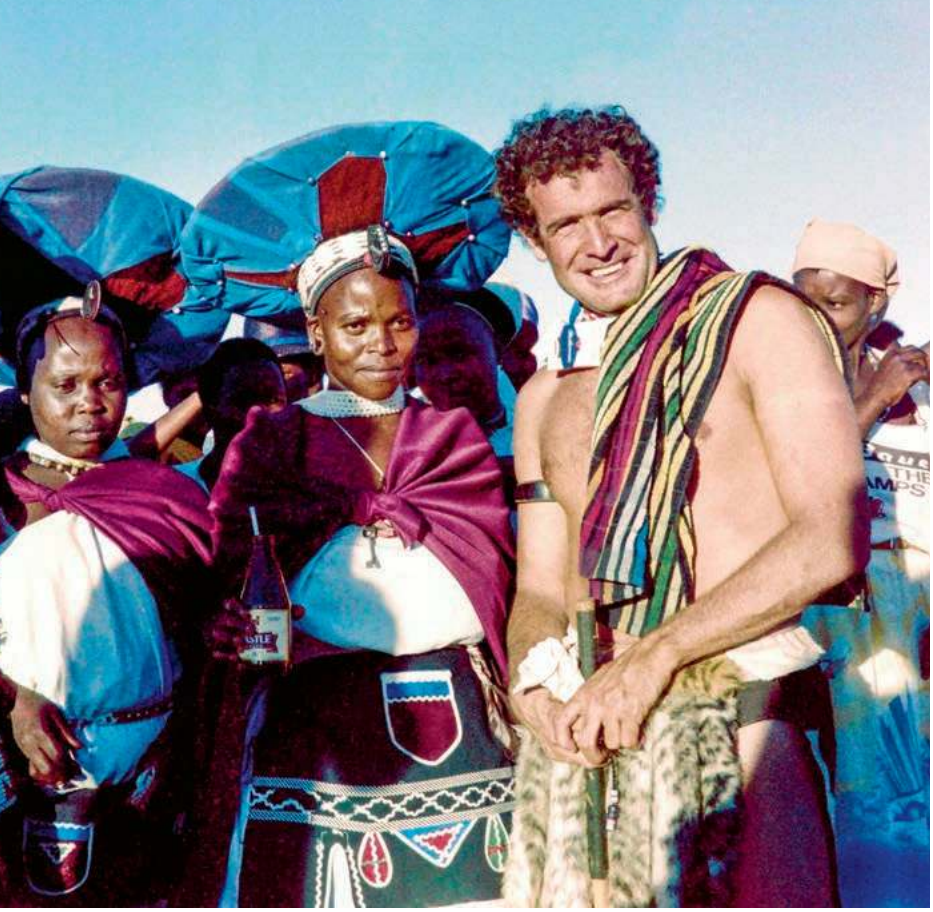

TREVOR SAMSON / AFP / EAST NEWS

Johnny Clegg (pierwszy z prawej) i jego żona Jennifer Bartlett (po lewej) na weselu zuluskim, prowincja Natal, Republika Południowej Afryki, 1989 r.

jemnica, którą coś kazało mi poznać. To było silniejsze ode mnie. Chciałem być jak oni" – wspominał.

Po latach dodał, że obcowanie z kulturą, tradycjami i zwyczajami Zulusów pomogło mu zrozumieć samego siebie, odnaleźć własną, afrykańską tożsamość.

Zulusi, potomkowie sławnych królów i władców potężnego imperium, Szaki i Dingaana, pokonani i podbici przez Brytyjczyków i Afrykanerów, z niegdysiejszych, wzbudzających trwogę wojowników przerodzili się w górników z kopalni złota, robotników rolnych, kucharzy, zamiataczy ulic. Ściągali za chlebem do białych miast. Mieszkali w nich w specjalnych osiedlach, na przedmieściach, z dala od domów białych państwa, którym służyli. W zastrzeżonych dla białych dzielnicach mogli przebywać tylko na czas pracy i potrzebowali do tego specjalnych przepustek. Po fajrancie musieli wracać do swoich baraków. Nie wolno im było sprowadzać rodzin, nie mieli żadnych praw. W osiedlach robotniczych wolno im było przebywać tylko tak długo, jak długo byli potrzebni białym. Jeśli tracili pracę, musieli wynosić się precz, szukać zarobku gdzie indziej. Białym też nie wolno było bez wyraźnego powodu pojawiać się na czarnych przedmieściach. Na tym właśnie, na całkowitym rozdzieleniu ludzi różnych ras, polegał ustrój apartheidu.

Zulusi i wszyscy inni czarnoskórzy mieszkańcy zawłaszczonej przez białych Południowej Afryki stali się tułaczami we własnym kraju. O ich tułaczym losie opowiadały pieśni z najsłynniejszą „Shosholozą" na czele. O tułaczce śpiewał też Johnny Clegg. „Wszyscy ludzie ruszający w świat za chlebem czy lepszym życiem są tułaczami. I wszystkich ich łączy poczucie wykluczenia. Wszędzie, czy to w Ameryce, w Europie, czy Afryce – powiedział w jednym z wywiadów. – Ta bliskość, jaką czułem z Zulusami, wynikała chyba właśnie z tego, że ja też czułem się tułaczem".

Płonne nadzieje

Urodził się w Anglii, jako syn Anglika i Żydówki z ówczesnej Rodezji Południowej, a dzisiejszego Zimbabwe, dawnej kolonii brytyjskiej na południu Afryki. Rodzina matki Johnny'ego wywodziła się z Litwy, najprawdopodobniej z tej jej części, która w tamtych czasach stanowiła część Polski. Kiedy poznała Dennisa, przyszłego ojca Johnny'ego, Muriel była piosenkarką jazzową i występowała w klubach muzycznych i kabaretach rodezyjskiej stolicy, Salisbury. Małżeństwo z Anglikiem nie przetrwało, a po rozwodzie Muriel postanowiła wrócić do Rodezji.

Johnny wciąż był małym chłopcem, gdy z matką i jej nowym mężem, Afrykanerem i dziennikarzem, przenieśli się do Południowej Afryki. Chcąc oszczędzić mu koczowniczego życia i uwolnić od więzów ustroju segregacji rasowej, a może żeby samej łatwiej zapuścić korzenie w nowym miejscu, matka posłała małego Johnny'ego do szkół z internatem w Zambii, a także do Izraela w nadziei (płonnej, jak się okazało), że syn da się wychować na bogobojnego żyda. Zanim kolejne małżeństwo matki się rozpadło, ojczym, liberał i buntownik (podobnie jak matka Johnny'ego), autor rubryk kryminalnych, zdążył wprowadzić chłopaka w świat czarnych przedmieść, gdzie do zbrodni dochodziło najczęściej, i nauczył, by nie patrzeć na ludzi przez pryzmat barwy ich skóry.

Wiodąc od dziecka tułacze życie (mieszkał w pięciu krajach, chodził do tuzina rozmaitych szkół), opuszczony zarówno przez ojca, jak i ojczyma, Johnny wychował się właściwie na ulicy i wśród rówieśników, których tam spotykał. Już jako młody chłopak sięgnął po gitarę i szybko nabrał w grze na niej sporej wprawy. Pewnego dnia Charlie Mzila, kilkunastoletni Zulus, który przyjeżdżał do dzielnicy Johnny'ego sprzątać u białych państwa, pokazał mu, jak stroi się gitarę na zuluską modłę, by grać muzykę *maskandi*. Nowy przyjaciel zgodził się też uczyć „białasa" zuluskich tańców i zuluskiej mowy.

Czarny w białej skórze

Mało który z afrykańskich ludów tak troskliwie jak Zulusi dba o tradycję, by utrzymać swoją tożsamość w niezmiennym kształcie. Dla młodego chłopaka, spragnionego akceptacji i wzoru do naśladowania, Zulusi z hoteli robotniczych stali się przybraną rodziną. Johnny spędzał z nimi każdą wolną chwilę. Starał się do nich we wszystkim upodobnić, wszystkiego się nauczyć, zwłaszcza tańców. „Taniec Zulusów najlepiej oddaje ich duszę – mówił. – To ciągła walka i tęsknota za wielkością i bohaterstwem".

Taniec Zulusów jest właściwie tańcem wojennym. Tancerze w lamparcich skórach i pióropuszach odgrywają sceny wyimaginowanych bitew. Nacierają, zadają ciosy włócznią, kopią, wymachując nogami wysoko, aż nad głowę, upadają, powstają, giną, zwyciężają. Najlepsi ↦

tancerze, jak dawniej wojownicy, zyskują podziw i sławę.

Johnny okazał się uczniem tak pojętnym, że wkrótce mówił biegle po zulusku, a w maturalnej klasie przyjaźnił się już tylko z Zulusami. „Nie jesteśmy Zulusami" – zwróciła mu kiedyś uwagę matka. „Ale jestem Afrykaninem" – odparł. „Podobnie jak ja" – powiedziała. „Ty? Ty tylko tu przebywasz, a ja stąd jestem".

Na czarnych przedmieściach zrobiło się głośno o białym chłopaku, grającym zuluską muzykę i tańczącym zuluskie tańce. Zuluscy robotnicy mieli zresztą nieraz okazję, by posłuchać jego gry i obejrzeć jego taniec. Choć prawa apartheidu surowo mu tego zabraniały, przyjeżdżał do hoteli robotniczych, by dawać w nich z Charliem Mzilą występy. Za złamanie nakazu rozdzielności ras po raz pierwszy został aresztowany jako 15-latek. Policjanci, którzy zaalarmowali matkę, nie mogli uwierzyć, że pozwala synowi zadawać się z „czarnuchami".

Wieści o białym gitarzyście, *umlungu omnyama*, czarnym w białej skórze, dotarły w końcu do Sipha Mchunu, znanego już zuluskiego muzyka i tancerza, który dorabiał w Johannesburgu jako ogrodnik. Spotkali się, zaprzyjaźnili, zaczęli grać razem, a w końcu w 1969 r. założyli zespół Juluka (trzech czarnoskórych muzyków i trzech białych), łączący muzykę Zulusów z zachodnią. Nikt nigdy wcześniej tak w RPA nie grał. Nikt nawet nie wpadł na pomysł, że można tak grać. Johnny miał wtedy 16 lat, Sipho był o dwa lata starszy.

Ale muzyka, tworzona i grana wspólnie przez białego i czarnego w apartheidowskiej Południowej Afryce była zakazana. Żadna rozgłośnia radiowa (telewizja, jako odwodząca ludzi od modlitwy, zaczęła działać w RPA dopiero w 1976 r.) nie nadawała ich utworów, nie wolno im było wspólnie występować.

„Obchodziliśmy przepisy albo je po prostu łamaliśmy" – wspominał Clegg w wywiadach. Biały basista podczas koncertu na czarnych przedmieściach zakładał maskę goryla, by policjanci nie widzieli koloru jego skóry. Czarnoskóry gitarzysta, grając w białym mieście, wychodził na scenę z wiadrem i ścierką, by w każdej chwili móc uchodzić za sprzątacza. „Nie mogliśmy dawać publicznych koncertów, więc występowaliśmy na uniwersytetach, na przykład na johannesburskim Witwatersrand, w kościołach, w hotelach robotniczych, w prywatnych domach. Zapraszały nas też niektóre ambasady" – opowiadał Clegg.

Na czarnych przedmieściach zrobiło się głośno **o białym chłopaku, grającym zuluską muzykę** i tańczącym zuluskie tańce.

Polityka ich dopadła

Choć odżegnywał się od politycznych manifestów, fakt, że występował z czarnoskórymi muzykami i grał zuluską muzykę, sprawiał, iż strażnicy apartheidu widzieli w nim wroga, a ich przeciwnicy – sprzymierzeńca. „Nie graliśmy z powodów politycznych, ale polityka nas dopadła" – komentował Clegg. Apartheid w każdej sferze życia starał się oddzielić czarne od białego, a Clegg, jakby na przekór, czarne z białym łączył. Ba! On, biały, próbował się upodobnić do Zulusa!

W 1979 r. z Mchunu nagrali pierwszą płytę „Universal Man". „Za czarne dla białych, za białe dla czarnych" – orzekli krytycy. Dopiero trzecia płyta, „African Litany", przyniosła muzykom pieniądze i zaproszenia na trasy koncertowe po Ameryce i Europie. Dopiero wtedy, gdy zdobyli światową sławę, władze Południowej Afryki pozwoliły Cleggowi i Mchunu występować razem. W 1985 r. na ich koncert na stadionie Ellis Park w Johannesburgu przyszło 100 tysięcy ludzi.

Sukces okazał się jednak końcem Juluki. Dochody ze sprzedaży płyty i koncertów sprawiły, że Clegg mógł pozwolić sobie na rezygnację z pracy wykładowcy antropologii na uniwersytecie. Sipho Mchunu zaś kupił stado bydła i wrócił do rodzinnej wioski i żon w Zululandzie. Muzyka jego zdaniem odciągała go od rzeczy w życiu najważniejszych – rodziny i życia wśród przyrody.

Clegg założył nowy zespół, Savuka, z którym odnosił sukcesy jeszcze większe niż z Juluką. Kapela została rozwiązana na początku lat 90., gdy Dudu „Zulu" Ndlovu, perkusista i partner Clegga od zuluskich tańców, zginął w strzelaninie podczas wojny taksówkowych gangów w Johannesburgu. Potem Clegg grał już sam.

Niewidzialny

Z Savuką nagrał swój najsławniejszy chyba utwór, „Asimbonangę": odę do Nelsona Mandeli (na mnie niezmiennie wrażenie robi jego utwór „Warsaw 1943 – I Never Betrayed The Revolution", zainspirowany wierszami Czesława Miłosza). Clegg napisał tę pieśń w 1986 r., gdy w Soweto trwało nowe powstanie przeciwko apartheidowskim władzom, a Mandela, skazany na dożywocie, ćwierć wieku przebywał w więzieniu. „Asimbonanga" znaczy w języku zuluskim „niewidzialny", „nie widzieliśmy go".

Po wtrąceniu Mandeli do więzienia władze zabroniły wymieniać w gazetach jego nazwiska, zakazały publikowania jego zdjęć. Czarni w Południowej Afryce wciąż uważali go za swojego przywódcę, ale nikt nie wiedział, jak po tylu latach niewoli Mandela wygląda, ani kim tak naprawdę jest. Pod koniec lat 80. „Asimbonanga" stała się jednym z hymnów śpiewanych przez przeciwników apartheidu podczas ulicznych wieców i marszów protestacyjnych.

W 1999 r., gdy Johnny Clegg rozpoczynał „Asimbonangą" koncert we Frankfurcie, na scenie pojawił się niespodziewanie Mandela, który – zwolniony w 1990 r. z więzienia i wybrany w 1994 r. na pierwszego czarnoskórego prezydenta Południowej Afryki – przechodził właśnie na polityczną emeryturę. „To była jedna z tych chwil w życiu, kiedy czujesz, że jesteś na samym szczycie, że wyżej się nie da – wspominał ten koncert Clegg. – Śpiewałem akurat refren, gdy publiczność zerwała się z miejsc, podniosła wrzawę. Pomyślałem: »Super! Znają ten utwór!«. Dopiero kiedy się odwróciłem, zobaczyłem, że zza kurtyny wyszedł Mandela. Gość, o którym napisałem tę pieśń, stał tuż obok mnie!".

W nowej Południowej Afryce, już pod rządami Mandeli, Clegg stał się skarbem narodowym, jak trębacz Hugh Masekela i pieśniarka Miriam Makeba. O Mandeli powiedział kiedyś, że nauczył się od niego, jak ważna jest cierpliwość przy pokonywaniu wszelkiego rodzaju przeciwności. Na pytanie dziennikarza, jaką rolę odegrał Mandela w jego życiu, odpowiedział: „Nauczył mnie, że historia to nie jest mgnienie oka, że nic nie dzieje się od razu. Nauczyłem się od niego, że nic nie jest doskonałe, a żeby doskonałym się stało, potrzeba zwykle czasu".

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

ARCHIWUM ALEKSANDRA FILIPOWICZA

Krzysztof Środa na bazarze Różyckiego, Warszawa

Daleko od szlaku

MICHAŁ SOWIŃSKI

W marokańskich knajpach nawet jeśli siedzi się przy stoliku samemu, zawsze podają do herbaty dwie szklanki. Nie wiadomo dlaczego. Ale jeśli przy stoliku siedzi Krzysztof Środa, to znaczy, że druga szklanka jest dla was.

Najważniejszy jest szczegół: szron jaśniejący na trawie wczesnojesiennym świtem, gdy idzie się z przyjacielem brzegiem jeziora z wędką na ramieniu. Albo drzwi do toalety w barze Dajana w Olecku, a raczej ich matowa szyba (chyba nikt nigdy nie stworzył tak wnikliwej i subtelnej analizy podobnego obiektu). Czasami chodzi bardziej o miejsce, a konkretniej o skomplikowane relacje świetlno-przestrzenne, jakie w nim zachodzą, jak choćby na dziedzińcu gmachu Ministerstwa Finansów, które nieoczekiwanie okazuje się „pułapką na wczesnowiosenne promienie słońca" – idealne warunki, aby na chwilę zamknąć oczy i pomyśleć o innych miejscach, czasem egzotycznie dalekich, częściej jednak bliskich i swojskich.

W tym gęstym strumieniu wspomnień, utkanym z tysiąca pozornie nieistotnych szczegółów, prędzej czy później pojawi się dłuższy passus o rybach albo owadach, jest też szansa na fragment o podróży (faktycznej bądź niedoszłej) na Kaukaz, a wszędzie, niczym monety w fontannie, błyskają metafory i porównania zaczerpnięte z języka ekonomii – wszak od setek lat wiadomo, że wyprawy są po to, żeby się wzbogacić.

Turysta

Wszystko dlatego, że Krzysztof Środa jest człowiekiem wielu profesji i pasji. Gdy zestawić je w jednej, zwięzłej notce biograficznej, wyglądają wręcz ekscentrycznie. W długiej rozmowie ze swoim przyjacielem – też pisarzem – Zbigniewem Mentzlem (często goszczącym również w jego opowieściach) podsumował je zwięźle: „Ryby, giełda i literatura".

Zapalony wędkarz (choć, jak wyznaje w najnowszej książce „Srebro ryb", od lat raczej teoretyk niż praktyk), spekulant giełdowy, a do tego tłumacz fachowej literatury ekonomicznej. No i nie bez znaczenia, że z wykształcenia filozof (ze ↦

szczególnymi skłonnościami do Husserla i fenomenologii w ogóle), a do tego podróżnik. Choć z tym ostatnim pewnie by się nie zgodził. „Teraz każdy jest podróżnikiem, a ja co najwyżej od czasu do czasu gdzieś pojadę" – zganił mnie kiedyś Andrzej Stasiuk przy autoryzacji swojej notki biograficznej. Tu chyba jest podobnie, trzeba więc uważać.

W tym problematycznym słowie „podróżnik" kryje się bowiem sedno problemu, wokół którego Środa krąży nieustannie w swoich książkach. Celowo używam tej nieokreślonej formy, gdyż klasyfikacja gatunkowa w tym przypadku jest zadaniem karkołomnym, o czym najlepiej mogą świadczyć problemy kapituły Nagrody Literackiej Gdynia. Środa był dwukrotnie nominowany w kategorii „esej" (a za „Projekt handlu kabardyńskimi końmi" w 2007 r. nawet nagrodzony), a raz w „prozie" (za „Las nie uprzedza" w 2017 r.) – choć bez wątpienia w obu przypadkach mamy do czynienia z tą samą materią literacką.

Znawca krajów

Jak autor sam przyznaje, pisząc pierwszą książkę („Niejasna sytuacja na kontynencie. Prywatny przewodnik po różnych stronach świata", 2003) czuł, że „go nosi", że musi gdzieś pojechać. Wyobraźnia nęciła egzotycznymi Chinami albo Mongolią, życiowa pragmatyka uprościła jednak te marzenia do formatu egipskiego kurortu, co prawda przed sezonem, ale wciąż. Żaden rasowy podróżnik raczej nie zdecydowałby się na tak pospolitą destynację, o próbach opisania nie wspominając.

Tu jednak ujawnia się maestria metody pisarskiej (można dodać, że także filozoficznej czy wręcz egzystencjalnej) – wszędzie da się znaleźć coś godnego uwagi, wystarczy odrobina cierpliwości i odpowiednio wyostrzone zmysły. „O zasadach targowania się, o nurkowaniu, wycieczkach, piramidach – nie warto pisać", bo to wszystko już zostało wypolerowane na gładko przez miliony par oczu, nie pozostawiając najmniejszej nawet szczeliny, w której mogłaby zagnieździć się ciekawość.

Wystarczy jednak pójść kawałek dalej, by zobaczyć surrealistyczny krajobraz ciągnących się po horyzont hoteli, ciągle i po wsze czasy w budowie. Nagie szkielety murów i ziejące pustką okna, niczym odarte ze skóry ciało albo pozbawiony obudowy silnik, układają się w „modernistyczne wariacje na temat architektury arabskiej", serwując gotowy materiał do wiwisekcji zbiorowych fantazji stojących za hasłem „Egipt".

Odwiedzając kurort, Środa przyjmuje formę turysty (czyli jeszcze gorzej niż podróżnika), aby wykorzystać jej nieoczekiwane możliwości. Turysta nie odwiedza dwa razy tego samego miejsca, rzeczywistość objawia mu się więc tylko raz, po czym znika na zawsze. Z kolei dla lokalnej społeczności sam przybysz jest bytem porównywalnie efemerycznym. Na styku tej widmowej relacji rodzi się energia zdolna zedrzeć z widzianego świata przynajmniej niektóre zasłony codzienności – dobrze nastrojony fenomenolog potrafi to wykorzystać.

I tak jest wszędzie – nieważne, czy chodzi o Rio Grande czy Szydłowiec, ukryte w korsykańskich górach wsie czy leżącą na Mazowszu miejscowość Bryzgów, gdzie znaleźć można stare, papierowe obrazy świętych oprawione w otwierane ramy.

Nie ma sensu podawać więcej przykładów, bo to jak streszczać poezję – diabeł tkwi w szczegółach: w unikalnym kadrowaniu, precyzji opisu (często kontrastowanej wdzięczną nonszalancją) i przede wszystkim subtelnym, ale i oszczędnym języku. A na koniec ten literacko-podróżniczy melanż (nie ma dobrego słowa na sposób, w jaki Środa przemieszcza się w przestrzeni, zostańmy więc przy tym ogólnym terminie) filtrowany jest przez unikalną wrażliwość, co pozwala w alchemiczny sposób zamienić ołowianą banalność świata w okruchy złota.

Światło i herbata

Jak sam przyznaje, ma obsesję Maroka, kraju z polskiej perspektywy egzotycznego, ale jednocześnie bliskiego, w zasięgu wyobraźni i czarterowego lotu. Nie chodzi jednak o ekstremalne wyprawy z plecakiem przez pustynię, ale raczej o ucieczkę przed nadwiślańską szarością rozciągającego się przez pół roku listopada. „Gdyby nie to światło – no i ta herbata – przyjechałbym do Maroka raz czy dwa, a potem znalazłbym inny kraj" – pisze.

Przyjrzyjmy się zatem bliżej owej herbacie: „Oni robią to tak, że przechylają czajniczek jakieś dziesięć centymetrów nad szklanką, a kiedy herbata już cieknie, podnoszą go zdecydowanym, lecz płynnym ruchem – może nie na pół metra, ale niewiele brakuje – żeby chwilę później, kiedy szklanka jest prawie pełna, opuścić go równie gwałtownie i przechylić do tyłu. Próbuję ich naśladować i wychodzi mi to coraz lepiej". Opis ciągnie się jeszcze długo: jest o utlenianiu i zmiękczaniu garbników, o cukrze, który można aplikować na wiele sposobów, tworząc w aromatycznym płynie najróżniejsze słodko-gorzkie relacje, a także dłuższy passus o poszukiwaniu zapalniczki, bez której nie dałoby się zapalić dwóch papierosów marki Winston kupionych na sztuki w pobliskim kiosku.

W marokańskich knajpach jest taki zwyczaj, że nawet jeśli siedzi się przy stoliku samemu, zawsze podają do herbaty dwie szklanki. Dlaczego? Nie wiadomo na pewno, ale są dwie hipotezy. Według pierwszej chodzi o to, żeby łatwiej przelewać, dolewać i mieszać – dodatkowe naczynie okazuje się bardzo przydatne przy tej rytualnej procedurze. I choć liczba wariantów wydaje się nieskończona, poświęcając odpowiednio dużo czasu (a skrupulatności Środy w tej kwestii mo-

SCOTT CRAMER / ADOBE STOCK

żemy być absolutnie pewni), można przetestować ich na tyle dużo, żeby pokusić się o wstępne wnioski na temat natury tego niezwykłego napoju.

Druga hipoteza na temat dodatkowego naczynia jest socjologiczna. Chodzi o to, że siedząc przy stoliku i rozkoszując się miętowym naparem w upalne popołudnie (pół godziny to absolutne minimum), często spotykamy kogoś znajomego – dysponując drugą szklanką, łatwiej namówić go, aby się przysiadł choć na chwilę. Jak można zauważyć, obie teorie nie tylko nie stoją ze sobą w sprzeczności, ale wręcz w doskonały sposób się uzupełniają.

Dokładnie tak samo, jak opowieści, które serwuje nam Środa – wpierw nieco zdziwieni obserwujemy z rosnącym podziwem finezję, z jaką analizuje optymalny podział twardej kostki cukru i „rozgałęziające się z każdą przelewką kontinuum goryczy i słodkości". Początkowo scena wydaje się intymna, do tego bardzo poważna – wszak to jeden z wielu fenomenologicznych eksperymentów, jakim Środa poddaje rzeczywistość, w poszukiwaniu jej zawsze nieuchwytnej natury. Jednak szybko odkrywamy, że ta druga szklanka czeka przecież dla nas – w każdej chwili możemy się dosiąść i samemu rozpocząć studia nad tajemnicą marokańskiej herbaty.

Wolałbym nie pisać tej książki

Nie da się jednak tego zrobić ot tak, z biegu. Rozczaruje się ten, kto będzie chciał wyłowić z tej prozy jedynie garść efektownych anegdotek. Opowieści Środy są gęste i kręte, płyną z nurtem pamięci, często meandrując, nierzadko trafiają się też ślepe odnogi. Całość jednak, choć pozbawiona wyraźnego początku i końca, ma wyraźną strukturę, której rytm przypomina medytację.

Środa pisze niewiele, do tego bardzo powoli – skromne objętościowo książeczki (w sumie ma ich w dorobku pięć) powstają latami. Do tego kilka esejów porozrzucanych po antologiach i internecie – w sumie tyle, co jeden solidny szwedzki kryminał.

Brak pośpiechu i swoboda, jaką daje celowy wybór marginesu marketingowo-wydawniczej logiki, gwarantuje tej prozie niewymuszoną lekkość, której nie należy mylić z łatwością. Środa twierdzi, że w pisaniu najgorzej przekombinować, a mimo to piętrzy przed czytelnikiem kolejne wyzwania. Nie próbuje przy tym na siłę uwodzić ani imponować, hołduje raczej staroświeckiej zasadzie, w myśl której wszystko, co wartościowe, wymaga wysiłku.

Dla Środy ważny jest sam mechanizm – zarówno pamięci, jak i literatury. Jeśli mamy do czynienia z dziennikiem z podróży (a wczesne książki przybierają taką formę), to pojawiające się tam daty są czysto umowne, stanowią podstawową strukturę, która niczego jednak nie porządkuje – poziom zero wspomnień, z którego coś może (ale przecież nie musi) się ułożyć. Więcej – same wpisy odnoszące się do poszczególnych miejsc, osób czy zdarzeń stanowią ledwie połowę całości.

Druga część, być może ważniejsza, to komentarz.

Problem bowiem polega na tym, że zapis zawsze jest spóźniony względem rzeczywistości. Dlatego każda próba przyszpilenia świata w opisie kończy się porażką (z której trzeba zdać relację). Jej dotkliwość łagodzi jednak pogodnie melancholijna natura samego badacza, w czym słychać dalekie echa klasyków ponowoczesności.

Nie może dziwić więc, że każda podróż jest tak naprawdę wspomnieniem innych, wcześniejszych wypraw, ewentualnie planowaniem kolejnych – zawsze lepiej być gdzie indziej. Dlatego gdy raz za razem czytamy, że autor wolałby nie pisać tej czy innej książki, powinniśmy te bolesne wyznania potraktować poważnie – na tyle, na ile jest to jeszcze dziś możliwe.

Dlaczego? Ponieważ najtrudniej jest opisać to, co tu i teraz. Problem, choć zbanalizowany przez poppsychologów i innych inżynierów od wydajności życia, pozostaje paląco aktualny. Teraźniejszość ze swoją zagadkową i nieuchwytną naturą wciąż stanowi wyzwanie, wobec którego bezradne pozostają nawet najcięższe filozoficzne działa. Na szczęście ratunkiem przed szaleństwem ciągłego gnania tam, gdzie aktualnie nas nie ma, okazują się ryby.

Lustro wody

Ryby dają wytchnienie, gdy świata staje się za dużo, gdy przestaje się mieścić w języku i opowieściach. „Przyzwyczaiłem się pisać o rzeczach, które widziałem" – mówi Środa, czym wprowadza fundamentalne dla filozofa-fenomenologa rozróżnienie na świat widzialny i niewidzialny. O zmaganiach z tym pierwszym z grubsza opowiadają cztery pierwsze jego książki. Medytacja, podróżowanie i przyjmowanie formy turysty – to wszystko strategie mające pomóc uchwycić subtelną fakturę rzeczywistości. Inaczej wygląda sprawa z rybami, którym poświęcony jest najnowszy tom.

I choć wątki ichtiologiczne pojawiają się już wcześniej, rozsiane tu i ówdzie między kolejnymi wyprawami do Armenii czy Maroka, w „Srebrze ryb" mamy do czynienia z próbą systematycznego studium nad naturą tych dziwnych stworzeń, żyjących po drugiej stronie lustra wody: „Ryby doskonale widoczne mają zaledwie połowę uroku ryb niewidocznych lub ledwie widocznych – tych, które pojawiają się jak duchy pod powierzchnią wody i chwilę później znikają. Nie ma w nich żadnej tajemnicy. Bycie widocznymi jest sprzeczne z ich naturą".

Dlatego wędkarstwo jest czynnością najbardziej jak to możliwe zbliżoną do metafizyki w tym jeśli nie ateistycznym, to z pewnością agnostycznym świecie. ↦

↦ Zapewne dlatego tak trudno o nim pisać. Albo inaczej: tak łatwo o nim nie pisać. Ptaki, motyle i inne owady ze swoją nieprzyzwoitą i ostentacyjną wręcz różnorodnością kolorów, wzorów i kształtów prowokują do „uznania ich za litery alfabetu". I choć tej nieskończonej ilości komunikowanych nam znaków nie zdołamy nigdy rozszyfrować, wciąż pojawia się przymus analizy i opisu. Z rybami jest inaczej – zawsze pozostają ukryte, a ich obecności w ciemnych odmętach jeziora bądź rzeki możemy się co najwyżej domyślać.

Skoro nie istnieje rybi alfabet, można pisać wyłącznie o tym, co dookoła. I o tym właśnie opowiada „Srebro ryb": o rodzajach wędek i łowisk, o wyprawach nad jeziora i rzeki, o najróżniejszych próbach klasyfikacji wodnych stworzeń. W ten sposób dokładnie wytyczone zostają granice nieopisywalnego, mrocznego jądra. Bo albo się pisze, albo zawiesza się wzrok na spławiku: *tertium non datur*, twierdzi Środa. To oczywiście paradoks stary jak cała nowoczesna literatura, w której co rusz jakiś Marcel albo Witold odkrywa, że świata nie da się jednocześnie przeżywać i opisywać.

W przeciwieństwie do nich Środa nie tylko chętnie godzi się z tym rozpoznaniem, ale wręcz przyjmuje je z wytchnieniem. Bo przecież dobrze jest czasem spojrzeć na świat odbity w lustrze wody, nie przejmując się tajemnicami skrywanymi w mrocznej, albo i mętnej, toni.

©℗ MICHAŁ SOWIŃSKI

▪ *Krzysztof Środa*
SREBRO RYB
Czarne,
Wołowiec 2019

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

Inny koniec świata

ANITA PIOTROWSKA

To anemiczny i zarazem bardzo mięsny horror nakręcony przeciwko rutynie, w jakiej pogrążamy się wszyscy: zjadacze horrorów i innych filmowych dań, niedostrzegający, że prawdziwy horror właśnie się dokonuje.

KINO ROBI SIĘ ZA POMOCĄ UMARŁYCH. Bierze się umarłych i każe się im chodzić po ekranie". Choć francuski antropolog kultury Edgar Morin nie dożył filmów Jima Jarmuscha, najnowszy tytuł amerykańskiego reżysera śmiało mógłby być ilustracją tego właśnie cytatu, zaczerpniętego z tomu „Kino i wyobraźnia" (tłum. Konrad Eberhardt). I wcale nie dlatego, że w żartobliwym horrorze „Truposze nie umierają" żywy trup zaiste ściele się gęsto. Cały ten film zrobiony został z kina, a właściwie z jego widm i powidoków. Tymczasem gdzieś w tle toczy się całkiem poważna wojna kulturowa, która dziś staje się udziałem nie tylko mieszkańców USA.

Bill Murray, Tilda Swinton, Tom Waits, Steve Buscemi, Iggy Pop, Adam Driver... Już sam skład obsadowy wskazuje, że mamy do czynienia z filmową bombonierką, nawet jeśli trochę zwietrzałą. Zdaniem domorosłych filozofów, nigdy nie wiesz, co z takiej bombonierki wyciągniesz, lecz tym razem ci bardzo charakterystyczni aktorzy co i raz puszczają do nas oko, zapraszając do jakiegoś innego, dobrze już znanego uniwersum.

Taki na przykład Driver: jako ospały małomiasteczkowy policjant i nieustraszony pogromca zombie odsyła wprost zarówno do samego Jarmuscha (bohater nazywa się Peterson, a stąd już blisko do „Patersona", ich poprzedniego wspólnego filmu), zaś chwilę potem do „Gwiezdnych wojen", gdzie zagrał wnuka Dartha Vadera. Kino to kraina zombie, czyli ożywionych umarlaków, które w różnych wcieleniach nawiedzają naszą wyobraźnię – zdaje się brzmieć przewodnia i średnio odkrywcza myśl „Truposzy". Jednakże Jarmusch chce być nie tylko autoironicznym trefnisiem, ale i gorzkim diagnostą współczesności. W zabitym deskami Centerville umarli wstają z grobów, by wstrząsnąć jego zgnuśniałymi mieszkańcami, którzy sami, jeszcze za życia, utracili dusze.

Nie od dziś wiadomo, że zombie mogą być metaforą polityczną i zbiorowym wyrzutem sumienia. Kiedy nagle w miasteczku stają zegarki, słońce przestaje zachodzić, a zwierzęta zaczynają zachowywać się dziwnie, wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia z biblijną apokalipsą. Tymczasem z powodu odwiertów na biegunie uległa przesunięciu oś Ziemi. Rabunkowa gospodarka zasobami naturalnymi i systemowe lekceważenie jej następstw doprowadziły naszą planetę na skraj przepaści. Innego końca świata nie będzie? Mimo to mieszkańcy Centerville próbują żyć, jak gdyby nigdy nic. I nawet po śmierci domagają się dobrego wi-fi, mocnej kawy czy taniego wina – innego raju też widocznie nie ma.

Jarmusch opowiada o tym z jedyną w swoim rodzaju leniwą swadą, szukając nadzwyczajności w zwyczajności i na odwrót. Przywiązani do broni palnej, ksenofobiczni i obskuranccy lokalsi sami zachowują się jak zombie. Prócz trójki policjantów – okularników przeciwko żywym trupom wyrusza ekscentryczna właścicielka domu pogrzebowego (Swinton), buddystka i samurajka, która przybyła tu nie tylko z innej kultury (jest prawdopodobnie Szkotką) i nie tylko z innych filmów Jarmuscha, ale – jak się wkrótce okaże – także z zupełnie innego gatunku filmowego. Ze swoją słynną kamienną twarzą twórca „Inaczej niż w raju" rozbija więc wszelką powagę i grozę, raz absurdalnie komicznym detalem, to znów natrętną powtarzalnością pewnego motywu. W tym wypadku będzie nim piosenka country „The Dead Don't Die", z której film

MATERIAŁY PRASOWE

Tom Waits w filmie „Truposze nie umierają”

czerpie swój tytuł i która świetnie oddaje swojski klimat amerykańskiej prowincji. Przygląda się jej z lasu włochaty pustelnik (Waits) – symbol jakiejś pierwotnej mądrości, dziś już omszałej, zepchniętej na kulturowe peryferia, zamkniętej w rezerwacie dla dziwaków. I będący w dużej mierze głosem samego reżysera.

„Truposze nie umierają” to autotematyczny, anemiczny i zarazem bardzo mięsny horror nakręcony przeciwko rutynie, w jakiej pogrążamy się wszyscy – zjadacze horrorów oraz innych filmowo-serialowych dań, tych mięsnych i bezmięsnych, niedostrzegający, że prawdziwy horror właśnie się dokonuje. Natura u Jarmuscha bierze odwet i nie oszczędzi przy tym nikogo: ani stróżów prawa, ani dzieci, ani ironicznych hipsterów. W sukurs przychodzą jej nasi umarli, wegetujący za życia i po śmierci, nieposiadający nic prócz swoich żarłocznych i nadpsutych ciał.

Zmasowany atak wygłodniałych umarlaków zostaje tu wzięty w oczywisty cudzysłów i na każdym kroku, a raz nawet bardzo dosłownie, przypomina nam się, że przecież to tylko film. W dodatku ulepiony z bezpośrednich aluzji do innych, klasycznych już filmów: horrorów o Nosferatu, „Psychozy” Hitchcocka czy „Nocy żywych trupów” George’a Romero. Jarmusch wybudza jednak przede wszystkim upiory dzisiejszej Ameryki, ożywione i uszminkowane w epoce Trumpa. Bezpardonowo wpuszcza je w codzienność i wypowiada im brutalną, acz koniec końców pozbawioną większej nadziei walkę.

Można by się zastanawiać, czy nie wiedząc, iż za kamerą „Truposzy” stoi twórca „Truposza” i „Ghost Doga”, dalibyśmy mu taki sam kredyt uwagi. Zapewne nie, tworzy się tu bowiem sieć porozumienia wykraczająca poza ramy jednego tylko ekranu. Ale nawet gdyby wszystko sprowadzić do połamanego tańca zombiaków, niczym w teledysku „Thriller” Michaela Jacksona, i do kilku porozumiewawczych mrugnięć, to przecież ten umiarkowanie śmieszny i straszny film swoją ostentacyjną martwotą i nieustającą reanimacją wyszydza również sam siebie. Czyli współczesny krwisty film zaangażowany, złożony z coraz bardziej żywych lęków i coraz bardziej martwych klisz. ©

TRUPOSZE NIE UMIERAJĄ *(The Dead Don’t Die) – reż. Jim Jarmusch. Prod. USA 2019. Dystryb. Gutek Film.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [3 – 9 VIII]

1. Styks

Dramat, reż. Wolfgang Fischer, Niemcy 2018, Cinemax 2, 4 VIII, 20.30, 5 VIII, 11.40

Żeglująca samotnie po Atlantyku lekarka trafia na łódź pełną wyczerpanych podróżą uchodźców. Kobieta zmuszona zostaje do podjęcia decyzji, które przerosną jej dotychczasowe możliwości i kompetencje. Film otrzymał nagrodę Jury Ekumenicznego na ubiegłorocznym festiwalu w Berlinie.

2. Bracia Sisters

Western, reż. Jacques Audiard, Francja/ /Hiszpania/USA/ /Rumunia 2018, CHILI

Europejski reżyser („Prorok”, „Imigranci”) ożywia najbardziej amerykański gatunek filmowy – i robi to w świetnym stylu. Historia poszukiwaczy złota z połowy XIX wieku zamienia się w brutalną przypowieść o chciwości i lojalności. W rolach głównych występują John C. Reilly, Joaquin Phoenix i Jake Gyllenhaal.

3. Nina

Dramat, reż. Olga Chajdas, Polska 2018, Cineman VOD

Tytułowa bohaterka nagradzanego w Polsce i za granicą debiutu to nauczycielka i mężatka, która niespodziewanie ulega erotycznej fascynacji wyzwoloną dziewczyną. Julia Kijowska i Eliza Rycembel tworzą tu elektryzujący aktorski duet, zaś Andrzej Konopka wciela się w rolę męża próbującego odnaleźć się w nowej sytuacji.

4. Morderstwo w Alcàsser

Miniserial dokumentalny, Hiszpania 2019, Netflix

Kiedy pod koniec 1992 r. zniknęły bez śladu trzy dziewczęta z okolic Walencji, hiszpańska opinia publiczna przeżyła silny wstrząs. Twórcy serialu odtwarzają okoliczności zdarzenia i jego następstwa, a w szczególności medialny spektakl, który towarzyszył całej sprawie i miał wpływ na jej sądowy przebieg.

JAN

Klata: *Prze-wrażliwcy w bańkach*

Czym byłby świat bez szczypty paranoi? Ujutną nudą, zapewne, a z pewnością niemożliwością. Poszukiwacze sprzeczności nie muszą się daleko rozglądać, żeby jęknąć z zachwytu nad paradoksami ludzkiej (bez)myśli. Pierwszy z brzegu przykład: oto w ramach „uczynienia ziemi lepszym miejscem" ocenzurowano i oskarżono o rasizm przyjaciółkę oraz niestrudzoną popularyzatorkę twórczości Juliusa Eastmana. Mary Jane Leach, osoba wielce zasłużona na niwie współczesnej muzykologii, podczas wykładu w Kanadzie pozwoliła sobie... wypowiedzieć głośno trzy tytuły kompozycji Eastmana. Jakie tytuły? No, nie wiem, czy wystarczy mi odwagi, tupetu i sił, aby narażać „Tygodnik Powszechny" na falę oburzenia, pikiety na ulicy Wiślnej... ale spróbuję, nadludzką wolą graniczącą z cudem napisać tak, jak kompozytor Eastman sobie zażyczył: „Crazy Nigger", „Dirty Nigger"" oraz „Nigger Faggot". Uff, teraz mamy to z głowy. Poszło. Nie muszę wzmiankować, że Julius Eastman nie był członkiem Młodzieży Wszechpolskiej, ale ciemnoskórym homoseksualistą, co dodaje sprawie nie tyle pikanterii, co po prostu fundamentalnego kontekstu.

Mary Jane Leach, autorka monografii „Gay Guerrilla: Julius Eastman and His Music", ma pecha, że jest biała, więc wykład przerwano i oskarżono ją o rasizm oraz homofobię. Odwołano koncert z jej muzyką, ale uszła z życiem.

W cenzorskich wzmożeniach nie masz Żyda ni Greczyna, cykl zachowań absurdalnych musi pracować pełną parą, popychając świat ku lepszemu jutru, heroiczne profilaktyczne zabranianie ma przyspieszyć ów proces. Oczywiście w pełni zdaję sobie sprawę, że rzecz cała wydarzyła się na kampusie w Kanadzie, a teraz tutaj w Polsce jest nie Kanada, ale Białystok. Hmmm, w Białymstoku jest Białystok, ale gdzie indziej już bywa Kanada. Niezależnie od mentalnej geografii paranoje się namnażają, ludzie generalnie przestają chcieć być narażani na poglądy, których nie podzielają, zarówno na stadionowych trybunach, jak i w uniwersyteckich ławach, ludzie generalnie zaczynają bardzo lubić czuć się urażeni (a urazić ich łatwo, w jedną i w drugą stronę), ludzie świetnie się czują w komfortowych środowiskowych bańkach i banieczkach ze swoim naukawym korpospikiem uniwersyteckim lub jakimkolwiek innym, jedynie słusznym żargonem. Żeby móc pielęgnować swą moralną wyższość, żeby tylko nie było przykro, ale bezpiecznie i przyjemnie.

Po co babcię denerwować, niech się babcia cieszy. ©

Lektor: *Pomnik Plant*

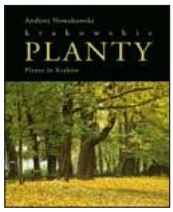

PLANTY KRAKOWSKIE
Fotografie wykonał, całość ułożył i wstępem opatrzył Andrzej Nowakowski. Współpraca Jan Sadkiewicz. Wydawnictwo Universitas, Kraków 2019, ss. 448.

Andrzej Wajda wyznał niedługo przed śmiercią, że obrazem raju są dla niego „Planty latem, w słońcu". „Ten zakątek Plant z posągiem Lilli Wenedy, w której zawsze widzę Dan..., jest jednym z kilku na ziemi miejsc błogosławionych przez bogów" – notował z kolei Julian Przyboś w „Zapiskach bez daty". Zdziwiło mnie kiedyś, że poeta – herold nowoczesności – zachwycił się akademicką rzeźbą Alfreda Dauna, choć rozumiem, że właściwe źródło zachwytu było inne. Chcecie więcej podobnych wypowiedzi? Autor we wstępie zebrał ich jeszcze kilkadziesiąt.

Tak czy inaczej, Planty są miejscem niezwykłym, niezależnie od tego, czy ktoś zrósł się z nimi od dzieciństwa, czy zobaczył je już w wieku dojrzałym. Park założony na miejscu zburzonych i splantowanych obwarowań miejskich do dziś wyznacza najważniejszą w Krakowie granicę. Przez pół wieku mieszkałem blisko ulicy Karmelickiej, dwadzieścia minut drogi do Rynku, ale zawsze „wyjście do miasta" oznaczało przekroczenie magicznego zielonego pasa.

Prócz Lilli Wenedy stoi na Plantach sporo innych pomników, częściej mniej niż bardziej udanych – teraz dołączył do nich ten album. Udany. To naprawdę raczej pomnik niż zwykła książka: do jego studiowania niezbędny jest wielki stół, a osobom słabowitszym przydałby się i podnośnik. Piękne zdjęcia wykonane we wszystkich porach roku (ze szczególnym wyczuciem kolorystyki jesieni!) przez Andrzeja Nowakowskiego – polonistę, historyka sztuki i fotografa, który wcześniej sportretował wspaniale m.in. ołtarz mariacki Wita Stwosza, gdański „Sąd Ostateczny" Memlinga i niektóre kolegia Uniwersytetu Jagiellońskiego – stanowią tylko część tomu. Wprowadzeniem do nich są studia poświęcone historii Plant od chwili podjęcia decyzji o zburzeniu murów, ich kształtowaniu się na tle ówczesnej sztuki ogrodowej i obecnemu stanowi plantowej zieleni (Bogusław Krasnowolski, Roman Marcinek, Zbigniew Myczkowski, Agata Zachariasz, Katarzyna Fabijanowska, Piotr Kempf, Mikołaj M. Kornecki). O fotografiach i widokówkach z Plant piszą Maria Miśkowiec, Krzysztof Jakubowski i (na podstawie własnych zbiorów) Marek Sosenko, o rzeźbach – Elżbieta Lang, a podsumowaniem jest szczegółowe kalendarium. Wszystko to także po angielsku. Zabrakło mi tylko tekstu o faunie Plant, a zwłaszcza ptakach – no, ale nie można mieć wszystkiego... ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Korzenny Korzeniowski

„Spośród wszelkich książek, jakie od najdawniejszych czasów powstały dzięki ludzkiemu talentowi i zabiegom, tylko te, które traktują o gotowaniu, są, z punktu widzenia moralnego, ponad wszelkimi podejrzeniami. Książka kucharska ma jeden jasny cel. Trudno sobie wyobrazić, by miała inne zadanie niż takie, by przyczynić się do przyrostu szczęścia ludzkości". 96 lat mija, odkąd Joseph Conrad napisał wstęp do „Poradnika gotowania dla małego gospodarstwa domowego" swojej żony Jess. Czy raczej powinienem powiedzieć Józef Konrad Korzeniowski? Boris Johnson, obiecując rychły brexit, nawet się nie spodziewa, że pierwszym ciosem, jaki spadnie na Królestwo, które z niesmakiem musiała mu powierzyć w zarząd najcierpliwsza z królowych, będzie nota polskiej ambasady z żądaniem, aby jego naród zaprzestał przywłaszczać sobie zasługi wielkiego Polaka, cóż z tego, że spisane po angielsku. Niech wyjście z Unii ich zaboli, polska dyplomacja będzie miała wreszcie jakiś godny cel.

Korzeniowski nie ukrywa, że o gotowaniu nie ma pojęcia i że powoduje nim tylko „uczucie serdecznego zainteresowania", z którym zwykł patrzeć na krzątaninę autorki. „Dobre gotowanie to czynnik moralny. Za dobre gotowanie uważam sumienne przygotowanie prostego jedzenia stanowiącego część codziennego życia, a nie mniej lub bardziej zręczne kombinowanie czczych bankietów i rzadkich dań. Przyzwoitość w naszym życiu jest w dużym stopniu kwestią dobrego smaku, poprawnego docenienia, co takiego wspaniałego tkwi w prostocie. Sumienne gotowanie, ułatwiając proces trawienia, sprzyja pogodzie umysłu, wytworności myślenia oraz pobłażliwości w spojrzeniu na wady naszych sąsiadów – a to jedyna autentyczna forma optymizmu".

Korzeniowski bywał umieszczany (w opozycji do relatywisty Gombrowicza) u źródeł szkoły szukającej w literaturze instrukcji hartowania ludzkiej stali. Do niej zaliczano także tego poetę, który o kwestii smaku napisał wielki wiersz, niestety czytany topornie jako prosty pamflet na komunę. Co Herbert rzekłby o optymizmie wyrosłym na grząskim gruncie pobłażliwości? Sobie pobłażał na pewno.

Wspaniałość prostoty i łatwe trawienie – nie każdemu mężczyźnie żona to zapewni. Ba! Nie każdemu narodowi. „Wielki znawca Indian północnej Ameryki wyjaśniał mi przesadne okrucieństwo typowe dla tych dzikusów teorią, że jako rasa cierpią oni na wieczną niestrawność. Szlachetny Czerwonoskóry był zacnym myśliwym, ale jego żona nie opanowała sztuki sumiennego gotowania. Siedem plemion wokół Wielkich Jezior i plemiona Wielkich Równin padło ofiarą dyspepsji. Czerwonoskórzy byli wielkimi wojownikami, wielkimi mówcami, dokonywali wspaniałych wyczynów na otwartej przestrzeni. Ale domowe życie ich wigwamów było naznaczone pożałowania godną drażliwością, która jest skutkiem spożywania źle przygotowanych potraw. Żyli w opłakanej zależności od sztuczek znachorów i szarlatanów, którzy dręczyli ich żywot pustymi obietnicami od kołyski aż po grób".

Pachnie brzydko? Czytajmy dalej, rasizm jest tu obosieczny: „Znachorzy nowoczesnej cywilizacji żerują na rasach czystej krwi anglosaskiej, która też składa się z wielkich wojowników, mówców i myśliwych. Żadne jednak cnoty nie zapewnią szczęścia, jeśli świadomość narodu będzie lekceważyć szlachetną sztukę gotowania. Wiele zawdzięczamy rozmyślaniom naszych mędrców, ale zdrowa wizja życia rodzi się przede wszystkim w kuchni. A zdrowa wizja życia wyklucza wiarę w mikstury i lekarstwa. Zdrowa wizja życia nie może wszak nie być radosna i pełna życzliwości, tymczasem ten, kto wierzy w działanie mikstur, tonie w pomroce strachów, posępnych giermków zaburzonego trawienia".

Przy całej ciężkostrawności prozy Korzeniowskiego nie umiem z niej zrezygnować, bo wyznaczył raz na całą epokę ramy myślenia o życiu w cieniu sprzeczności, między siłą zasad a chwiejnością uczuć, między moralnością prawa i amoralnością struktur państwa. Dziś wracam do niego, bo zastanawia mnie, jaki rodzaj dyspepsji trawi rasę czystej krwi słowiańskiej. Obsiedli ją szarlatani sprzedający mikstury – wszak trzy czwarte mediów, także tych poważnych, to podkładka pod reklamy suplementów i pigułek na wszystko. Ich producenci są zaiste złotymi sponsorami debaty publicznej. Ale to prawda również w przenośni. Pora roku sprzyja prostej, zdrowej diecie: dużo surowych warzyw, świeże lipcowe masło, ogórki kwaśnieją aż miło, niosąc naszym trzewiom jakże potrzebne wsparcie bakteryjne. A tymczasem coś się w naszym słoju nieładnie ostatnio kisi, aż sok zmętniał i brzydko się pieni. ©℗

Jeszcze się nie urodził śmiałek, który publicznie odważyłby się napisać, że wie lepiej, jak kisić ogórki. Ilu Polaków, tyle sposobów, choć zadziwia mnie, jak niewiele spotykam prób wyjścia poza uświęconą paletę dodatków od kopru przez chrzan i pieprz po czosnek, ewentualnie papryczkę chilli, która już na dobre się spolonizowała. Moim ulubionym odchyleniem od średniej krajowej są nasiona kolendry (ale nie razem z gorczycą) i nasiona kopru włoskiego (co logiczne, bo pokrewne naszemu). Na ogół mierzi mnie typowa dla naszej cywilizacji próba przyspieszania, ale czasem robię ogórki w wersji błyskawicznej, to znaczy po dokładnym umyciu, a nawet wymoczeniu (jeśli lato jest suche), obcinam końcówki, kroję na pół, wrzucam do dużej torebki do mrożonek (niestety, plastik!) razem z dodatkami i dokładnie mieszam z grubą solą, ugniatam wszystko dość ciasno, zamykam szczelnie i chowam na kilkanaście godzin do lodówki, czasem potem jeszcze trzymam na zewnątrz, jeśli fermentacja ruszyła niemrawo. Po opłukaniu smakują prawie jak prawdziwe małosolne – ale trzeba je zjeść zaraz. Szybko przyszło, szybko poszło.

ADOBE STOCK

PRZY KAŁUŻY

Czy można prawdziwie tęsknić do kałuży znanej z dzieciństwa, mając do dyspozycji całe bogactwo świata?

RYSZARD KOZIOŁEK

GMINA JAWORZE

Wzgórze Goruszka w Jaworzu

Od kilku lat ostrożnie wracam do miejsc, które określiły moje wyobrażenia przestrzenne. To, czym jest „góra", „rzeka", „trawa", „pole", „drzewo", „droga", „staw", „dom", „niebo"... Nic w tym niezwykłego, każdy nosi w sobie przyswajane w dzieciństwie prototypy składowych części świata. Tworzona bezwiednie matryca pozwala na podstawowe operacje poznawcze: że coś jest podobne do „tego" lub inne niż „to".

Pamięć i wiedza próbują osaczyć te czułe miejsca za pomocą wspomnień, fotografii, kolekcji przedmiotów wyniesionych z przeszłości. Powstaje z tego zestaw do składania autobiografii, czyli zawsze po części zmyślona opowieść o własnym życiu. Zdarza się (i to jest mój przypadek), że niezadowoleni z tej pracy chcemy naocznie przekonać się, „jak tam teraz jest".

Moja dziedzina

Nawet kilogramowy walec z Sèvres zrobiony ze stopu irydu i platyny przestał być wzorcem, bo przybierał na wadze, a cóż dopiero zwykłe rzeczy lub krajobrazy poddane działaniom natury i człowieka. Wiedziałem, że przez 40 lat prawie wszystko się zmieniło, więc powrót dostarczy mi tylko rozczarowania. Jego gorzki smak nie wynika tylko z fizycznej zmiany tych miejsc, ale bardziej stąd, że zmieniłem się ja. Bo ja nie przychodzę tam wspominać. Chcę jeszcze raz przeżyć to, co mnie z tymi miejscami związało. Przychodzę zwabiony obietnicą sztuki, że możliwe jest pojednanie przeżycia i wiedzy. „Pragnę, by moje dni, jedne z drugimi, / Były związane węzłami czułymi" – mówi o tym stanie John Keats (przeł. Zygmunt Kubiak).

Wygnany z dzieciństwa, noszę w sobie jego ślady i szczątki, których nie chcę powierzyć zmyślonej idylli lub traumie. Nostalgii też we mnie za grosz. Przeszłość była fajna, ale zdecydowanie wolę teraźniejszość. Pamiętam wystarczająco dużo, żeby nie musieć podejmować wysiłku przypominania, a nawet chciałbym trochę zapomnieć. Czego więc szukam, skanując swoje ciało na obecność przechowanych w nim wrażeń sprzed dziesiątków lat?

Chyba dowodów na istnienie własnego życia, po prostu. Że to, co było w nim tylko moje, czyli najbardziej bezpośredni sposób doznawania świata, trwa nadal. Nie w pamięci, ale w powtórnym przeżywaniu. Wytarzałem się w małym świecie dzieciństwa. Moje ciało nosi w sobie jego ślady, resztki, pozostałości, powidoki; jestem bezwiednie przesiąknięty topografią najbliższą. Mam na sobie zmysłową mapę jedynego świata, jaki znam naprawdę, choć nigdy nie był „przedmiotem" mojej wiedzy.

Przeżywając życie, ocierałem się o fragment powierzchni Ziemi niewiele przekraczający 30 kilometrów kwadratowych – część terytorium dwóch wsi: Jasienica i Jaworze, na styku których stał mój dom. Nieostre granice wyznaczały trzy wzniesienia: od południa Ruska Góra (nazwa wzięła się od radzieckiego posterunku w czasie inwazji na Czechosłowację w 1968 r.), od wschodu Młyńska Kępa, od północy Goruszka. Od zachodu nie było góry, a niewidzialną linię, której się nie przekraczało bez wyraźnej potrzeby, kreślił Szeroki Potok i droga do Strumienia, przy której stała szkoła.

Dlaczego tak? Nie wiem. Człowiek wytycza granice łatwo i chętnie, według najbardziej absurdalnych kryteriów. Kiedy byłem dzieckiem, większość zabaw odbywała się między czterema niskimi blokami, w których mieszkali pracownicy Fabryki Mebli Giętych. Jeden z tych bloków został wzniesiony nieco później niż pozostałe. Z tego powodu wszystkie mecze, „wojny" i gry zespołowe odbywały się wedle zasady: „stare bloki" na „nowy". Koledzy ze szkoły i podwórka stawali się wtedy „przeciwnikami", a nawet „wrogami". Było to tak naturalne, że nikt z nas się temu nie dziwił. Czy mogę więc dziwić się antysemityzmowi, niechęci wobec uchodźców czy plemiennym wojnom partii politycznych? Wrogość jest naturalna, solidarność wymaga edukacji i pracy. ↦

W naturalny zatem sposób nie zapuszczałem się poza granice „mojego" terytorium, chyba że z rodzicami lub nauczycielami. Tam był „świat", tu był dom i moja „dziedzina", która dziecku wydaje się ogromna. I taka właśnie jest, kiedy chcę ją opowiedzieć – nieobjęta, niewyczerpana, niedostępna. Czasem, w stanie percepcyjnej łaski, możemy mieć jako dorośli chwilowy wgląd w jej zawartość, ale poza genialnymi artystami nikt nie potrafi tego nazwać. A już całości nie da się wypowiedzieć ani napisać, ani nawet pomyśleć, ponieważ mowa, w której można by to zrobić, „nie jest ani łacińską, ani angielską, ani włoską, ani hiszpańską, jeno taką, z której nie jest mi znajome ni jedno słowo, mowa, którą mówią do mnie rzeczy nieme" (Hugo von Hofmannsthal „List", przeł. Ida Wieniewska).

Po licznych porażkach wiem, że droga do mowy niemych rzeczy nie wiedzie przez wspomnienia, ale przez związek słów i zmysłów; literatury i utajonego w ciele siedliska dawnych doznań, które dobre słowa potrafią reaktywować w podobny sposób, jak czynił to potwór wymyślony przez Patricka Süskinda w „Pachnidle". Ów Jan Baptysta Grenouille chciał pochwycić i zatrzymać zapachy rzeczy, roślin, zwierząt i ludzi. Jego celem ostatecznym było stworzenie zapachu, którym pachnie życie. Kiedy tylko uda się na ten zapach trafić, trzeba być czujnym i szybkim, „by jak najwięcej schwytać, jak najmniej uronić, (...) należało działać w skupieniu i szybko" (przeł. Małgorzata Łukasiewicz). Grenouille zdejmował zapach z ciała, okładając je warstwami tłuszczu. Mnie muszą wystarczyć zmysłowa pamięć i wyobraźnia wspomagana literaturą.

Opowiem, jak to działa.

Pokłute stopy

Wróciłem po raz kolejny do „Przygód Tomka Sawyera". Powód był prosty: spierałem się z profesorem Marciniakiem o psychologiczną sztuczkę zastosowaną przez Tomka, aby uniknąć malowania płotu. I teraz chciałem sprawdzić, czy obaj dobrze zapamiętaliśmy tę scenę. Ledwo zacząłem kartkować powieść Twaina, przypomniały mi się moje obolałe stopy sprzed prawie pół wieku. Książka sprawiła mi ten ból. Teraz i wtedy. Było to może już na samym początku lektury, kiedy Tomek sięga po bratka rzuconego mu przez Becky i zamiast zwyczajnie wziąć kwiatek, „nakrył go bosą stopą, podniósł zręcznie palcami nogi i skacząc na jednej nodze, zniknął za rogiem ulicy" (przeł. Kazimierz Piotrowski). Albo trochę później, kiedy pojawia się Huck, który „na wiosnę zawsze pierwszy wychodził boso, a jesienią ostatni wkładał buty". Ważna była, zyskana dzięki książce, wiedza, że prawdziwe chłopaki chodzą boso. Moi ziomkowie też tak kiedyś robili. „Bo od wiosny do jesieni chodziło się boso i trawa była tym dywanem między delikatną na wiosnę stopą i szorstką ziemią. Trawa była miękka, łagodząca zetknięcie z ostrością nieżywej ziemi. Trawy się doświadczało bezpośrednio, odczuwało jej puszystość, ale także ukryte w niej zasadzki. Każde więc dziecko musiało wiele wiedzieć o trawie" (Jan Szczepański „Korzeniami wrosłem w ziemię").

Może boso chodziło się w latach 40. w miasteczku Hannibal nad Missisipi, może w Ustroniu na Zawodziu między wojnami, ale nie za późnego Gierka w Jasienicy. Moja stopa była wydelikacona noszonymi przez wszystkie sezony juniorkami, japonkami, półtrampkami ze Stomilu, welurami z Otmętu, relaksami i pionierkami. Nieważne, literatura mówiła, że powinienem uciec z domu boso. Tylko te „ostre kamyki, tarki, kolce ostu, zjadliwe mrówki", których nie wziąłem pod uwagę. I ściętego świeżo pola koniczyny, które oddzielało mnie od rzeki. Skąpy, protestancki dziadek prowadził kosę tuż przy ziemi, żeby zostawić korzeń i trochę łodygi, nieco ponad grubość ostrza. Nie dało się więc iść, przesuwając stopy między sterczącymi kikutami. Z pokłutą skórą, zawstydzony, wycofałem się z ucieczki, rozczarowany, że życie nie chce naśladować literatury.

Droga do mowy niemych rzeczy
nie wiedzie przez wspomnienia,
ale przez związek słów i zmysłów;
literatury i utajonego w ciele siedliska
dawnych doznań, które dobre słowa
potrafią reaktywować.

Mądrzejszy spóźnioną mądrością, wiem dziś, że najważniejsze w tym epizodzie jest przechowane doznanie bólu pokłutych stóp, ponieważ – jak uważał stary Kant – choć dotyk jest najbardziej prymitywnym zmysłem, to „jako jedyny odnosi się do bezpośredniego poznania zewnętrznego, dlatego jest najważniejszy i poucza nas w najpewniejszy sposób" („Antropologia w ujęciu pragmatycznym", przeł. Ewa Drzazgowska i Paulina Sosnowska).

Bywa, że bolesny dotyk zostawia blizny. Powszechne – jak ślad po szczepionce na prawym ramieniu lub indywidualne – na przykład jasna plama na wierzchu mojej prawej stopy. Miałem 6 lat, był lipcowy świt. Zbieraliśmy się do wyjazdu nad morze. W garnku na gazie gotowała się woda na herbatę do termosu. Ojciec rzucił mi piłkę do spakowania, odbiłem głową wprost na wrzątek, który wylał się na moją stopę. Nie pamiętam bólu, za to pamiętam pieczenie przy każdej próbie wejścia do Bałtyku i że tata nosił mnie na plecach przez cały pobyt.

Nie ma za to śladu na moim brzuchu po ośmiu zastrzykach przeciw wściekliźnie (dwa mi darowano), kiedy ugryzł mnie bezpański pies. Bardziej od bólu pamiętam jego dziwnie przyjemną otulinę wytworzoną przez to, że mama, chcąc złagodzić przykrość, każdego dnia po zabiegu kupowała mi jakąś zabawkę.

Przyjemności zostawiają w ciele mniej śladów niż ból, a przecież tam są... pozostawione przez krąpia wyłowionego pierwszą prawdziwą wędką, małego królika trzymanego w dłoniach, zapach drewnianych kabin na basenie w Jaworzu, gwizd pociągu o 14.55 przywożącego Jankę z pracy. Na nic wspominanie tych wydarzeń, chodzi o ich reaktywację przeżycia; stan, w którym „wydaje mi się, że sam cały kipię, pokrywam się pęcherzykami, gotuję się i iskrzę. A wszystko to tylko rozgorączkowana myśl, ale myśl, która posługuje się

materiałem bardziej bezpośrednim, słynniejszym i żarliwszym niż słowa" (Hugo von Hofmannsthal „Elektra", przeł. Włodzimierz Wiśniewski).

Larysz

Leżała w centrum wsi. Mam ją pod powiekami starannie wyrysowaną niczym fragment starej ryciny. Z okna w kuchni nie było jej widać prawie wcale, poza kominem, kiedy podnosiło się wzrok, „aby rzucić na niego choć jedno spojrzenie. W spojrzeniu tym była dziwna błogość i jakby pieszczota" (Maria Konopnicka „Dym"). Przesadzam z tym Marysinym wtrąceniem. Ale nie całkiem.

W Fabryce Mebli Giętych w Jasienicy – czyli u Larysza, jak się mówiło w mimowolnym hołdzie dla założyciela, hrabiego Larischa von Moenisch – pracowała połowa mojej rodziny, na czele z najważniejszymi (po Jance rzecz jasna) osobami mego dziecięcego życia: Milką, Ojcem i Blumem. Pracujący ich rękami Larysz nie budził mojego uznania. Zdeprawowany książkami i kinem umysł dziecka z prowincji, mój umysł, był absolutnie przekonany o banalnej nieatrakcyjności własnego świata. Jeśli moje życie miało być kiedyś przygodą, to takie nie wydarzały się w Jasienicy. Nie wierzyłem też kłamliwym zapewnieniom dorosłych, którzy twierdzili, że wszędzie jest tak samo, skoro istnieją tam: zawiedziona miłość, choroby i śmierć. Wreszcie, gdyby ta fabryka była ważna, byłoby o tym w moich podręcznikach albo przynajmniej nauczyciele coś by nam o niej powiedzieli. A mówili z uznaniem o miejscowościach tak trudnych do odnalezienia na mapie jak: Bnin, Cedynia, Czarnolas, Zaosie, Szetejnie, Małoszyce czy Wola Okrzejska.

O Jasienicy i rzekomo słynnych meblach stąd nie mówili, choć nasza szkoła leżała niespełna kilometr od fabryki, w szkolnej świetlicy siedziałem na produkowanych tam krzesłach (model 983 „King Edward"), a pół Polski bujało się na ich bujakach. Nie dziwota więc, że sto razy wolałbym, aby ojciec pracował w Fabryce Samochodów Małolitrażowych w pobliskim Bielsku-Białej, produkował maluchy i jednego nam przyniósł. Tak jak Blum przynosił lakier bezbarwny, a raz w roku załatwiał przyczepę wyładowaną pociętymi odrzutami krzeseł, które dobrze paliły się w piecu.

Moja ignorancja trwałaby pewnie kolejne dekady, gdyby nie teledysk Madonny „Open Your Heart", który mogłem widzieć po raz pierwszy chyba w 1987 r. Nie, tym razem nie jej wygląd (szpilki, kabaretki, czarny gorset JPG i rękawiczki) przykuł moją uwagę, ale fakt, że wszystkie pozy i gesty wykonuje tam na naszym jasienickim A-18! Niewiarygodne, Madonna i ja siadaliśmy na takim samym krześle! Być może wtedy – podpowiada mi fantazjująca pamięć – pomyślałem po raz pierwszy z uznaniem o rękach moich bliskich, jak wpasowują w ramę siedzisko ze sklejki, aby mogła usiąść na nim okrakiem.

Ech, nauczyciele moi, czemuście mi o tym nie powiedzieli. Ty, Nauczycielko ZPT, która tłukłaś mnie wskaźnikiem w otwartą dłoń za brak materiałów na budowę karmnika; albo Ty, Nauczycielko historii, której uroda nie pozwalała zapamiętać żadnej z dat, jakie nam dyktowałaś. Jakżeby mi to pomogło, samotnemu prowincjuszowi, podczas pierwszych trudnych dni w wielkomiejskim technikum, gdybym moim rozerotyzowanym kumplom mógł rzucić od niechcenia: „Bo wiecie, to krzesło, co ona tak na nim siedzi, to mój stary zrobił".

Wiele lat później chłód wiedzy ściął kiełkującą dumę ze sławy lokalnego produktu. Madonna rzeczywiście siedzi na A-18, ale jest to nieco zmodyfikowany „ojciec krzeseł", czyli słynny model nr 14 Michaela Tonneta z 1859 r., skopiowany przez większość firm meblarskich świata.

Okrutnie szczęśliwe dzieciństwo

Moje dzieciństwo było szczęśliwe, ale nie było niewinne ani beztroskie. Nigdy takie nie jest. Jednym z zabobonów, które pokutują wśród zakłamanych dorosłych, jest przekonanie, że najlepiej było, kiedy byliśmy dziećmi. Jako dorośli pochopnie zazdrościmy sobie samym rzekomego wieku niewinności, nie chcąc wiedzieć, że beztroski stan umysłu wynika wprost z moralnej obojętności. Nikt lepiej niż James Matthew Barrie nie wiedział, że wieczny chłopiec jest szczęśliwy, ponieważ nie ma w nim współczucia. Kończąc „Przygody Piotrusia Pana" widzimy, jak kolejno Wendy, Janka i Małgorzatka starzeją się i tracą zdolność latania na rzecz swoich córek. A te bez wahania porzucają matki dla Piotrusia. „I będzie to trwało tak długo, póki dzieci będą wesołe, niewinne i bez serca" (przeł. Maciej Słomczyński).

Kto uważał na lekcjach polskiego, tego romantyzm skutecznie wyleczył ze złych złudzeń co do idyllicznego dzieciństwa. Kto nie miał przed oczami „Kordiana", „Króla olch" czy „Nie-Boskiej komedii", niech go przerażą dzieci-potwory z powieści i filmów grozy: Danny („Lśnienie" Stanleya Kubricka), Rhoda („Bad Seed" Mervyna LeRoya), Cole („Szósty zmysł" M. Nighta Shyamalana), Regan („Egzorcysta" Williama Friedkina), Damien („Omen" Richarda Donnera), Gage („Smętarz dla zwierzaków" Stephena Kinga), Will Byers (z serialu „Stranger Things"), Ciri („dziecko niespodzianka" z cyklu o Wiedźminie Andrzeja Sapkowskiego). Nie dajmy się zwieść fantastycznej aurze tych utworów. Te „dziwne dzieci" ulepione zostały z nader realistycznych składników. Są mieszanką inteligencji, zwierzęcej wrażliwości zmysłów i rozedrganej emocjonalności, a niewinność i amoralne okrucieństwo sąsiadują w nich całkowicie naturalnie.

Wielu z nas to ich pomniejszeni siostry i bracia, którzy mają na sumieniu dziesiątki, może i setki stworzeń dręczonych lub zabijanych dla zabawy lub bezmyślnie – owadów, pająków, żab, myszy, kretów. Nie mówiąc o roślinach. „Całe tajemnicze życie, pradawne, bardzo bogate, które dziecko bez wysiłku niszczy" – przyznaje Jean-Claude Carrière, wspominając okrutne praktyki swojego wiejskiego dzieciństwa („Szorstkie wino", przeł. Wiktor Dłuski). Literatura i kino, zwłaszcza przygodowe, ogromnie temu sprzyjają, pokazując świat naturalny jako obiekt do pochwycenia, opanowania, oswojenia, zjedzenia.

O dziwo, w tej kwestii egzotyczna literatura i zwykłe życie na polskiej prowincji w ubiegłym wieku pasowały do siebie. Wszyscy, a zwłaszcza wszyscy mężczyźni, których podziwiałem w dzieciństwie, byli mięsożercami na głodzie. A najbardziej Blum, przed którym żona musiała chować przyniesioną ze sklepu wołowinę, bo zjadłby ją na surowo, posypując jedynie solą. Widząc, jak pożerał mięso lub wypijał surowe jajka, nie miałem wątpliwości, że należy do tego samego gatunku ludzi co Ikämosa – bohater jednej z moich lektur – który ↦

z ciała bizona „wyszarpał buchającą parą nerkę. (...) Szybko podniósł do góry (...), chcąc pokazać swemu Wielkiemu Duchowi, że docenia jego pomoc, a potem odgryzł ogromny kęs parującego mięsa i szybko połknął" (Noel M. Loomis „Kiedy dzieci płaczą z głodu", przeł. Teresa Długoszewska).

Naprawdę miał na imię Gustaw. Zacząłem mówić o nim Blum już po jego śmierci, w rozbłysku wdzięcznej pamięci, kiedy zaraz na początku lektury „Ulissesa" Jamesa Joyce'a natrafiłem na fragment o śniadaniu Leopolda Blooma. Bohater idzie do mięsnego kupić sobie na śniadanie nerkę baranią lub wieprzową. Zapakowany w gazetę „wilgotny, pulchny gruczoł" (przeł. Maciej Słomczyński) przyniósł do domu i „rzucił nerkę na syczące płynne masło", a kiedy było gotowe (choć o mało się nie spaliło), „żuł ze znawstwem sprężyste smaczne mięso". Smak najtrudniej poddaje się literackiej estetyce pragnienia. Byłem już mieszczuchem po studiach, kiedy czytałem ten fragment, ale natychmiast chciałem tak samo jak oni. Gustek też podczas świniobicia rzucał na patelnię kawałki wątroby, bo nie mógł się doczekać właściwego posiłku. Kupiłem nerkę, rozgrzałem masło, położyłem mięso na patelni. Smród palonego masła i moczu skutecznie zablokował nostalgiczną fantazję. Koty na podwórzu się ucieszyły.

Jednym z zabobonów, które pokutują wśród zakłamanych dorosłych, jest przekonanie, że najlepiej było, kiedy byliśmy dziećmi. Jako dorośli pochopnie zazdrościmy sobie samym rzekomego wieku niewinności, nie chcąc wiedzieć, że beztroski stan umysłu wynika wprost z moralnej obojętności.

Wiejskie dziecko uczestniczy w śmierci zwierząt, na które wcześniej patrzyło z sympatią i czułością; karmiło je, czasem bawiło się z nimi. A potem widzi, jak giną, aby na koniec zjadać je, często ze smakiem. Smuciły mnie te śmierci, zamykałem oczy, odpędzano mnie od drastycznych momentów świniobicia, ale fascynacja zawsze brała górę nad współczuciem. Długo nie umiałem uzgodnić w sobie tego pomieszania. I choć nie znam w literaturze wspanialszego opisu świniobicia niż te 434 linijki w moim egzemplarzu „Postrzyżyn", to nie Hrabal pomógł mi wyjść cało z dzieciństwa. Chciałbym wtedy pomyśleć, że „świniobicie (...), to to samo, jak kiedy ksiądz odprawia mszę świętą, bo zawsze idzie o krew i o mięso, czyli ciało" (przeł. A. Czcibor-Piotrowski). Ale nie jest tym samym.

Mój tata hodował króliki, jednak nie potrafił żadnego zabić. Robił to dziadek, a potem on też nie chciał i kiedy uznał, że 13 lat to właściwy wiek, nauczył mnie. Choć trudno w to uwierzyć, nikt nie udzielił mi lepszej lekcji o dobrym traktowaniu zwierząt niż Władek, ucząc mnie, jak zabić królika.

„Przynieś mu coś dobrego do jedzenia, musisz go uspokoić – mówił, głaszcząc mu głowę, szyję i grzbiet – uważaj na tylne nogi, są strasznie mocne, a pazury mogą rozorać ci głęboko skórę. I właśnie za tylne łapy trzeba go złapać lewą ręką, prawą wcześniej przyciskając mu grzbiet do podłogi klatki. Potem przytrzymaj go przez chwilę głową w dół, aż opadną mu uszy. Tuż za nimi jest to miejsce, w które musisz uderzyć. Musisz to zrobić tylko raz, mocno i pewnie, żeby nie cierpiał. Jeśli będzie się bał lub uderzysz go źle, będzie go bardzo bolało i może wydać z siebie straszny pisk, jakiego nigdy nie słyszałeś z króliczego pyska i którego nigdy nie zapomnisz".

To prawda, jest nie do zapomnienia.

Nie byłem już dzieckiem, więc wkrótce pojąłem, dlaczego wszyscy „masorze" (rzeźnicy) rozpoczynali świniobicie od kieliszka wódki albo dwóch. Mnie, jak zwykle, pozostawała literatura. Nie pamiętam dokładnie gdzie, czy u Maya czy u Coopera, natrafiłem na fragment, kiedy indiański myśliwy przed zabiciem zwierzęcia wygłasza modlitewne przeprosiny, prosząc zwierzę o wybaczenie i tłumacząc się, że zabijanie jest koniecznością życia, które chce przetrwać. Pomagało, mimo że dziś śmieję się z siebie stojącego przed króliczymi klatkami i mamroczącego (żeby nikt mnie nie słyszał): „Wybacz, bracie króliku, że muszę Cię zabić...".

Dziadek (z niejaką pomocą literatury) wyprowadził mnie szybko i skutecznie z dziecinnego postrzegania śmierci. Nie nazwałby tego w ten sposób, ale dojrzałość oznaczała dla niego bycie świadomym, że każde życie, także ludzkie, jest nieodłącznie związane z pozbawianiem życia innych stworzeń. Nie ma na to usprawiedliwienia. Pozostaje tylko minimalizowanie cierpienia i współczucie.

Do potoka

Odwiedzanie przez dorosłego krajobrazów dzieciństwa przypomina wizytę w parku miniatur. Budzące dawniej grozę wzniesienia, rwące strumienie i głębokie stawy dotyka nagłe skarłowacenie. Pamiętam, jak po wielu latach poszedłem zobaczyć Bizona – straszną górę, z której zjeżdżaliśmy na nartach. W połowie miała garb, który na pełnym gazie pokonywał tylko Wacek. 30 lat później stanąłem na garbie, pod moim „Streifem", spoglądając ze zdumieniem na kilkunastometrowy pagórek. Więc to budziło taki strach? Z rozpędu poszedłem na Młyńską Kępę, poważny, stromy stok „slalomowy", który nie miał wypłaszczenia na dole, miał za to druty rozpięte na betonowych słupkach, bo to było prywatne pastwisko. Tu jeździła wiejska elita. Na Młyńskiej rządzili Janek z Mariuszem, wyznawcy Ingemara Stenmarka, którzy ustawiali z leszczynowych tyczek nieskończone warianty slalomowych tras na 30 metrach długości. Istotnie, park miniatur.

Z tego właśnie powodu przez 40 lat nie poszedłem „do potoka". Choć bardziej przez Milkę, mamę mojej mamy, którą pamiętam zawsze jako emerytkę – grubą, komiczną, radosną. Milka, choć skończyła tylko przyzakładową zawodówkę, miała dryg do opowiadania i kapitalnie znała się na dzieciach, a właściwie na mnie. Zabierała mnie „do potoka" i po drodze opowiadała straszne historie.

To było dziwne miejsce. Potok przepływał tuż za blokami i oddzielał je od fabryki, która hojnie dzieliła się z nim swoim chemicznym świństwem. Dzięki googlom dowiedziałem się, że strumyk nazywa się Pelchrim, ale nikt go tak nie nazywał. Szło się „do potoka", co oznaczało pójście do lasu,

który porastał jego brzegi. Ścieżka biegła skarpą, a potem, tam gdzie drzew było więcej, meandrowała między nimi na pofałdowanym terenie, pełnym rozpadlin i kopulastych, pozbawionych trawy wzniesień. Najdziwniejszy był jednak strumień, w którym woda była ciemna, prawie stojąca i nigdy nie zauważyłem w niej żywych stworzeń. Milka uwielbiała tam ze mną chodzić. Ja mniej; ogarniał mnie tam jakiś niepokój, nawet w słoneczny dzień panował mrok, nie było kolegów. Ale z nią było fajnie. Pokazywała miejsce, gdzie Grelę wciągnął utopiec, i to, w którym jej ojciec widział czarnego psa z płonącymi oczami, i tamto pole, na którym nocznice płomykami wabią pijaków. Nawet zrywanie ulubionych przez nią witek modrzewiowych umiała opowiedzieć jako ryzykowny proceder, za który możemy zostać ukarani przez leśniczego. Kiedy dziś o tym myślę, uświadamiam sobie, że podczas tych spacerów chyba głównie się bałem, ale ten strach musiał być przyjemny, skoro tam wracaliśmy.

Po jej śmierci nigdy tam nie poszedłem, a teraz chciałem znowu. Po to, żeby poczuć tamten strach wywoływany przez połączenie jej opowieści i atmosfery „potoka". Nie chciałem wspominać Milki, chciałem mieć z nią „żywy" kontakt poprzez nastrój miejsca, w którym z nią bywałem. A jako że nie wierzyłem, iż to możliwe, przez dziesiątki lat nie wracałem do potoka.

W każdej próbie opowiedzenia własnego dzieciństwa kryje się dramat poznania. Szukam prawdy o sobie w przeszłości, której już nie ma, zwracam się więc do otaczającej rzeczywistości, zwłaszcza do natury, aby potwierdziła istnienie tamtego świata, który utraciłem. Zaklinam krajobraz, aby był ratunkiem przed oddaniem mojego dzieciństwa wyłącznie historii. Studiując własną przeszłość, odkrywam obcość tego, co niegdyś było moje własne. Jeszcze gorzej, gdy chcę o tym opowiedzieć, muszę wówczas robić przypisy do własnego dzieciństwa, czyli zamiast w „potoku", kończę w bibliotece. Inny Bloom, Harold, określa ten stan mianem „twórczego szału świadomości, która skazana jest na samotność utraconej informacji, czyli na świat książek" („Pomiar kanonu", przeł. Marcin Szuster).

DOMENA PUBLICZNA

Fabryka Mebli Giętych w Jasienicy, 1946 r.
Poniżej: produkcja – w dzisiejszej fabryce Paged S.A., 2012 r.

Bez nadziei, postanowiłem tam jednak wrócić. Ośmielił mnie Artur Rimbaud. Sto razy czytałem „Statek pijany", lekceważąc jego zakończenie. Pociągała mnie tam zawsze wizja osobowości, która pozwala sobie na „jazdę bez hamulców". „Statek płynie bez załogi, ponieważ monologująca samotność i chłodne szaleństwo wystarczają, by nim sterować" – ujął to świetnie Calasso (przeł. Stanisław Kasprzysiak i Emilia Olechnowicz). Tym razem było inaczej. Przebiegłem wzrokiem długi tekst i utknąłem na końcu:

Jeżeli jakiej wody tam w Europie pragnę,
To błotnistej kałuży, gdzie w zmrokowej chwili
Dziecina pełna smutku, kucnąwszy nad bagnem,
Puszcza statki wątlejsze od pierwszych motyli
(przeł. Zenon Miriam-Przesmycki).

Wróciłem świeżo z turystycznego wałęsania się po Europie, więc gdzie mi tam do szalonych peregrynacji Artura, ale i to wystarczyło, aby powątpiewać w szczerość tego zakończenia. Czy naprawdę można prawdziwie tęsknić do kałuży dzieciństwa, mając do dyspozycji całe bogactwo świata?

A jeśli powrót do kałuży oznacza jedyny sposób połączenia się z treścią przeżyć, które były niepojmowalne i nienazwane? Cóż stąd, skoro nawet jeśli byliśmy kiedyś w spontanicznym i nieustannym kontakcie z niezmierzoną całością substancjalną świata, to i tak chwilowe wzruszenie, radość czy strach na widok tych miejsc nie przywrócą mnie ani bliskich do tamtego życia. „Cóż bowiem ma wspólnego z litością, co ze zrozumiałym, ludzkim kojarzeniem myśli, jeśli któregoś wieczora znajdę pod drzewem orzechowym polewaczkę, zapomnianą przez ogrodnika i gdy taż polewaczka i woda w niej, zmierzchła od cienia drzewa, i chrząszcz, płynący po zwierciadle wody od jednego ciemnego brzegu do drugiego – gdy na widok tego zespołu błahostek taki przejmuje mię dreszcz obecności nieskończonego od korzeni włosów aż do szpiku w piętach, że chciałbym wybuchnąć słowami (...) – i w milczeniu odwracam się od tego miejsca" (Hugo von Hofmannsthal „List").

Po 40 latach odwracania się wróciłem do swojej kałuży.

© RYSZARD KOZIOŁEK

BEATA MOŃKA

Idźcie za Adamem!

MONIKA OCHĘDOWSKA

Księdzu Bonieckiemu zawdzięczamy, że w polskim Kościele pojawia się ferment – mówił ks. Jacek Prusak podczas mszy świętej, która rozpoczęła obchody 85. urodzin Redaktora Seniora „Tygodnika".

Ksiądz Adam Boniecki jest dla nas ważny z dwóch powodów. Niektórzy podziwiają go, szanują i kochają pomimo tego, że jest księdzem – ci widzą w nim przede wszystkim doskonałego humanistę – a inni właśnie ze względu na to, że nim jest. Nie bacząc na tę różnicę, na pewno wszyscy tu zgromadzeni zgodzimy się, że to księdzu Adamowi Bonieckiemu zawdzięczamy, że w polskim Kościele jest dzisiaj mniej cementu, a więcej fermentu – mówił ks. Jacek Prusak podczas piątkowej mszy św. odprawianej z okazji 85. urodzin ks. Bonieckiego. W niewielkim gotyckim kościele pw. Dziesięciu Tysięcy Męczenników Niepołomicach oraz na Zamku Królewskim zebrało się 26 lipca ponad dwieście osób – przyjaciół Redaktora Seniora oraz redakcji „Tygodnika".

– Czego nas uczą seniorzy? – zastanawiał się w homilii ks. Prusak. – Przede wszystkim tego, że jeśli chcemy przez swoje życie przejść dobrze, musimy zadawać sobie nieustannie pytanie o to, kim jesteśmy i kto nas kocha. Większość z nas w poszukiwaniu odpowiedzi szybko wspina się po wybranej drabinie, zadzierając głowy. Nie wszyscy będą mieli to szczęście, że kiedy już wejdą wysoko i spojrzą w dół, kiedy wreszcie zobaczą to życie przed sobą – okaże się, że wszystko jest na swoim miejscu. Nawet jeśli nie jest – mówił jezuita – niektórzy z nas boją się zejść, ponieważ za dużo zainwestowali we wspinaczkę. Inni wystraszą się horyzontów. Będą też tacy, którzy spadną. Ksiądz Adam po swojej drabinie wszedł oparty o właściwą ścianę. Tych 85 lat, które dotąd przeżył, jest darem. Idźcie za Adamem! – zachęcał ks. Prusak.

Sam ks. Boniecki wspominał, że zwykł myśleć o przeszłości tak, jakby przyglądał się malowanemu wiele lat obrazowi. W urodzinowym podkaście (powszech.net/85boniecki), którego mogli wysłuchać także zebrani na zamkowym dziedzińcu goście Jubilata, opowiadał, że ideałem jest, by życie tworzyło harmonijne dzieło sztuki. Dzieło, w którym – mimo wszystkich sprzeczności przytrafiających się przecież każdemu z nas – będzie jakaś logika.
– O swoim życiu bym raczej nie powiedział, że było harmonijne – mówił ks. Boniecki – ale pocieszam się, że nawet

ZDJĘCIA JACEK TARAN

Urodzinowy tort, ks. Jacek Prusak, zespół Hańba, goście jubileuszu i odsłonięcie prezentu od „Tygodnika". Niepołomice, 26 lipca 2019 r.

Jan Matejko malował swoje obrazy fragment po fragmencie, nieustannie przestawiając drabinę, i nigdy swojego obrazu w całości nie widział. Może więc Pan Bóg miłosierny mnie jednak w jakimś swoim muzeum umieści?

Podczas rozmów z Anną Goc do książki „Boniecki. Rozmowy o życiu" ks. Adam opowiedział o lesie, który Michał Fredro-Boniecki posadził z okazji narodzin pierworodnego syna. „Mój las – pisał potem w jednym ze swoich edytoriali Jubilat – ostatni raz widziałem w wieku siedmiu lat. Wtedy to był bardzo młody las, siedmioletni. Potem z tamtego miejsca wyrzucili nas Niemcy (była okupacja). Zabrali las, dom i w ogóle wszystko. Po wojnie powstał tam pegeer. Dom, murowany dwór zbudowany przez moich przodków w XIX wieku w miejsce XVI-wiecznego, drewnianego, zniknął z powierzchni ziemi. A las? Nawet nie wiem, czy przetrwał".

– Adamie, my ten las znaleźliśmy! – powiedział redaktor naczelny „TP" Piotr Mucharski, odsłaniając urodzinowy prezent: stworzony przez Albina Talika obraz przedstawiający ks. Adama na tle jego lasu, zwanego „Adasinkiem".

Drzewa są ważne – powtarza ks. Boniecki w swoich edytorialach. To zdanie nabrało tego wieczoru, spędzanego w sąsiedztwie Puszczy Niepołomickiej, zupełnie nowego znaczenia. Podkrakowska puszcza swoją nazwę wzięła od staropolskiego słowa „niepołomny". A „niepołomny" to przecież niemożliwy do zniszczenia, wytrzebienia – ponad wszystko trwały. Taka jest rosnąca wciąż grupa czytelników, przyjaciół i zwolenników ks. Bonieckiego.

– Adamie – powiedział Mucharski, wskazując wypełniających zamkowy dziedziniec gości, którzy wstali, by zaśpiewać urodzinowe życzenia – to jest Twój las, Twój „Adasinek"! Spójrz, jak pięknie obrodził!

Ks. Boniecki pisał w jednej ze swoich medytacji, że „nie można zwlekać z przynoszeniem owoców; chwilę, która nam jest dana, trzeba wykorzystać". – I my właśnie dzisiaj postanowiliśmy wykorzystać tę chwilę, przynieść Ci owoce – mówili prowadzący wieczór Maja Kuczmińska i Michał Kuźmiński.

Ta myśl towarzyszyła także twórcy obrazu Albinowi Talikowi. Jego przypominająca medytację praca nad obrazem „Ksiądz Adam w Adasinku" trwała półtora miesiąca – Ernest Hemingway pisał, że nie ma skróconych dróg do szczęścia. Trzeba przebyć to, co jest nam pisane – mówił o projekcie Talik. – Ja bardzo nie lubię zieleni, rzadko jej używam w swoich pracach. Dlaczego? Zawsze mi się wydawała trywialna, ciężko poprzez nią pokazać głębię. Tymczasem podczas pracy nad obrazem dla ks. Adama zacząłem coraz częściej jeździć do lasu. Nie tylko z powodu poszukiwania odpowiedniej formy i światła. Sama praca okazała się dla mnie poszukiwaniem. Podzieliłem ten obraz na kilka części – opowiadał Talik. – Zależało mi na tym, by „Adasinek" zaczynał się uporządkowaną strukturą, wychodził od czegoś zorganizowanego i zamieniał w coś wręcz gigantycznego, co człowieka ↦

Albin Talik, „Ksiądz Adam w Adasinku”

przerasta. Proszę się przyjrzeć – pojawiające się kompozycje trójkątne, dynamiczne (wiele kawałków wyciętych zostało z okładek „Tygodnika”), sugerują, że las się nieskończenie rozrasta, a widoczna pomiędzy drzewami droga prowadzi w niezwykle ciekawe miejsce.

Dokąd? – Miałem w swoim życiu szczęście – zdawał się odpowiadać tego wieczoru ks. Boniecki – Wiele szczęść. Jednym z nich było to, że kardynał Karol Wojtyła poprosił zakon marianów o pozwolenie na moją pracę w „Tygodniku Powszechnym”. Wojtyła wykładał na KUL-u, ja tam wtedy studiowałem. – W 1965 roku przyjechałem do Krakowa. Musicie wiedzieć, że kardynał Wojtyła przeróżnymi drobiazgami technicznymi się nie interesował: ściągnął mnie do redakcji, ale nie bardzo zaprzątał już sobie głowę tym, gdzie ja będę mieszkał. Zatrzymałem się w przechodnim pokoiku przy św. Anny i jednocześnie szukałem jakiegoś kąta. I tak się złożyło, że zamieszkałem u Turowiczów. To było szczęście! W tym domu nauczyłem się wielu rzeczy o świecie, o Kościele. Turowiczowie nauczyli mnie także... robić sos włoski do makaronu. I tego, że makaron może być *al dente*! A tego przecież żeśmy w moim domu, na Mazowszu, nie wiedzieli zupełnie! – żartował ks. Boniecki. – Moim wielkim szczęściem jest również to, że spotykałem w życiu nadzwyczajnych ludzi. Są takie spotkania, które człowieka zmieniają, w Kościele mówimy: ubogacają. Dlatego właśnie dziś chciałbym powtórzyć słowa, które wypowiedział, także kończąc 85 lat, Jerzy Turowicz: „Dar największy, jaki człowiek może dostać na ziemi, to dar miłości i przyjaźni”. Za ten dar serdecznie dziękuję.

Zabytkowy dziedziniec zamku niepołomickiego wypełniały tego wieczoru skoczne dźwięki mandoliny i banjo zespołów Czereśnie i Hańba!, których utwory odnosiły się zarówno do życia i działalności ks. Bonieckiego, jak i jego współpracowników oraz przyjaciół z „Tygodnika”. Zaprezentowano także fragmenty przygotowywanego przez Fundację Tygodnika Powszechnego filmu dokumentalnego o ks. Bonieckim, o którym więcej informacji na powszech.net/film.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

PARTNERZY WYDANIA JUBILEUSZOWEGO 85. BONIECKI

ZAIKS
GDYNIA moje miasto
MANTA Polska firma rodzinna
FCA FIAT CHRYSLER AUTOMOBILES
POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich
Quad Graphics
Polska Rada Biznesu
Business Centre Club
60 znak
WP Wydawnictwo Poznańskie
wydawnictwo
GEERS DOBRY SŁUCH
Uniwersytet Jagielloński w Krakowie
Wyższa Szkoła Informatyki i Zarządzania z siedzibą w Rzeszowie

To zaszczyt mieć na niego monopol!

PIOTR MUCHARSKI,
REDAKTOR NACZELNY „TP”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. GRAŻYNA MAKARA

NIE PRZEGAP! Kup wydanie jubileuszowe – dostępne w punktach z dobrą prasą i na **powszech.net/historia**

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

STANISŁAW

Mancewicz:
Kwestia upadkowa

Dziś, w ponurym upale tutejszych wizji, zajmiemy się niestety upadkiem cywilizacji. Nie ukrywamy, że unikaliśmy tematu jak ognia. Znajdowaliśmy tysiące wykrętów, by pokusie wieszczenia w tym guście się nie oddawać. Do niechętnego zsumowania i rekapitulacji jakże powszechnych dziś dyskusji w tym guście zmusza nas dojmująca powszechność i obecność tych dywagacji na każdym kroku. Jest to – zważmy – jedyna niemal treść, z jaką mamy teraz do czynienia, gdy wertujemy prasę, penetrujemy toksyczny świat internetu i spacerujemy po ulicy, na której króluje tak olśniewająca cudzoziemców polska szarmancja i tolerancja.

Problem końca świata – to wstępna uwaga – jest niesłychanie odstręczający pisarsko. Z naszych doświadczeń czytelniczych wynika, iż jest on szalenie wyeksploatowany. Podejmowany – zważmy – od stu wieków przez większość z tych, którzy kiedykolwiek próbowali przelać swe najwątlejsze mniemania na dowolny nośnik. Tematyka jest arcyłatwa w obróbce, w obrazowaniu, lepieniu narracji i w stylistyce. Zaiste rzec trzeba, czy gibki czy sztywny, o końcu świata każdy coś naskrobać umie i chce, zwłaszcza gdy wyrósł pośród odgłowionych i dziuplastych wierzb, w aurze powszechnego łaknienia selfie z własnego zmartwychwstania, które obowiązkowo i uroczyście odbyłoby się pośród dymiących zgliszcz, oświetlonych mrowiem czarnych słońc, pośród lądujących spodków z galaretowatymi stworkami, spodków cumujących od Gdańska po Świnoujście do zaparkowanych wszędy niemieckich pancerników z ruskimi załogami.

Tym spisem chcielibyśmy zasygnalizować, że na temat końca cywilizacji czy świata jesteśmy w stanie pisać w dowolnym stylu, a to tradycyjnie ludowym, kościelnym, bardzo prawicowym i bardzo lewicowym, w stylu tzw. amerykańskich naukowców, ale też na modłę naukowców – za przeproszeniem – polskich, w stylu humanistycznym, matematycznym, w oszałamiającym swym tragizmem stylu Beaty Szydło, czyli poza geometrią euklidesową, a poza arytmetyką w ogóle, że umiemy bredzić identycznie jak najstarszy dzidziuś polskiego historyzowania, czyli Mateusz Morawiecki. Umiemy archaizować o upadku cywilizacji jak Gospodarz Rzeczypospolitej Tragicznej. Umiemy nawet opowiedzieć o końcu świata pasującą do zjawiska furmańską manierą Ryszarda Terleckiego. Oto potrafimy wszystko powiedzieć o upadku białej rasy, na każdą nutkę i półnutkę mazura, krakowiaczka i kujawiaczka. To jednak, jak się okazuje, nie wystarczy. W jednej jednakże, ale dominującej kwestii cywilizacyjno-upadkowej mamy braki. „Jakiej, do stu tysięcy beczek zjełczałego tranu??? – zapytają wzrastające lawinowo masy czytelnicze – W jakiejżeż!?”.

Rzecz wymaga pierw drobnego wprowadzenia na poziomie stereotypu. Co wpisują rzesze rodaków w formularzach wizowych do Ameryki, w rubryce „sex”? Wpisują „yes”. To pokazuje istotę tutejszych zainteresowań, ale bynajmniej nie tylko relaksacyjnych. Seks – mówiąc poważnie – jest tu powodem nieleczonych nigdy lęków, co widać świetnie po zachowaniach młodych mężczyzn i kobiet, gdy dać im się wykrzyczeć, na co obecne Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i jego pardon – organy łaskawie pozwalają. Z tego, co krzyczą, wynika, że upadek cywilizacji i koniec świata w każdym zakątku Rzeczypospolitej Szarmancji i Tolerancji jest kanwą jedynie do apokaliptycznych rozważań na temat technik erotycznych na poziomie niemiecko-sowieckiego pornocha. Uprawia to z zapałem nie tylko przestraszony tłum pozornie nieprzestraszonych pań i panów, ale takoż państwo i jego urzędnicy, głównie tutejsze duchowieństwo, politycy centralni i lokalni, kibic piłkarski, który stał się modelem autorytetu moralnego i naukowego, oraz – by pójść na ilustrującą mistrzowsko całość – ludzie zarówno wytatuowani, jak i nie. Oto wyobrażenia seksualne są tu najbardziej podstawowym elementem dyskusji na temat przyszłości świata, cywilizacji, a zwłaszcza jej końca. Tymczasem zaś jest nieco powodów realnych i serio, by w ramach problemu porozmyślać, na jaką to planetę trzeba nam będzie niebawem polecieć. Nie ulega chyba żadnej dyskusji, że tamtejsze warunki grawitacyjne i atmosferyczne zdezaktualizują na sto procent tradycyjne polskie wyobrażenia i sposoby utrzymywania rasy panów w pionie i sterylnej czystości. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

weź, czytaj!

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”
W PRENUMERACIE
4 wydania* **wraz z dostawą do domu**
za **69 zł**

* oferta dotyczy 4 kolejnych (począwszy od „Zwierzeń zwierząt”) wydań (3,4/2019 i 1,2/2020). Zamów je na powszech.net/prenumeruj

** okładki przedstawiają wydania archiwalne – chcesz je otrzymać? Napisz: zamowienia@tygodnik.com.pl

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	349 zł	419 zł
Półroczna (26 numerów)	215 zł	249 zł
Kwartalna (13 numerów)	115 zł	129 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	
Slot (13 numerów)	99 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	469 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

POLIN
Muzeum Historii Żydów Polskich
MASZ TO PO MNIE
Uwikłane po szyję w sukienki prowadzimy kulturalne rozmowy
Zuzanna Ginczanka
Żydówka, Polka, warszawianka, feministka, poetka
polin.pl
Partnerzy medialni:
zwierciadło
sens
ams
VIVA!
wyborcza
wyborczaPL WARSZAWA
Partner Muzeum:
ONICO